tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 48 (1351)
24-30.11.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Henryk Skarżyński

7. KONGRES ZDROWIE POLAKÓW

NAUKA
DLA ZDROWIA SPOŁECZEŃSTWA
24-26 LISTOPADA 2025



Co Kaczyński zrobił Lepperowi?

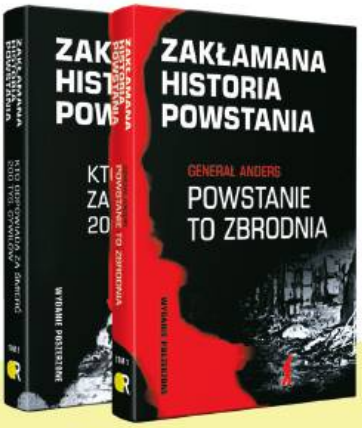
ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115 48
9 771509 311508

PRZEGLĄD na XXXIII Targach Książki Historycznej

27-30 listopada 2025 r., **stoisko nr 12**
Arkady Kubickiego
Zamku Królewskiego w Warszawie

Zapraszamy po dedykacje i książki w promocyjnych cenach!



Spotkaj się z naszymi autorami:

czwartek, 27 listopada

- godz. 14.00-15.00 – **Paweł Dybicz**, „Życie pełne historii”
- godz. 15.00-16.00 – **Paweł Dybicz**, „Zakłamana historia powstania” t. I-II

piątek, 28 listopada

- godz. 12.00-13.00 – **Robert Walenciak**, „Modzelewski. Buntownik”

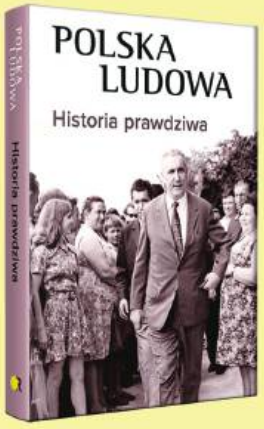
sobota, 29 listopada

- godz. 14.00-15.00 – **Piotr Ciszewski**, „Robotnicza Warszawa 1918-1939”
- godz. 16.00-17.00 – **Tomasz Turowski**, „Wzrok Cerbera”, „Chichot hieny”

niedziela, 30 listopada

- godz. 12.00-13.00 – **Jerzy Domański**, tygodnik „Przegląd”









Bądź z nami!

STOISKO 12

Wstęp na targi jest bezpłatny

Zapraszamy do zakupu książek PRZEGLĄDU

Zamów też na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl 654cc469fe



Robert Walenciak

MÓJ PRZEGLĄD

To nie są złe życiorysy

Włodzimierz Czarzasty został wybrany na urząd marszałka Sejmu, zastąpił Szymona Hołownię. Nie było tu zaskoczenia. Zaskoczeniem natomiast mogła być atmosfera, krzyki posłów PiS: „Precz z komuną!”.

To im powraca. Gdy usłyszeli, że szefem Kancelarii Sejmu będzie Marek Siwiec, wołali: „Komuch Siwiec! PZPR!”. Tę PZPR wypominają nawet w sytuacjach zupełnie niespodziewanych – gdy podczas posiedzenia sejmowej Komisji Kultury głos chciał zabrać Jan Ordyński, reprezentujący Towarzystwo Dziennikarskie, Piotr Gliński wołał do niego: „Czy był pan w PZPR?”. A potem, że to skandal, że komunista będzie mu mówił o wolności mediów.

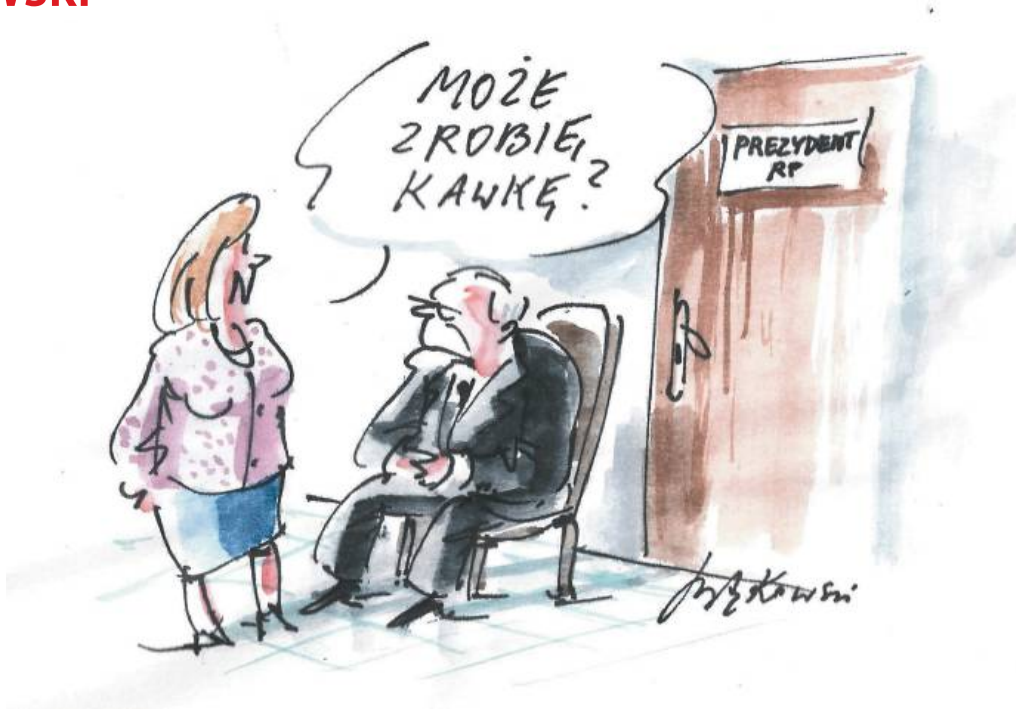
Szanowne panie i szanowni panowie z PiS – owszem, możecie mówić, co chcecie o PZPR, ale zważcie na Jarosława Kaczyńskiego. On także woła czasami: „Precz z komuną”, ale przecież jak się zastanowicie, to zauważycie, że to są raczej okrzyki do tych, którzy mniej pojmują. W realnym życiu one waszego wodza nie obowiązywały. Przypomnijcie sobie, na kim się opierał. Wieloletnim skarbnikiem PiS był Stanisław Kostrzewski – oczywiście PZPR. Człowiekiem od mediów – Krzysztof Czabański, też PZPR. No i Marcin Wolski, szef partii w Polskim Radiu. O takich ludziach, jak rzucony do Trybunału Konstytucyjnego Stanisław Piotrowicz, nie ma co mówić, tak jak o Andrzeju Kryżem, który był pisowskim wiceministrem sprawiedliwości. Och, panie pośle Gliński, Kryże by panu powiedział, na czym polega sprawiedliwość.

Spójrzmy jeszcze na innych współpracowników Jarosława Kaczyńskiego. Wojciech Jasiński był u niego od spraw gospodarczych. Kazimierz Kujda, szef spółki Srebrna, wprawdzie nie był w PZPR, ale za to był w SB, jako tajny współpracownik. Jarosławowi to nie przeszkadzało, poniekąd go rozumiemy. No i pamiętamy wciąż nieocenioną panią Basię Skrzypek. Zawsze stojącą u boku prezesa. Zatem, drodzy pisowcy, przypominamy, że pani Basia rozpoczęła pracę w Urzędzie Rady Ministrów we wrześniu 1980 r. I to w Kancelarii Tajnej. Potem przechodziła przez kolejne szczeble, aż została sekretarką gen. Janiszewskiego, szefa URM, jednego z najbliższych współpracowników gen. Jaruzelskiego. Siwicki, Kiszczak, Janiszewski – to była ta trójka. Potem pani Basia przeszła z Janiszewskim do pracy w Kancelarii Prezydenta (Jaruzelskiego), a później pracowała z Lechem Kaczyńskim. I tak zostało.

Drodzy pisowcy, krzyczcie więc, ile chcecie, ale miejcie świadomość, że obrażacie Jarosława Kaczyńskiego i jego współpracowników.

Przy okazji mamy też apel do posłów lewicy. Nie musicie w takich sytuacjach nabierać wody w usta i udawać, że urodziliście się w roku 1989. Polska Ludowa i PZPR są trwale wpisane w wasz życiorys. I im szybciej sobie uzmysłowicie, że to nie jest zły życiorys, że w PZPR było mnóstwo inteligentnych, oddanych Polsce ludzi, których talenty w III RP wykorzystywały wszystkie siły – tym lepiej dla was.

BĄKOWSKI



eprasa.pl 654cc469fe

W NUMERZE

KRAJ
8 **Co Kaczyński zrobił Andrzejowi Lepperowi?**
Zerowanie na śmierci
12 **Pogromcy rozumu**
Absurdy działań prokuratorów IPN
15 **Nasze krople drążą skały**
– rozmowa z prof. Henrykiem Skarżyńskim
17 **Zdrowie – każdy element ma znaczenie**
7. Kongres Zdrowie Polaków
20 **Poczet Polaków Rzeczypospolitej**
90-lecie Polskiego Słownika Biograficznego
26 **Prywatyzacja edukacji w natarciu**
Powody popularności szkół niepublicznych

OPINIE
22 **Paweł Siergiejczyk**
Stronnictwo długiego trwania

ZAGRANICA
30 **Pożytki z Łukaszenki**
Mińsk chce zakończenia wojny
32 **Jak Trump testuje prawo łaski**
Korespondencja z USA
36 **„The Telegraph": Zełenski traci kontakt z rzeczywistością**
Kijów w korupcyjnym skandalu
40 **Grecy wyłudzili od UE miliony euro**
Fikcyjni rolnicy, przekręty decydentów

SPORT
44 **Droga na mistrzostwa czy droga do mistrzostwa?**
Szczęśliwa jesień reprezentacji Polski

KULTURA
46 **W filharmonii jak w samolocie**
– rozmowa z Zofią Zembrzuską
49 **Mateusz Pakuła z Nagrodą Boya**
Za wybitne dokonania reżyserskie
50 **Proces Niewiadomskiego**
Przestrogi Teatru Obywatelskiego
52 **Qulturalia**
66 **Widziani – obrazy Mariusza Szydła**

ZDROWIE
54 **Wąsy, które ratują życie**
Movember w Polsce

OBSERWACJE
57 **Jak smakuje Apulia jesienią**
Korespondencja z Włoch

NAUKA
60 **Gdzie kwiaty mają uszy**
Rośliny nie tylko reagują na dźwięki

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Robert Walenciak**
To nie są złe życiorysy
19 **Jan Widacki**
Uniwersytety w czasach postnauki
29 **Andrzej Romanowski**
Sejmie, zrób coś!
39 **Roman Kurkiewicz**
Zagłada Gazy polskim trotylem
43 **Tomasz Jastrun**
Race i jad
53 **Wojciech Kuczok**
Cennik śmiertelny



22
OPINIE

PAWEŁ SIERGIEJCZYK
Stronnictwo długiego trwania



57
OBSERWACJE

JAK SMAKUJE APULIA JESIENIĄ
Korespondencja z Włoch



60
NAUKA

GDZIE KWIATY MAJĄ USZY
Rośliny nie tylko reagują na dźwięki

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. AP/ALIK KEPLICZ/EAST NEWS



eprasa.pl 654cc469fe

Czy Warszawa ma gospodarza?

Niedługo trzeba było czekać na kolejne przykłady słabego zarządzania stolicą. Od 14 do 16 listopada zamknięto 10 stacji centralnego odcinka metra. Modernizacja 30-letniej linii jest oczywiście konieczna. Dlaczego jednak zdecydowano się na nią akurat wtedy, gdy jednocześnie zamknięto Dworzec Centralny, a w alei Niepodległości trwają wielomiesięczne roboty drogowe, które już w normalnych warunkach powodują korki?


Czy Warszawa ma gospodarza?
Kolejne modernizacje obnażają niekompetencję władz stolicy

A jeśli nie było możliwości wyboru innego terminu, dlaczego w alei Niepodległości nie zapewniono pierwszeństwa transportowi publicznemu? Dlaczego nie poproszono o wsparcie stołecznej policji, która mogłaby usprawnić ruch? Co z tego, że autobus komunikacji zastępczej przyjeżdżał zgodnie z planem, skoro większą część trasy pokonywał z prędkością nieprzekraczającą 20 km/godz., a przez wiele minut stał w korkach? I to w środku dnia, poza godzinami szczytu. Czy naprawdę nie dało się lepiej tego zorganizować?

I drugi przykład. Kabaty, godz. 1.17 w nocy. Z pierwszego snu wybudza mnie niski, jednostajny dźwięk. Przez myśl przelatują różne scenariusze: ciężki pojazd wojskowy, nadlatujący samolot? Dźwięk narasta, odbija się od ścian budynków. Spoglądam przez okno – źródłem hałasu okazuje się maszyna czyszcząca jezdnię. Jedzie powoli, oddala się, po czym wraca i zaczyna kolejny przejazd. Tak przez godzinę, a może i dłużej. Rozumiem, że na ruchliwych arteriach takie prace muszą się odbywać nocą. Ale na spokojnej uliczce między blokami, w środku osiedla?

Jolanta Kurtz

Czwarty świat, cztery ściany

Do mojej miejscowości nie dociera komunikacja w soboty i niedziele. Z kolei autobus z Radomska do mojej wioski na końcu świata odjeżdża o godz. 18.48 od poniedziałku do piątku. Mamy cudowne możliwości korzystania z oferty kulturalnej i pracy. Dziękuję za podjęcie tematu.

Ania Rumocka


Czwarty świat, cztery ściany
Za bogaci dla systemu pomocy społecznej, za biedni na godne życie, ale wciąż jakoś sobie radzą

Gospodarka rosyjska w czasie wojny

To codzienne, nachalne i naprzemienne wyśmiewanie Rosji i straszenie nią jest prześmieszne. Jednego dnia Rosja nie potrafi od trzech lat pokonać Ukrainy, a już następnego dnia szykuje się do napaści na Polskę, NATO i Europę. Mówią, że w walkach straciła wszystkie czołgi i sprzęt, by za chwilę obwieszczać, że tysiące czołgów szykuje się do ataku na nas i resztę Europy. Jednego dnia media wszędzie piszą, jaka to Rosja biedna i jakie katusze cierpi tamtejsze społeczeństwo, podkreślają przy tym, jaki sukces odniosły sankcje, które już zaraz, za chwilę spowodują upadek tego kolosa na glinianych nogach. A na drugi dzień te same media wyliczają, jakie to gigantyczne sumy wydaje Moskwa na zbrojenia. Następnie media znów napiszą, że rosyjska gospodarka jest w fatalnym stanie, tak jak armia, a pojutrze o ogromnych pieniądzach wydanych na armię albo na coś innego. I tak w koło Macieju.


Gospodarka rosyjska w czasie wojny
Putin będzie dążył do zniesienia sankcji

Michał Czarnowski

ZDJĘCIE TYGODNIA



Akcja przesiedlania żyraf do ich naturalnych siedlisk w Wielkiej Dolinie Ryftowej w Kenii, 20 listopada 2025 r.

FOT. TONY KARUMBA/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 654cc469fe

Włodzimierz Czarzasty zgodnie z umową koalicyjną zastąpił Szymona Hołownię i został nowym marszałkiem Sejmu. Wybory zakłócili hucpiarze z PiS, zwłaszcza ci, którzy czekają na oskarżenia prokuratury. Na Czarzastego naujadała też „Gazeta Wyborcza". Tradycyjnie już i bezrefleksyjnie.

•

Jerzy Domański został ponownie wybrany na **przewodniczącego Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej**. Wiceprezesami zostali **Sławomir Pietrzyk i Tomasz Miłkowski, Andrzej Maślankiewicz** jest sekretarze generalnym, **Hanna Świeszczakowska** zastępcą sekretarza generalnego, a **Ireneusz Hyra** skarbnikiem.

•

Pod hasłem **„Nam nie było wszystko jedno" obchodzono 75-lecie Zrzeszenia Studentów Polskich.** Złotymi medalami „Zasłużony Kulturze Gloria Artis" zostali odznaczeni **Andrzej Mleczko, Jerzy Moszkowicz, Henryk Sawka** i **Jan Wołek**, a srebrnym **Jan Ordyński.**

•

Sejm nie zgodził się na powołanie Karola Polejowskiego na nowego prezesa IPN. Prawa ręka Nawrockiego zdaniem większości posłów nie nadaje się na tę funkcję.

•

Prokuratura zajęła środki na rachunku bankowym podejrzanego Zbigniewa Z. i obciążyła hipoteką przymusową jego nieruchomości. Wpisy będą ujmowane w czterech księgach wieczystych.

•

Od 20 lat Zbigniew Ziobro oskarża czterech lekarzy z Krakowa o błędy w leczeniu ojca. Koszty sprawy dotyczącej jego śmierci przekroczyły już 880 tys. zł, a dojdą do tego jeszcze koszty ekspertyzy z Uniwersyteckiego Centrum Medycyny Sądowej w Lozannie, na którą czeka sąd apelacyjny.

•

Unieważnione zostały paszporty Marcina Romanowskiego, zastępcy Zbigniewa Ziobry, który otrzymał na Węgrzech azyl polityczny.

•

Rozbudowywany za 455 mln zł **terminal naftowy Naftoportu** będzie miał szóste stanowisko do przeładunku paliw. Pozwoli na obsługę największych tankowców świata o długości przekraczającej 300 m i zanurzeniu do 15 m.

•

W Polsce pracuje 42 830 obywateli państw Unii Europejskiej. Najwięcej z Rumunii (7 tys.), Włoch (5,6 tys.), Niemiec (3,9 tys.), Francji (3,1 tys.) i Hiszpanii (2,9 tys.)

•

Na przyjazd do Polski oczekuje ok. 7 tys. repatriantów z Kazachstanu. Wielu z nich jest w tej kolejce od kilku i kilkunastu lat.

•

Coraz gorszy jest polski system podatkowy. W raporcie Tax Foundation Polska znalazła się na 35. miejscu, czwartym od końca. Z systemem, który wymaga pilnego uproszczenia i stabilności.

•

W ciągu dziewięciu miesięcy 2025 r. aż 5215 firm ogłosiło niewypłacalność. To o 17% więcej niż w 2024 r.

•

Australia wprowadza od 10 grudnia **zakaz korzystania przez dzieci w wieku do 16 lat z Facebooka, Instagrama i TikToka.**

PRZEBŁYSKI



Oszukał rolników, doradza Nawrockiemu

A to się rolnicy ucieszyli. Najbardziej ci oszukani przez Tomasza Obszańskiego, nowego doradcę prezydenta Nawrockiego ds. rolnictwa. Paradoks? Po części. Bo rolnicy, którzy mimo pozwów sądowych nie dostali od niego pieniędzy, liczą, że skoro Obszański dotąd nie zapłacił za dostarczone jego firmie owoce, warzywa i rośliny strączkowe, to może zapłaci z pensji u Nawrockiego. Od sierpnia dostaje tam przecież 15 tys. zł. Na spłatę oszukanych rolników Obszański kasy nie ma, ale na wypasionego land rovera za 900 tys. zł jakoś te grosiki zebrał. Okradzeni rolnicy próbowali się dostać do Nawrockiego, ale to dla nich za wysokie progi. Swoją drogą potwierdza się, że ten prezydent wykazuje silny pociąg do ludzi mających kłopoty z prawem.



Lojalna jak Zawisza

„Będę namawiała do tego, żebyśmy byli przeciw", mówiła Marcelina Zawisza w programie Wirtualnej Polski. Zawisza to od 2019 r. posłanka Razem lokowana przez Włodzimierza Czarzastego na dobrych miejscach list wyborczych lewicy. Tego samego Czarzastego, którego Zawisza chciała uwalić w wyborach na marszałka Sejmu. Efekt zabiegów Zawiszy był taki, że do bojkotu przekonała trzy osoby. Wszystkie z Razem. Szału nie było. Ale przypomniała wyborcom, że oprócz dwóch synów urodzonych w czasie posłowania ma jeszcze coś. Szczególne podejście do lojalności.

Zawisza podkreśla zawsze, że jest Ślązaczką z Opolszczyzny. Pechowy to region. Jak nie Gomoła, to Zawisza. W Sejmie przebija ich już tylko hiperaktywny poseł Jarosław Sachajko.

Za plecami Trzaskowskiego



Za nami finał konkursu Warszawianka Roku. Jak na dwumilionowe miasto zainteresowanie było mizerne. Ledwie 23 tys. głosów. Coś tam widocznie nie gra ze zgłaszaniem kandydatek. Słyszy się o kumoterstwie ważnych urzędniczek magistratu, które wpychają swoje koleżanki. I lobbują za nimi, jakby nie miały innego zajęcia. Prezydenta Trzaskowskiego traktują jak misia, który mało co kuma. I nie wie, co ma za plecami. Na szczęście konkurs wygrała Agnieszka Sikora. Autentyczna społeczniczka. Dziennikarka i pedagożka. Konsekwentna, bardzo wrażliwa na problemy bezdomności. Znowu nie udało się wygrać Aleksandrze Laudańskiej. A tak się starała. Tyle zabiegów i nic.

Szamotanina na Orlenie

Niby mała rzecz, a wkurzyć może nawet flegmatyków. Podjeżdżacie na stację, by zatankować paliwo, ale chcecie ochronić ręce. Nie trzeba długo się rozglądać, prawie na każdej stacji są jednorazowe rękawiczki. I tu kończą się dobre wiadomości. A zaczyna szamotanina z badziewiem, które trudno założyć. Walka z produktem rękawiczkopodobnym. Kupionym gdzieś po taniości dla kierowców estetów. Jeśli chcą mieć czyste ręce, to niech kombinują. Nasz czytelnik z Chorzowa, z zawodu kierowca, zirytowany tym, co go spotyka, zrobił ranking stacji pod kątem rękawiczek jednorazowych. I co mu wyszło? Najdłużej trzeba się szamotać na stacjach Orlenu, a najlepiej jest na stacjach BP i Moya.



FOT. FACEBOOK, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, PRZEMYSŁAW KELER/KPRP, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 654cc469fe

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy Polacy wierzą we wróżby i horoskopy?

PROF. MIROSŁAW PĘCZAK,
kulturoznawca, Zakład Interdyscyplinarnych Badań nad Kulturą, Wydział Pedagogiczny UW

Oczywiście są Polacy wierzący we wróżby i horoskopy. Statystycznie widać, że gdy rośnie społeczny lęk, pojawia się więcej odruchów irracjonalnych, a w czasach stabilnych dominuje postawa racjonalna. Niezależnie jednak od chwilowych zmian nastrojów, w ostatnich dekadach obserwujemy wyraźny wzrost irracjonalizmu. Nie tylko w Polsce. Kluczowym momentem była pandemia, która uruchomiła ogromne pokłady myślenia nieracjonalnego – od ruchów antyszczepionkowych po otwartą wojnę z dorobkiem oświecenia, czyli z rozumem. Zjawisko to ma także silny wymiar polityczny: część prawicy, inspirowana m.in. Donaldem Trumpem, chętniej wierzy w teorie spiskowe i wszelkie narracje sprzeciwiające się racjonalizmowi. W efekcie współczesna fala irracjonalizmu staje się naturalnym sojusznikiem prawicowego populizmu.

KLARA AUSTEJA BUCZEL,
psycholożka poznawcza

Warto wyraźnie oddzielić to, ile osób czyta horoskopy, od tego, ile faktycznie w nie wierzy. Badania międzynarodowe pokazują, że Polki i Polacy należą do narodów o najniższym poziomie wiary w twierdzenia nieuzasadnione poznawczo: ok. 10% wierzy w horoskopy, choć niemal połowa je czyta, zwykle z ciekawości. W moich badaniach wiara w takie treści okazała się umiarkowana i silniej związana z przekonaniami religijnymi niż z paranormalnymi. Współwystępowała z myśleniem magicznym, przesądnym i spiskowym, a kłóciła się z otwartością na fakty. Sugeruje to, że pełni raczej funkcję redukcji niepewności, niż wynika z naiwnej otwartości.

DR N. HUM. PIOTR PIOTROWSKI,
filozof, astrolog

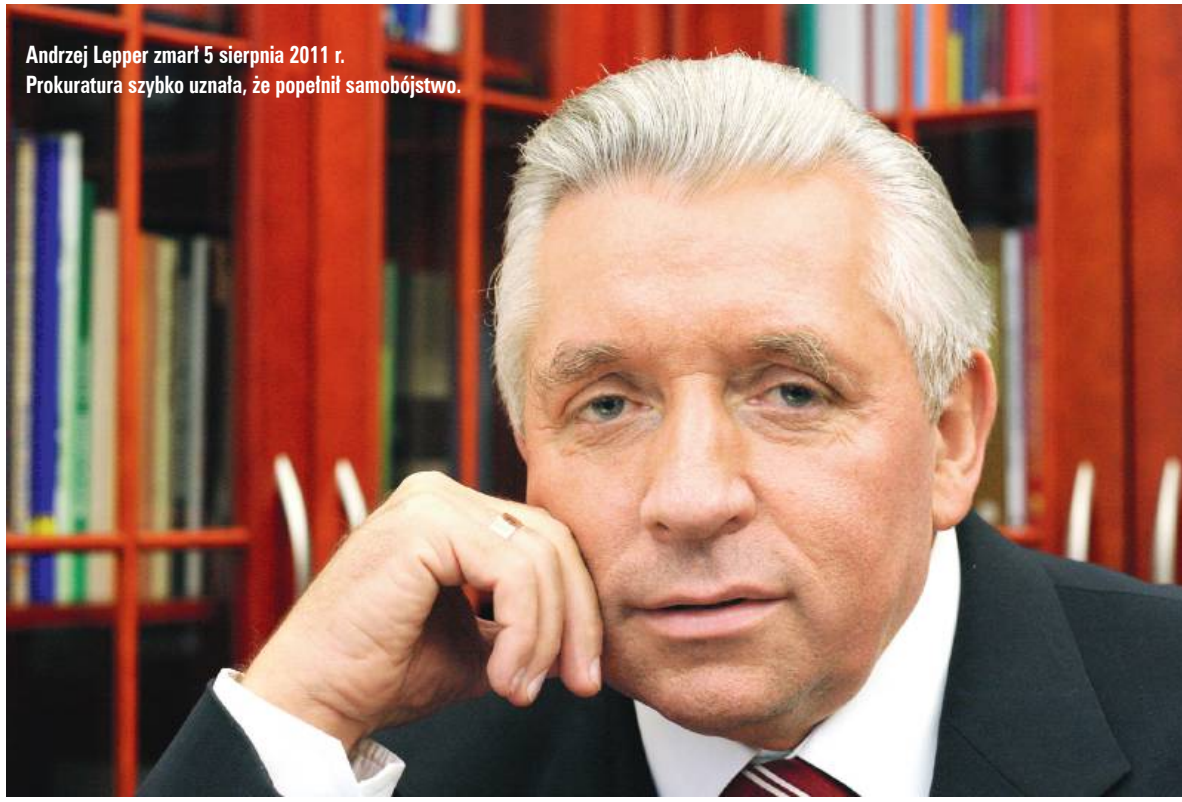
Oczywiście, że Polacy wierzą we wróżby i horoskopy. I nie tylko oni. Na całym świecie rośnie moda na odwoływanie się do wróżb i systemów pozaracjonalnych. Astrologia, dawniej wykładana na renesansowych uniwersytetach, wraca dziś do łask, bo ludzie w coraz bardziej chaotycznej rzeczywistości szukają porządku i wyjaśnień. W świecie, który staje się coraz mniej racjonalny, takie formy wiedzy zyskują uznanie, bo pozwalają uporządkować doświadczenia i nazwać pewne zjawiska. Dają też poczucie bycia częścią większego porządku kosmicznego, co wielu pomaga odnaleźć sens własnej egzystencji. Dlatego skłonność do systemów znajdujących się na obrzeżach nauki rośnie zarówno w Polsce, jak i w innych krajach.

Rozmawiała Weronika Mikusek

eprasa.pl 654cc469fe

Co Kaczyński zrobił Andrzejowi Lepperowi?

Chciał go wyeliminować z życia politycznego



Andrzej Lepper zmarł 5 sierpnia 2011 r. Prokuratura szybko uznała, że popełnił samobójstwo.

Robert Walenciak

– Według mnie Lepper został zamordowany. Ale został zamordowany przez ludzi ze swoich środowisk, dlatego że chciał powiedzieć prawdę o tym, jak to było przy końcu naszej władzy, przejść na drugą stronę – mówił niedawno w Kwidzynie Jarosław Kaczyński. – Ja Leppera znałem dosyć dobrze – dodawał – i mogę powiedzieć, że jeżeli on był skłonny do popełnienia samobójstwa, to jestem skoczkiem wzwyż.

Rozdrapywanie ran, a Kaczyński jest w tym arcymistrzem, spotkało się z odpowiedzią. – Kaczyński głupoty gada. Już powinien odejść na emeryturę, a nie takie farmazony wygadywać – zripostował syn Andrzeja Leppera, Tomasz. – Przecież to jego ludzie, Wąsik i Kamiński, zostali skazani prawomocnymi wyrokami sądu w aferze gruntowej.

W sprawie zabrał też głos Radosław Sikorski. „Jarosław Kaczyński teraz twierdzi, że wicepremier Andrzej Lepper został zamordowany. W pewnym sensie się zgadzam. Do politycznego i finansowego zniszczenia go i późniejszego samobójstwa przyczynili się dranie, którzy sfingowali aferę gruntową, za co zostali skazani”, napisał na platformie X, wskazując na Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. „Kaczyński zrobił ich ponownie ministrami, aby znowu mogli niszczyć ludziom życie, tym razem przy pomocy Pegasusa. Dwukrotnie ułaskawił ich pisowski prezydent, a dziś są pisowskimi europosłami. Hańba kanaliom i ich patronom”.

Oto bolesne rany polskiej polityki, nasza pamięć znów ma je przed oczami. I pytania, które się nasuwają: po co Kaczyński te rany rozdrapuje? Czego chce?

•

Andrzej Lepper zmarł 5 sierpnia 2011 r. Prokuratura szybko uznała, że popełnił samobójstwo. Śledczy nie stwierdzili, aby ktokolwiek nakłaniał

eprasa.pl 654cc469fe

go bądź udzielał mu pomocy w targnięciu się na własne życie. Jego pokój był zamknięty od środka. Na sznurze nie znaleziono śladów DNA innych osób. Nie jego ciele nie było zadrapań ani śladów walki, a w jego organizmie nie stwierdzono substancji odurzających. Przyjęto, że odebrał sobie życie, bo uznał, że jako polityk jest skończony, nigdy też nie zdoła spłacić długów, którymi był obciążony.

Ale wciąż żyje teoria, że Lepper został zamordowany. Sławomir Izdebski, jego bliski współpracownik, mówił mediom: „Andrzej nigdy nie otwierał okna, nie znosił bałaganu, był pedantem. Nagle w dniu jego śmierci okna są otwarte, wszędzie jest syf i brud. To jest niemożliwe! Rusztowanie obecne w dniu śmierci było postawione pod oknem Leppera. Nie miało to sensu, ponieważ remont był zakończony. W momencie jego śmierci wyłączony został monitoring, wydano komunikat, że nie było prądu, ale prąd był! Działała lodówka, programy na komputerze. Dlaczego sejf został otwarty?".

Biuro było zamknięte od wewnątrz, ale ewentualny zabójca mógł wejść i wyjść oknem, po rusztowaniu. Dodajmy, że w biurze znaleziono ślady obuwia dwóch osób. Nie wiadomo, kim te osoby były i skąd się wzięły ślady.

Wiele też mówi się o dokumentach, które miał Lepper, a które zniknęły. Izdebski: „Andrzej Lepper miał wiele informacji, które wstrząsnęłyby wymiarem sprawiedliwości, miał ujawnić szokujące dokumenty Jarosławowi Kaczyńskiemu. Te dokumenty zostały skradzione. Następnie jego prawnik, który posiadał kopie, również został zamordowany".

O jakie dokumenty mogło chodzić? Mówiono, że dotyczyły polsko-rosyjskich negocjacji gazowych.

Prokuratura dość łatwo poradziła sobie z tymi teoriami.

Legenda o negocjacjach gazowych narodziła się w kręgach „Gazety Polskiej", to jej naczelnemu Tomaszowi Sakiewiczowi Lepper miał rzekomo o tym mówić w wywiadzie udzielonym mniej więcej rok przed swoją śmiercią. Prokuratura przesłuchała nagranie – nic z niego nie wynikało.

Otwarte okno?

Mówił o tym w Sejmie, podczas posiedzenia Komisji Sprawiedliwości poświęconej sprawie śmierci Leppera, prokurator Bogusław Michalski z Prokuratury Generalnej:

„Informacją, która została podniesiona w mediach, jest to, że stwierdzono coś, co nie przystawało do zachowania pana Andrzeja Leppera, a mianowicie otwarte okno w pomieszczeniu, w którym znaleziono później jego zwłoki. W pomieszczeniu tym była klimatyzacja i rzeczywiście nie było potrzeby otwierania okna, ale jak się okazało z zeznań jednego z najbliższych współpracowników zmarłego, pan Andrzej Lepper bardzo często otwierał okno, nawet zimową porą i wietrzył pomieszczenie, w którym się znajdował.

(…) Jeżeli chodzi o fakt, że okno było otwarte, a wokół budynku należącego do partii Samoobrona znajdowały się rusztowania, które były wykorzystywane do prac remontowych tego budynku, chodzi konkretnie o naprawę elewacji, to w tej sprawie przesłuchano wszystkich robotników, którzy pracowali, korzystając z tych rusztowań. Stwierdzili oni, że po pierwsze, w czasie – to było w dzień przecież – między 8.30 a 16.00, kiedy pracowali, żadna osoba nie miała możliwości wejścia na te rusztowania, a gdyby nawet to się udało, to układ rusztowań jest taki, że z tego rusztowania nie sposób wejść przez otwarte okno do siedziby partii Samoobrona".

Znaleziono też notes, w którym Andrzej Lepper notował spotkania, sprawdzono billingi telefonów oraz stan finansowy – i Samoobrony, i samego Leppera.

31 października 2012 r. Prokuratura Okręgowa w Warszawie umorzyła śledztwo w sprawie śmierci Andrzeja Leppera. Uznano, że „bezspornie" śmierć polityka była wynikiem „zamachu samobójczego".

Kilka lat później, w 2017 r., prokuratura badała jeszcze wątek „gazowy", związany ze wspomnianym wywiadem dla „Gazety Polskiej". Przesłuchano kilka osób. „Żaden z przesłuchanych świadków nie miał żadnej wiedzy na temat okoliczności i mechanizmu śmierci Andrzeja Leppera. Żaden z ww. świadków nie był w rzeczywistości świadkiem zdarzeń mających znaczenie dla niniejszego postępowania", uznała prokuratura.

•

Gdy mówimy o śmierci Andrzeja Leppera, to przecież mamy świadomość, że odchodził na raty. Najpierw stracił stanowisko wicepremiera, wypadł z rządu, potem nie dostał mandatu poselskiego, później już tylko wegetował. Wszystko miało początek w 2007 r., kiedy uderzono w niego aferą gruntową.

Zaczęło się we Wrocławiu, gdzie Andrzej Kryszyński opowiadał, że ma przełożenie na Ministerstwo Rolnictwa i może załatwić odrolnienie każdego gruntu. To „przełożenie" to jego znajomy Piotr Ryba, który był bliskim współpracownikiem Andrzeja Leppera. Centralne Biuro Antykorupcyjne podesłało więc Kryszyńskiemu swojego agenta, który przedstawił się jako biznesmen o nazwisku Sosnowski, powiedział, że ma działkę na Mazurach i jest gotów za jej odrolnienie dać wysoką łapówkę.

Syn Andrzeja Leppera: Przecież to ludzie Kaczyńskiego, Wąsik i Kamiński, zostali skazani w aferze gruntowej.

Tak Centralne Biuro Antykorupcyjne Mariusza Kamińskiego rozpoczęło grę. Stworzyło fikcyjną działkę, którą za łapówkę miano odrolnić. Łapówka miała iść ścieżką Kryszyński-Ryba-Lepper. Rzecz w tym, że Lepper przynęty nie chwycił. Ale i tak został zdymisjonowany i okrzyknięty łapówkarzem.

Zdaniem szefa CBA Kamińskiego akcja się nie powiodła, bo Lepper został o niej uprzedzony. Kamiński zbudował nawet łańcuszek informatorów. O sprawie miał wiedzieć ówczesny szef MSWiA Janusz Kaczmarek i uprzedzić o tym Ryszarda Krauzego, a Krauze – posła

eprasa.pl 654cc469fe

Samoobrony Lecha Woszczerowicza. Dopiero ten miał o wszystkim powiedzieć Lepperowi.

Ta teoria nie została potwierdzona. Natomiast potwierdzono coś innego – że cała operacja była „kreacją przestępstwa", że pod pretekstem walki z korupcją mieliśmy walkę z niewygodnym politykiem.

Późniejsze śledztwo wykazało bowiem, że całą sprawę odrolnienia można było przeprowadzić legalnie – i tak była ona w ministerstwie prowadzona, poza tym za odrolnienia odpowiadał wiceminister z ramienia PiS. Chodziło więc o haka, pretekst, by Leppera zatrzymać i oskarżyć.

Radosław Sikorski: Kaczyński ponownie zrobił Wąsika i Kamińskiego ministrami, aby znowu mogli niszczyć ludziom życie.

Tak ocenił to sąd. 30 marca 2015 r. Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia orzekł karę trzech lat więzienia i dziesięcioletni zakaz zajmowania stanowisk wobec Mariusza Kamińskiego oraz jego byłego zastępcy Macieja Wąsika.

„Mariusz Kamiński twierdził, że motywacją działania była walka z korupcją, której obiektywnie w Ministerstwie Rolnictwa nie było, a na pewno nie było na to poszlak czy dowodów. Czyn zabroniony (…) został »wyprodukowany« przez aparat państwa", oceniał prowadzący sprawę sędzia Wojciech Łączewski.

Sąd uznał, że „nie było wiarygodnej informacji o popełnieniu przestępstwa, były tylko słowa Kryszyńskiego (jednego z oskarżonych), któremu i tak nie wszyscy wierzyli". A mimo to rozpoczęto operację, która zakończyła się „wyprodukowaniem" czynu korupcyjnego, gdyż „wprowadzenie agenta pod przykrywką pozwoliło na sterowanie zachowaniem Kryszyńskiego i doprowadziło do zainicjowania jego działania, co było kreacją przestępstwa".

Operacja służyła poza tym do ścisłej inwigilacji liderów Samoobrony. Samego Andrzeja Leppera podsłuchiwano pięć miesięcy. Podsłuch miał na kilku telefonach, nadano mu kryptonim „Stary". Podsłuchiwano również innych polityków tego ugrupowania, np. Krzysztofa Filipka, Janusza Maksymiuka, Wandę i Stanisława Łyżwińskich, senatora PiS Jarosława Chmielewskiego oraz osoby prywatne. Nie mieli oni wpływu na procedurę odrolnienia.

Nie podsłuchiwano natomiast wiceministra Henryka Kowalczyka z PiS, który nadzorował Departament Ochrony Gruntów i miał akceptować wniosek o odrolnienie na wcześniejszym etapie. „Wprost razi nieobjęcie go kontrolą operacyjną i świadczy dobitnie o rzeczywistej motywacji oskarżonych", komentował tę sytuację sąd, dodając w uzasadnieniu wyroku: „Nie wystąpiono o kontrolę operacyjną innych osób zatrudnionych w Ministerstwie Rolnictwa, cały wysiłek skierowano na posłów zrzeszonych w klubie parlamentarnym Samoobrony".

Te wszystkie ustalenia prowadzą do jednego wniosku: operacja CBA miała inne cele niż oficjalnie deklarowane przez Mariusza Kamińskiego. Chodziło o skompromitowanie Andrzeja Leppera. Wyeliminowanie go z życia politycznego poprzez zatrzymanie i oskarżenie o korupcję. Dalszym krokiem miało być przejęcie przez PiS Samoobrony. Łatwo sobie wyobrazić sytuację, w której Lepper idzie do więzienia, a szefem jego partii zostaje zwolennik ścisłej współpracy z PiS.

•

Tak zresztą uważał Andrzej Lepper. W Sejmie, już po porażce wyborczej PiS w 2007 r., powołano komisję śledczą, tzw. do spraw nacisków, której szefem został Andrzej Czuma. Badała ona m.in. okoliczności afery gruntowej. Lepper zeznawał przed nią, a także napisał do niej list. Ten list kilka lat później, 30 sierpnia 2011 r., podczas posiedzenia sejmowej Komisji Sprawiedliwości, która dotyczyła okoliczności śmierci Andrzeja Leppera, ujawnił poseł Robert Węgrzyn. Oto fragmenty:

„Szanowni państwo. Jestem w posiadaniu listu napisanego nie tylko do mnie, ale do wszystkich członków »komisji śledczej do spraw nacisków«. To jest list podpisany przez Andrzeja Leppera. (…)

Pan Andrzej Lepper pisze tak: »Jestem zmuszony zareagować na oświadczenia i wypowiedzi posłów Mularczyka i Kurskiego, którzy są członkami komisji śledczej do spraw nacisków, reprezentując w niej Prawo i Sprawiedliwość. Jestem zaszokowany cynicznym, bezwstydnym i kłamliwym oświadczeniem tych panów, że nie było żadnych dowodów na łamanie prawa przez Centralne Biuro Antykorupcyjne, ministra sprawiedliwości pana Zbigniewa Ziobrę oraz ówczesnego premiera rządu pana Jarosława Kaczyńskiego w sprawie tzw. afery gruntowej«. To jest koniec pierwszego cytatu.

Drugi cytat, po tym jak już pierwszy rząd Prawa i Sprawiedliwości i koalicja z Samoobroną się rozpadła i kiedy Jarosław Kaczyński stanął w obliczu powołania pana Andrzeja Leppera po raz drugi do rządu; pan Andrzej Lepper pisze tak: »W tym stanie rzeczy pan Jarosław Kaczyński nie miał innego wyboru, niż przywrócić mnie na pełnione funkcje państwowe. W ten oto sposób wcześniej nazwany przez Jarosława Kaczyńskiego warchoł został ponownie wicepremierem i ministrem rolnictwa. Kaczyński poniósł klęskę i nigdy mi jej nie zapomniał, i nigdy tego powrotu nie darował. Szykował dotkliwą zemstę. Wymyślono więc aferę gruntową jako wyjątkową prowokację polityczną przeciwko mojej osobie, chcąc wymierzyć mi polityczny wyrok śmierci«. To jest drugi cytat.

Kolejny cytat: »Wtedy to w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów pod przewodnictwem ministra Lipińskiego odbyło się spotkanie osób ze spółek wrocławskich ATM i Dialog, którzy wcześniej donieśli do CBA o korupcyjnych zamiarach odrolnienia ziemi na Mazurach przez Andrzeja Kryszyńskiego«.

Kolejny cytat: »Lepper miał zostać aferowym przestępcą, pospolitym łapówkarzem, zwyczajnym kryminalistą«.

eprasa.pl 654cc469fe



Dopiero koalicja z Samoobroną Andrzeja Leppera i LPR pozwoliła Kaczyńskiemu rozszerzyć wpływy na elektorat ludowy.

I tutaj chyba dwa najważniejsze cytaty z listu pana Andrzeja Leppera. Kiedy był przesłuchiwany jeden ze świadków i podejrzanych w sprawie afery gruntowej, przesłuchujący go funkcjonariusz CBA mówi tak – oświadcza jeden z tych świadków: »Lepper już jest na dnie, pod wodą, pod lodem i nie ma sensu, żebym pogarszał swoją sytuację, że zeznania obciążające Leppera mogą mnie jeszcze uratować, a Lepper jest już i tak stracony«. »Andrzej Lepper – powiedział to wtedy oficer CBA – jest skończony, jest na niego założonych bardzo wiele pułapek, w które on wpadnie, on jest już skończony. Ty, właściwie musisz przyznać jedno, powiedzieć jedno, że Andrzej Lepper był w tej grupie, która miała za pieniądze odrolnić tę nieszczęsną działkę w Mrągowie. Oczywiście powiedziałem, że nie ma takiej możliwości«.

I na koniec, Andrzej Lepper pisze cytat: »Chcę głęboko wierzyć, że cała prawda o brudnej prowokacji politycznej stanie się własnością komisji śledczej…« – zwracał się tu do pana przewodniczącego komisji śledczej Andrzeja Czumy – »…której pan przewodniczy i ta prawda stanie się aktem surowego oskarżania twórców i realizatorów afery gruntowej. Domagam się, aby osoby, które popełniły gwałt polityczny nie tylko na osobie konstytucyjnego ministra, ale gwałt na Polsce, na jej konstytucji, poniosły surową odpowiedzialność przed polskim wymiarem sprawiedliwości. Oczekuję, że komisja śledcza, której pan przewodniczy, udzieli pełnej odpowiedzi na kluczowe sprawy związane z tzw. aferą gruntową: Kto i dlaczego podjął bezprawną decyzję o zorganizowaniu prowokacji politycznej przeciwko konstytucyjnemu ministrowi rolnictwa i wicepremierowi rządu RP? Kto poniesie za to odpowiedzialność cywilnoprawną, karną? Kto stanie przed Trybunałem Stanu? Domagam się, aby uczyniono to wobec szefa CBA, ówczesnego ministra sprawiedliwości i ówczesnego premiera rządu. Kto, kiedy i dlaczego podjęli cały system monitorowania i podsłuchu wobec konstytucyjnego ministra rolnictwa i wicepremiera rządu i jaką za to poniosą odpowiedzialność służbową i cywilnoprawną?«. »Ówczesny premier pan Jarosław Kaczyński w jednej z rozmów z wicepremierem Romanem Giertychem pysznił się, że w aferze gruntowej wszystko było przygotowane i tak proste jak budowa cepa, że Lepper uciekł spod gilotyny. Mam nadzieję, że ten zbudowany cep i ta gilotyna nadal istnieje i teraz czeka na pana Jarosława Kaczyńskiego i wszystkich twórców afery gruntowej. Służyłem zawsze polskim rolnikom, ludziom biednym i pokrzywdzonym, byłem w ich interesie bezkompromisowy a nawet agresywny. Nie żałuję tego«”.

•

Oto Andrzej Lepper. Łatwo zrozumieć, dlaczego będzie żył jego mit i nie zabraknie tych, którzy będą twierdzić, że został zamordowany. To oczywiste – człowiek z ludu, obrońca pokrzywdzonych nie może przegrać, bo dobro nie przegrywa. On by się zrehabilitował, powrócił do wielkiej polityki, ale został życia pozbawiony. Bo chciał ujawnić coś, co przestraszyło wrogów.

•

I to jest chyba klucz do wytłumaczenia zabiegów Kaczyńskiego. PiS w 2005 r. było partią postsolidarnościową, prawicową, policyjną, ale w społeczeństwie średnio zakorzenioną. W wyborach we wrześniu 2005 r. zdobyło 27% głosów, to był wielki sukces. Ale dopiero koalicja z Samoobroną i LPR pozwoliła Kaczyńskiemu rozszerzyć wpływy na elektorat ludowy, antyestablishmentowy. Ta koalicja dała mu siłę, z której czerpie do dziś.

Andrzej Lepper: Kaczyński poniósł klęskę i nigdy mi jej nie zapomniał. Szykował dotkliwą zemstę.

Zatem ten gest w stronę Leppera, wmawianie ludziom, że chciał się pogodzić z PiS, de facto pośmiertne zapisanie Leppera do PiS, ma pewien zamysł. Chodzi o to, żeby wzmocnić więzi z warstwami ludowymi i podział między „ludowym” PiS a „wysferzoną” KO. To jest warte ryzyka, że przypomniana zostanie afera gruntowa. Pod warunkiem że ludzie uwierzą w kolejne kłamstwo Kaczyńskiego i kolejną mistyfikację.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, WITOLD ROZBICKI/REPORTER

eprasa.pl 654cc469fe

POGROMCY ROZUMU

Prokuratura IPN: upolityczniona, niekompetentna, niewydolna i bardzo kosztowna



Od 2016 r. prokuraturze IPN przewodzi Andrzej Pozorski, nominat Zbigniewa Ziobry.

Andrzej Sikorski

Główna Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, zwana potocznie prokuraturą IPN, to dziwaczny twór. Ma za zadanie ścigać zbrodniarzy nazistowskich i komunistycznych. Problem w tym, że tacy „zbrodniarze" już nie żyją, a jeśli jacyś się uchowali (funkcjonariusze aparatu PRL z lat 70. i 80.), to z racji wieku stoją nad grobem.

Ipeenowskie pojęcie „zbrodni komunistycznej" jest osobliwe. Są to jakiekolwiek czyny popełnione przez „funkcjonariuszy państwa komunistycznego", polegające na stosowaniu represji lub innych form naruszania praw człowieka. I tak np. prokuratura IPN skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko byłemu dyrektorowi Centralnego Ośrodka Informatyki Górnictwa, bo przekroczył swoje uprawnienia i złośliwie naruszając prawa pracownicze, rozwiązał umowy o pracę z 13 pracownikami, za udział w strajku. W związku z bezprawnym i złośliwym zwalnianiem z pracy w wolnej i niepodległej Polsce „zbrodniarzami" mogłoby być tysiące prezesów, dyrektorów i właścicieli firm.

Prokuratorzy IPN prowadzą śledztwo w sprawie „zbrodni komunistycznej stanowiącej jednocześnie zbrodnię przeciwko ludzkości", która polegała na tym, że 50 lat temu w Płocku funkcjonariusze ZOMO użyli pałek wobec protestujących robotników, „co naraziło ich na bezpośrednie niebezpieczeństwo ciężkiego lub średniego uszczerbku na zdrowiu i stanowiło represję i poważne prześladowanie z przyczyn politycznych z powodu prezentowanych przez protestujących przekonań i poglądów społeczno-politycznych, a tym samym naruszenie prawa do ich wyrażania i było działaniem na szkodę interesu publicznego oraz prywatnego pokrzywdzonych". Prokuratorzy chwalą się, że w sprawie przesłuchiwani są pokrzywdzeni, prowadzone są kwerendy historyczne i oględziny materiałów archiwalnych, cokolwiek to znaczy. Jednak z racji upływu czasu postawienie przed sądem zomowców jest mało prawdopodobne.

Wódz i jego drużyna

W prokuraturze IPN pracuje siedemdziesięciu kilku prokuratorów, a ich utrzymanie kosztuje podatników ok. 55 mln zł. Od 2016 r. przewodzi im Andrzej Pozorski, nominat Zbigniewa Ziobry w randze zastępcy prokuratora generalnego. Pochodzący ze Szczecina prokurator zaczynał karierę w latach 90. w prokuraturze

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

eprasa.pl 654cc469fe

powszechnej. Nie miał jednak oszałamiających sukcesów. Najgłośniejsze śledztwo, jakie prowadził w sprawie porwania sprzed siedziby TVP w Szczecinie biznesmena Lechosława H., zakończyło się umorzeniem. Przedsiębiorca powiązany ze środowiskiem przestępczym został prawdopodobnie zamordowany, a ciała nigdy nie odnaleziono, choć podejrzewano, że za porwaniem stał słynny gangster Jeremiasz Barański, znany jako „Baranina" – zleceniodawca zabójstwa byłego ministra sportu Jacka Dębskiego. Jednak „Baranina", pracujący dla służb polskich, niemieckich i austriackich, okazał się zbyt mocnym przeciwnikiem dla Pozorskiego, który w 2001 r. „rzucił papierami" i przeszedł do prokuratury IPN, gdzie zarobki były wyższe, praca spokojniejsza, a obciążenie śledztwami mniejsze.

Na stronie internetowej Prokuratury Krajowej napisano, że Andrzej Pozorski „prowadził szereg spraw o skomplikowanym charakterze, w tym m.in. skierował akt oskarżenia przeciwko byłemu Komendantowi Wojewódzkiemu w Szczecinie, który został oskarżony o bezprawne pozbawienie wolności osób internowanych pomiędzy 12 a 17 grudnia 1981 r.".

To skomplikowane śledztwo polegało na tym, że Pozorski ustalił, iż gen. MO Jarosław Wernikowski dopuścił się „zbrodni komunistycznej" i „zbrodni przeciwko ludzkości", bo podpisywał decyzje o internowaniu działaczy opozycji 12 grudnia 1981 r., zanim formalnie (17 grudnia 1981 r.) zaczął obowiązywać dekret o wprowadzeniu stanu wojennego. Czyli działacze Solidarności siedzieli cztery dni nielegalnie (sic!). Na wniosek prokuratora schorowany Wernikowski (miał wówczas 72 lata) trafił do aresztu, żeby przypadkiem nie uciekł albo nie mataczył. Taką odwagą i bezkompromisową postawą Pozorski musiał zrobić wrażenie na Zbigniewie Ziobrze i Jarosławie Kaczyńskim.

Nie wszystkie decyzje Pozorskiego okazały się strzałem w dziesiątkę. W 2019 r. głośno było o śmierci prokuratora Dariusza Wituszki, który został wysłany na karną delegację do Rzeszowa (800 km od Szczecina, gdzie mieszkał). Taka represja i zarazem rozłąka z rodziną były wstrząsem dla doświadczonego 58-letniego prokuratora o nienagannej opinii. Wituszko zmarł na zawał serca w okolicach dworca kolejowego w Łańcucie. Podobno tuż przed śmiercią dowiedział się, że jego delegacja została przedłużona o kolejne dwa miesiące. Śmierć prokuratora Wituszki wywołała poruszenie wśród prawników, a rodzina zmarłego nie życzyła sobie nikogo z prokuratury na pogrzebie.

Pikanterii sprawie dodaje fakt, że przed dojściem PiS do władzy Wituszko był szefem delegatury IPN w Szczecinie i przełożonym Pozorskiego. Panowie znali się jeszcze z czasów pracy w prokuraturze powszechnej. W 2016 r. role się odwróciły. Pozorski awansował do Warszawy, a Wituszko został odwołany ze stanowiska i potem karnie delegowany przez byłego podwładnego i kolegę.

W prokuraturze IPN pracuje siedemdziesięciu kilku prokuratorów, a ich utrzymanie kosztuje podatników ok. 55 mln zł.

Nieuchwytni zbrodniarze

Prokuratorzy IPN pod wodzą Andrzeja Pozorskiego nie mogą się pochwalić skutecznością w tropieniu zbrodniarzy. W 2024 r. umorzonych zostało ponad tysiąc śledztw, z czego ok. 400 ze względu na śmierć sprawców, a pozostałe z powodu „braku podstaw do wniesienia aktu oskarżenia". Ogłoszono 17 postanowień o przedstawieniu zarzutów podejrzanym w 11 śledztwach, a do sądów skierowano zaledwie 20 aktów oskarżenia wobec 59 osób. W większości są to byli prokuratorzy i sędziowie, którzy w czasach PRL mieli się dopuszczać „zbrodni komunistycznych" i „zbrodni przeciwko ludzkości". Te zbrodnie polegały głównie na stosowaniu niesłusznych aresztów i skazywaniu na więzienie (zazwyczaj było to kilka miesięcy).

I tak np. Halina K., była sędzia Sądu Wojewódzkiego w Koszalinie, miała rzekomo skazać Eugeniusza K., robotnika budowlanego, na karę sześciu miesięcy więzienia za to, że podczas podróży pociągiem „rozpowszechniał fałszywe wiadomości mogące obniżyć powagę organów Państwa" poprzez śpiewanie piosenek, „które w satyryczny sposób odnosiły się do panującej wówczas w Polsce sytuacji gospodarczej oraz politycznej". PRL nie była państwem demokratycznym, więc nie ma co się dziwić, że żartowanie z władz było karalne. Za rządów PiS policjanci i prokuratorzy ścigali obywateli, a sędziowie wydawali wyroki skazujące (nakaz zapłaty grzywny) za wyśmiewanie się z polityków partii rządzącej. Na przykład posiadaczom koszulek lub naklejek na samochodach ze słynnym napisem „Jebać PiS" „przyklepywano" art. 141 Kodeksu wykroczeń, który stanowi, że „Kto w miejscu publicznym umieszcza nieprzyzwoite ogłoszenie, napis lub rysunek albo używa słów nieprzyzwoitych, podlega karze ograniczenia wolności, grzywny do 1500 zł albo karze nagany". Natomiast ci, którzy szydzili z PiS za pomocą nagłośnienia, ścigani i skazywani byli na kary grzywny z mocy przepisów ustawy o ochronie środowiska.

Prokuratorom IPN nie udało się wsadzić do więzienia wiekowej prawniczki, a groziło jej nawet 25 lat odsiadki. Zdaniem sądu, choć to Halina K. wydała wyrok, nie ma przekonujących dowodów na to, że domagała się dla Eugeniusza K. kary więzienia, gdyż mogła zostać przegłosowana przez zasiadających w składzie orzekającym „ławników ludowych". Byli to zazwyczaj prości ludzie, bez wykształcenia prawniczego, delegowani do orzekania przez aktyw partyjny fabryk i zakładów pracy.

Igranie z ogniem

Jednak takie sprawy to błahostki, a prokuratorowi Pozorskiemu marzyły się śledztwa przynoszące rozgłos i korzystne politycznie dla PiS.

eprasa.pl 654cc469fe

Jesienią 2023 r. zostało umorzone śledztwo w sprawie akcji „Wisła". Zdaniem prokuratorów przymusowe przesiedlenie 140 tys. polskich obywateli (głównie narodowości ukraińskiej i łemkowskiej), skonfiskowanie ich majątków miało charakter prewencyjny i ochronny, a nie represyjny. Mało tego! „Ewakuacja odbywała się w sposób humanitarny. Przesiedlani zabierali ze sobą większość ruchomego dobytku i zwierzęta. W transporcie pomagało wojsko. Zapewniano im posiłki, leki i pomoc lekarską. (...) Przy przesiedleniach nie stosowano kryterium narodowościowego", stwierdziła prokuratura IPN, która potrzebowała kilkunastu lat, aby dokonać tak „przełomowych" ustaleń na podstawie dokumentów wytworzonych przez... władze PRL. Powszechnie krytykowana przez historyków decyzja o umorzeniu śledztwa nie była przypadkowa. Wszystko wskazuje na polityczny odwet na Ukraińcach, którzy kultywują pamięć Stephana Bandery, niechętni są ekshumacjom Polaków pomordowanych przez UPA i nie okazują wystarczającej wdzięczność za pomoc w wojnie z Rosją.

O ile usprawiedliwienie akcji „Wisła" można uznać za głupie, to inne śledztwa prokuratury IPN są niebezpieczne. Otóż prowadzone jest (po raz kolejny) śledztwo w sprawie uprowadzenia i zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki. Podstawą są lansowane od lat spiskowe teorie, wedle których legendarny kapelan Solidarności zginął w innym czasie, w innych okolicznościach i został zamordowany przez innych sprawców niż ci skazani w procesie toruńskim. Jedna z forsowanych wersji mówi, że Popiełuszko zginął niejako przypadkiem, torturowany przez funkcjonariuszy Wojskowej Służby Wewnętrznej (kontrwywiadu wojskowego), którzy chcieli go zwerbować do współpracy z KGB. Natomiast proces, w którym skazani zostali bezpośredni sprawcy morderstwa księdza – kpt. Grzegorz Piotrowski (na 25 lat więzienia), por. Leszek Pękala (15 lat) i por. Waldemar Chmielewski (14 lat), oraz ich przełożony płk Adam Pietruszka (25 lat) – miał być rzekomo sfingowany przez komunistyczne władze, a o wszystkim wiedział Episkopat Polski z ówczesnym prymasem Józefem Glempem.

W objęciach SB

Podobne absurdalne śledztwo zostało wszczęte przez prokuraturę IPN w 2020 r. po donosie sprokurowanym przez Radosława Petermana (współpracownika Antoniego Macierewicza) w sprawie rzekomego zabójstwa ks. Franciszka Blachnickiego, twórcy oazowego Ruchu Światło-Życie. Peterman przypomniał sobie o Blachnickim, gdy pisowskie media podały, że Jolanta Gontarczyk (zmieniła nazwisko na Lange), była agentka Służby Bezpieczeństwa rozpracowująca z mężem kapłana, dostała 2 mln zł z warszawskiego ratusza dla swojego stowarzyszenia.

W marcu 2023 r. prokurator Andrzej Pozorski wystąpił na wspólnej konferencji ze Zbigniewem Ziobrą i ówczesnym szefem IPN Karolem Nawrockim. Panowie ogłosili sensacyjną wiadomość, że ksiądz został otruty. Ustalono tak po ekshumacji szczątków duchownego, które poddano specjalistycznym badaniom, choć nie przedstawiono szczegółów. Politycy PiS skoczyli do gardła Rafałowi Trzaskowskiemu, zarzucając mu finasowanie morderczyni zasłużonego kapłana. Prawdopodobnie jednak prokurator Pozorski i spółka odstawili spektakl na użytek polityczny i nie ma żadnych wiarygodnych dowodów na to, że ksiądz został otruty.

Otóż śledztwo w sprawie śmierci ks. Blachnickiego było prowadzone już za pierwszych rządów PiS. W lipcu 2006 r., gdy ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym był Zbigniew Ziobro, sprawa została umorzona. Jak napisano w uzasadnieniu, „brak jest jakichkolwiek dowodów na to, by do śmierci ks. Franciszka Blachnickiego przyczyniły się osoby trzecie, a w szczególności by został otruty przez Jolantę i Andrzeja Gontarczyków".

Wiosną 2006 r., a więc gdy trwało jeszcze prokuratorskie śledztwo, na polecenie bp. Wiktora Skworca, ówczesnego ordynariusza diecezji tarnowskiej, przeprowadzano tajną ekshumację szczątków ks. Blachnickiego. Badania wykonali wynajęci przez biskupa pracownicy Zakładu Medycyny Sądowej w Katowicach, którzy złożyli przed hierarchą przysięgę, że zachowają dyskrecję. Sporządzono protokół z sekcji, a dokumenty ukryto w kościelnych archiwach. Wyniki badań szczątków ks. Blachnickiego nie wzbudziły podejrzeń władz kościelnych co do naturalnej śmierci kapłana, bo przecież gdyby było inaczej, bp Skworc na pewno poinformowałby o tym prokuraturę.

Nie wiadomo, jak wyglądała kościelna ekshumacja i badanie szczątków księdza. Wiele niewiadomych sprawia, że nowe ustalenia prokuratorów IPN (jeśli takowe rzeczywiście istnieją) będzie można podważyć. Oczywiście prokurator Pozorski mógłby rozwiać wszelkie wątpliwości, ale gdy o szczegóły zapytałem rzecznika prokuratury IPN, ten nie był rozmowny. Nie dowiedziałem się też, czy prokuratura przesłuchała bp. Skworca i pracowników zakładu medycyny sądowej i czy kościelna ekshumacja była legalna. A rola hierarchy w całej historii jest kluczowa. Nie tylko dlatego, że przeprowadził ekshumację, zatajając to przed prokuraturą, ale – jak wynika z akt zgromadzonych w IPN – był współpracownikiem SB. Władze kościelne zaś, wiedząc o związkach ówczesnego metropolity katowickiego z bezpieką, wyznaczyły go do nadzoru nad beatyfikacją Blachnickiego (sic!).

Pion śledczy IPN powinien zostać już dawno zlikwidowany, a prokuratorzy przeniesieni do prokuratury powszechnej. Jednak dla prawicy, która wykorzystuje historię do bieżącej walki politycznej, jest to zbyt cenny oręż, aby się go pozbyć.

Andrzej Sikorski

Pion śledczy IPN powinien zostać już dawno zlikwidowany, a prokuratorzy przeniesieni do prokuratury powszechnej.

eprasa.pl 654cc469fe

Nasze krople drążą skały

Na naszych kongresach nie ma płaczu, dominuje poczucie, że mamy co pokazać i czym się pochwalić

Rozmawia Robert Walenciak



PROF. HENRYK SKARŻYŃSKI
– otochirurg, specjalista z dziedziny otorynolaryngologii, audiologii, foniatrii i otolaryngologii dziecięcej. Od 2003 r. kieruje stworzonym przez siebie Światowym Centrum Słuchu Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu, wiodącym światowym ośrodkiem implantów słuchowych. Inicjator i organizator kongresów Zdrowie Polaków oraz Nauka dla Społeczeństwa.

To już siódmy Kongres Zdrowia Polaków, który pan organizuje. Warto w to się angażować?

– Warto było i należy to kontynuować. Pierwszy kongres odbył się w 2019 r. i pokazał ogromny potencjał tkwiący w wielu ośrodkach medycznych oraz w wielu zespołach. Zaprezentowaliśmy prawdziwe, trwałe osiągnięcia oraz wysoki poziom polskiej nauki i medycyny. To miało budować zaufanie do zawodów medycznych, do tego, co możemy zaoferować pacjentom. W jednej z debat spotkali się ministrowie lub wiceministrowie wszystkich kierownictw resortu zdrowia od początku lat 90. Przedstawiciele każdej ekipy w resorcie mogli powiedzieć i pokazać, co im się udało, ile było słusznych decyzji, których czasem nie dostrzegamy. To był przykład realnego wzniesienia się ponad wszelkie podziały.

Początkowo wydawało się, że Kongresy Zdrowia Polaków będą kolejną „ścianą płaczu". Przyjadą eksperci, uznani fachowcy, ponarzekają i się rozjadą. Tymczasem chyba jest inaczej.

– Na naszych kongresach nie ma płaczu, dominuje poczucie, że mamy co pokazać, czym się pochwalić w wymiarze lokalnym, krajowym, europejskim i światowym. Patrzymy szeroko na to, co można nazwać zdrowiem. Proszę zwrócić uwagę, że na kongresie rozmawiają nie tylko medycy, ale i przedstawiciele wydawałoby się trochę innych światów: kultury, sportu, gospodarki, humaniści i inżynierowie, przedstawiciele towarzystw naukowych oraz organizacji pacjentów, reprezentanci różnych środowisk i grup pokoleniowych. A potem, po każdej edycji kongresu, starannie opracowujemy rekomendacje dla decydentów wszystkich szczebli, dla samorządu i rządu.

Z jakim skutkiem?

– Nasze postulaty były prezentowane podczas specjalnych konferencji w Senacie RP. Potrafiliśmy doceniać siebie i innych, pokazując ich wkład oraz – co mnie najbardziej cieszy – systematyczne popychanie wielu spraw do przodu, zwłaszcza w edukowaniu społeczeństwa, w budowie postaw prozdrowotnych. Prezentując nasze rekomendacje, byliśmy słuchani. Czy zawsze szły za tym oczekiwane przez nas decyzje? Pewnie nie, ale nasze krople drążą skały.

Mówi pan, że wnioski i uwagi formułowane podczas kolejnych kongresów są uwzględniane i wdrażane.

– Przykładów można wymienić wiele, ale one są nie tylko naszą zasługą i nawet gdy wiem, że o czymś mówiliśmy jako pierwsi, czasem jedyni, nie upoważnia mnie to do przypisywania sukcesu tylko sobie. Zwykle jest on wypadkową wielu działań, w tym naszych.

Czyli?

– Pamiętam pierwsze debaty przedstawicieli samorządów różnych szczebli, którzy przedstawiali pojedyncze inicjatywy różnych akcji mających na celu upowszechnianie programów profilaktycznych. Dziś nie ma w Polsce samorządu na szczeblu gminy, powiatu czy województwa, który by nie wymienił całej palety przedsięwzięć prozdrowotnych. Czyja to zasługa? Na pewno nie tylko nasza… Ale to my stworzyliśmy forum wymiany poglądów czy upowszechniania dobrych praktyk, które zostały dostrzeżone, a następnie wdrożone w wielu miejscach. Te efekty to osiągnięcie zbiorowe. To cenne, gdy swój punkt widzenia, jak poprawić warunki w ochronie zdrowia, przedstawia

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 654cc469fe

rektor uniwersytetu, politechniki, wyższej szkoły psychologii społecznej, uczelni rolniczej, przyrodniczej, ekonomicznej oraz akademii sportu. Cieszy, że w debatach uczestniczą ministrowie zdrowia, obrony narodowej, nauki, edukacji i rolnictwa. Mamy poczucie, że jesteśmy słuchani i szanowani. I liczymy, że przyniesie to oczekiwane owoce – szybko lub w dalszej perspektywie. Jesteśmy pragmatyczni i cierpliwi. W zawodach medycznych to ważna cecha.

Nie radzimy sobie z zarządzaniem naszym zdrowiem. To obejmuje wiele obszarów działania lub zaniechań.

Przecież gdy pada określenie „system ochrony zdrowia", każdy inaczej to sobie wyobraża. Wiadomo, to szeroki obszar, obejmujący działania państwa, środowiska i zwykłych ludzi, pacjentów. Da się to połączyć?

– Nie jest to proste, ale daje się łączyć. Przed dwoma laty głównym głównym hasłem kongresu było: „One health" – jedno zdrowie. Bo zdrowie to nie tylko choroba, lek, szczepionka, badanie tomograficzne itd. Zdrowie to jest to, gdzie i jak żyjemy, jak traktujemy nasze otoczenie, jak o nie dbamy, by zapewnić dobrostan zwierzętom, roślinom i następnym pokoleniom ludzi.

Zdrowie to jedno, choroba to drugie.

– Jednym z większych problemów mentalnych, głęboko w nas zakorzenionych, jest ciągłe odnoszenie się do choroby. Coraz lepiej, a czasem bardzo dobrze radzimy sobie z tym, jak zarządzać chorobą, ale nie radzimy sobie z zarządzaniem naszym zdrowiem. To drugie jest o wiele trudniejsze, obejmuje wiele obszarów naszego działania lub naszych zaniechań. I co ważne – efekty właściwego podejścia do zarządzania zdrowiem nie przychodzą szybko, ale po kilku lub kilkunastu latach, co może mniej interesować polityków, bo mogą nie doczekać się efektów swojej pracy w tej kadencji.

Chodzi więc o to, by wszyscy myśleli na wiele lat naprzód?

– Efekty będą wówczas wspólne. Będziemy się czuli ojcami tych sukcesów, niezależnie od tego, który rząd wprowadził oczekiwane przez nas regulacje.

Może przykładem tego jest aplikacja HearBox mobile? Wymyślona w gronie lekarzy i naukowców, rozpropagowana za pomocą państwa, ale służąca wszystkim Polakom.

– To przykład współpracy wielu z nas i właściwego wykorzystania sztucznej inteligencji. To, mam nadzieję, będzie przykład powszechnego programu profilaktyki zdrowotnej, adresowanego do różnych grup pokoleniowych, od dzieci w wieku szkolnym do seniorów. Masowe, dotyczące całych populacji, badania profilaktyczne pod kątem wczesnego wykrywania wad słuchu lub w innych specjalnościach będą decydowały o naszych postawach prozdrowotnych i realnej powszechnej profilaktyce, która – jak wiemy – jest znacznie tańsza od leczenia.

Co jest dziś sprawą najbardziej przyciągającą uwagę? Zdrowie młodzieży? Sytuacja seniorów?

– Jedno i drugie wyzwanie ma takie samo znaczenie i taką samą wagę. Rodzi się nas coraz mniej, a seniorów z różnymi złożonymi problemami zdrowotnymi ciągle przybywa.

Ciągle brakuje właściwego podejścia do profilaktyki. Badania okresowe trzeba wymuszać administracyjnie.

Czy można coś wybrać i coś odłożyć na później? Nie, nie można. Dzieci od najmłodszych lat trzeba objąć właściwą edukacją i wdrażać realne, powszechne programy profilaktyczne. Brak rozsądnej profilaktyki prosenioralnej to mnożenie problemów osób w podeszłym lub zaawansowanym wieku. Jesteśmy jednym ze starzejących się społeczeństw i będziemy odczuwać te problemy coraz mocniej. Jeżeli nie będziemy budować w społeczeństwie realnych postaw prozdrowotnych, nie zaspokoimy wielu potrzeb tej grupy. Jeżeli dopuścimy do izolacji i wycofania wielu seniorów, koszty ich utrzymania będą gwałtownie rosnąć. Utrzymanie aktywności seniorów, to nie tylko przeciwdziałanie wykluczeniu i depresji.

Czy my, jako społeczeństwo, mamy większą świadomość prozdrowotną niż parę lat temu?

– I tak, i nie. Z jednej strony, w wielu postawach widać zmiany wobec choroby, wobec przekazywanych zaleceń. Z drugiej – ciągle brakuje mi właściwego podejścia do profilaktyki. Badania okresowe trzeba wymuszać administracyjnie, bo wielu ludzi uważa się za zdrowych i traktuje je jako zło konieczne. A gdy coś nagle zaboli, oczekują natychmiast cudownego wyleczenia tu i teraz. Brakuje mi ciągle pracy organicznej, systematycznego i powszechnego zmieniania pewnych nawyków i przyzwyczajeń. Obserwując różne akcje i „busy", w których można się zbadać, a prawie nikogo wokół nie ma, widzę akcje, a nie regularną pracę w systemie i nad sobą.

Pewnie więc już wiemy, skąd się biorą podatność na fake newsy i te kariery różnych szarlatanów.

– Lubimy czekać na cud. Na cudowne krople, fantastyczną tabletkę, dietę. Często to nieprawdopodobne, że ktoś może być tak naiwny, ale życie pokazuje, że tak jest.

Czy to się zmieni?

– Wierzę, że tak. Nie mamy wyjścia, chociaż nie jest łatwo. Odczuwam to na własnej skórze, kiedy w sieci wykorzystywany jest mój wizerunek z informacją, że mam patent na leczenie wielu chorób przypisanych do innych odległych specjalności niż moja. Z tym problemem boryka się wielu znanych lekarzy, których wizerunek w różnych mediach wykorzystuje się niemiłosiernie. A przecież można sprawdzić, czy jestem diabetologiem, proktologiem czy psychiatrą.

Spójrzmy w przyszłość – co oznacza wejście nowych technologii

eprasa.pl 654cc469fe

w obszar medycyny i ochrony zdrowia? Konieczność przekwalifikowania się lekarzy i personelu? Większą skuteczność leczenia? A może wyższe koszty?

– Często nowe technologie to również nowe koszty, ale też szanse. One także są wyzwaniem dla medyków. Trzeba ciągle się uczyć – i to wiemy. Ale czy wszyscy? Trzeba, korzystając z najnowszych technologii, eliminować mniej efektywne. Utrzymanie jednych i drugich winduje koszty. Czy w obecnym systemie ochrony zdrowia musi być tyle szpitali i wiele oddziałów, w których wykonuje się jeden, dwa czy kilka zabiegów miesięcznie, a nawet rocznie? Czy jakąkolwiek ochronę zdrowia w świecie stać na taką sieć szpitali, jaka jest u nas?

Ale czy ktoś ma odwagę powiedzieć mieszkańcom małego miasta, że trzeba zlikwidować szpital?

– Wiem, że wiele można by zmienić i jednocześnie widzę, że istnieje społeczny nacisk, by bronić tych szpitali i oddziałów jak niepodległości.

I co pan na to?

– Zmieniać system nie oznacza zamykać. Jak wspomniałem, powiększa się grupa senioralna naszych obywateli i z tym faktem trzeba się mierzyć. To może być realna szansa dla oddziałów, w których dzieje się mało lub w ogóle nic. I sygnał dla obywateli, że pomoc jest blisko, na wyciągnięcie ręki.

Jaki jest motyw przewodni siódmego kongresu? Jak powinien zostać zapamiętany?

– Że każdy element, jak w puzzlach, ma znaczenie. Ale by z rozsypanych kartoników powstała figura, trzeba odróżnić kolory i kształty. Inaczej jej się nie ułoży, niczego nie poskłada właściwie.

I jeszcze jedna ważna uwaga: Kongresy Zdrowia Polaków nie korzystają od samego początku ze wsparcia np. firm, producentów czy dystrybutorów. To nas wyróżnia, a wszystkim uczestnikom zapewniamy komfort w formułowaniu zaleceń dzielenia się tym, co robimy najlepiej – dla dobra wspólnego, zdrowia.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

7. Kongres Zdrowie Polaków

ZDROWIE – KAŻDY ELEMENT MA ZNACZENIE

To jedno z największych spotkań na temat problemów ochrony zdrowia, osiągnięć medycyny i nauki polskiej

Robert Walenciak

Kongres Zdrowie Polaków to jedno z największych w Polsce spotkań odnoszących się do najważniejszych problemów ochrony zdrowia, osiągnięć medycyny i nauki polskiej. Co roku uczestniczy w nim kilkuset wybitnych ekspertów z różnych dziedzin, przede wszystkim medycyny, ochrony zdrowia, jak również przedstawicieli parlamentu, urzędów centralnych, samorządów, środowiska akademickiego, edukacji, świata kultury, sportu i mediów, a także organizacji pacjentów. Obrady transmitowane online na kilku kanałach w internecie gromadzą tysiące zainteresowanych – w tych słowach przedstawia to wydarzenie jego inicjator prof. Henryk Skarżyński.

Dorzućmy do tej krótkiej wizytówki jeszcze parę słów. Obserwuję kolejne kongresy, uczestniczyłem w panelu mediów i kilka refleksji z tych godzin spędzonych w Kajetanach nasuwa się samych.

Kongres jest inny niż większość zlotów poświęconych zdrowiu i jego ochronie. Z jednego powodu – mało jest w nim narzekania, to nie jest „ściana płaczu", uczestnicy koncentrują się na przyszłości. Rozmawiają o tym, co zrobić, co poprawić i jak to powinno działać.

Poza tym zamiast narzekania jest budowanie pewności siebie – wybitni profesorowie, liderzy w swoich dziedzinach, wybitni naukowcy i akademicy mówią o własnych sukcesach oraz osiągnięciach. I o planach na przyszłość.

Kongres obdarza więc pozytywną energią. Nie mam wątpliwości – to zasługa prof. Henryka Skarżyńskiego – który niczym wytrawny coach buduje nas wszystkich.

Ma na to papiery, jego autorytet jest niekwestionowany, osiągnięcia widać na każdym kroku. Jego Światowe Centrum Słuchu rzeczywiście jest światowe, zapewnia dostęp do najnowszych technologii. Profesor zresztą to mówi: „Jako lekarz, robię wszystko, co mogę, by moje metody diagnozowania, leczenia i rehabilitacji były na jak najwyższym poziomie. Często mam okazję powiedzieć, że to, co robię, pozwala Polakom jako pierwszym lub jednym z pierwszych w świecie na dostęp do najnowszych technologii". I dodaje: „Jako pacjent, a takim też czasem bywam, chcę mieć przekonanie, że gdy idę do innego lekarza, to on ma również takie samo podejście do naszego zawodu".

W ten sposób profesor zaprasza nas wszystkich, byśmy weszli na drogę, którą on idzie – na drogę ciężkiej pracy i sukcesu. Otwierając

eprasa.pl 654cc469fe

kongres na liderów w innych dziedzinach, by mówili o swoich osiągnięciach, tworzy atmosferę, że potrafimy i że zrobimy. Buduje pewność siebie.

Nie, nie jest to atmosfera typu „mówimy sobie same przyjemne rzeczy", lecz raczej odprawy bojowej. Prezentacji, co powinniśmy i możemy zrobić.

Możemy więc na kongresie usłyszeć wybitnych fachowców i różne środowiska. Zwróćmy uwagę na krótką informację organizatorów: „Kongres Zdrowie Polaków jest organizowany przez Radę Główną Instytutów Badawczych, Światowe Centrum Słuchu, Instytut Narządów Zmysłów i Fundację Po Pierwsze Zdrowie przy wsparciu licznych zespołów akademickich, jednostek centralnych i regionalnych, organizacji pozarządowych, organizacji pacjentów i towarzystw naukowych z wielu dziedzin nauki i medycyny".



Oczywiście wszyscy wiemy, że w demokracji, by coś zostało zmienione, musi zyskać akceptację wielu środowisk, także decydentów, a to długa droga. Odnoszę wrażenie, że profesor znalazł na to sposób. Zaprasza również na kongres ministrów, wiceministrów, ale i przedstawicieli społeczeństwa obywatelskiego. Tak, by w gronie osób kompetentnych przedyskutować pewne sprawy i wypracować dobry konsensus.

Czy to się udało? Henryk Skarżyński podpowiada, że pomysły suflowane na kongresie znajdują się w pakietach programowych wszystkich niemal ugrupowań. I wiele z nich jest realizowanych. „Analizując rozmaite ustawy i wypowiedzi władz centralnych, mogę z satysfakcją powiedzieć, że wiele wcześniejszych uwag i wniosków, które zostały opracowane przez środowisko specjalistów, wspierane przez organizacje pacjentów i towarzystwa naukowe, znalazło się w różnych rozporządzeniach, zarządzeniach oraz obowiązujących wytycznych. Jestem przekonany, że praca tak wielu ekspertów zostanie zauważona także tym razem", podkreśla.

Obrady transmitowane online na kilku kanałach w internecie gromadzą tysiące zainteresowanych.

To istotna konstatacja – mówi uczestnikom, że nie debatują na próżno. Że mają wpływ. A decydentom – że warto posłuchać.

To także szansa, by spojrzeć w przyszłość. Obecny, 7. Kongres Zdrowie Polaków, który odbędzie się w dniach 24-26 listopada 2025 r. w Centrum Kongresowym Światowego Centrum Słuchu w Kajetanach, ma być okazją do dyskusji m.in. nad rozwojem nowych technologii w ochronie zdrowia. Organizatorzy o tym informują: „Jednym z cieszących się dużym zainteresowaniem tematów będzie zastosowanie sztucznej inteligencji w medycynie. Dziś nikt nie ma wątpliwości, że AI to przyszłość w diagnostyce i leczeniu. Podobnie jak interdyscyplinarne projekty i badania z udziałem ekspertów różnych dziedzin, nie tylko medycyny, nauk przyrodniczych czy nauk technicznych, lecz także nauk ekonomicznych i humanistycznych".

Interdyscyplinarność, szerokie spojrzenie na sprawy zdrowia czy też – używając modnego zwrotu – dobrostanu nas wszystkich to następna cecha charakterystyczna kongresu. W tym roku jego mottem jest hasło „Zdrowie – każdy element ma znaczenie". A symbolem puzzel.

To wiele pokazuje, że dopiero współpraca różnych środowisk, medycznych, naukowych, edukacyjnych, gospodarczych, kulturalnych i medialnych, pozwala na zbudowanie skutecznego systemu. A brak któregokolwiek z nich, tak jak brak pojedynczego puzzla w układance, będzie widoczny i nie pozwoli uznać układanki za ukończoną.

Symbol puzzla pokazuje też, że gdy mówimy o zdrowiu, mówimy o dziesiątkach wzajemnie powiązanych spraw, które trzeba ułożyć.

Dlatego tematyka kongresu jest szeroka. Będzie dużo wykładów o nowych technologiach, ale i o profilaktyce i edukacji prozdrowotnej. Będą dyskusje związane z kondycją zdrowotną polskiego społeczeństwa, poświęcone zdrowiu dzieci i młodzieży, dobrostanowi psychicznemu Polaków oraz działaniom wspierającym seniorów.

Po kongresie tradycyjnie przygotowany zostanie raport zawierający rekomendacje. Każda dyskusja powinna przecież skończyć się przyjęciem wniosków. Potem te rekomendacje trafią na biurka decydentów. Wszystko musi być pożyteczne.

Robert Walenciak

eprasa.pl 654cc469fe

Z Galicji



Jan Widacki

Uniwersytety w czasach postnauki

Miałem niedawno wykład dla studentów jednego z kierunków nauk społecznych. Uczelnia w dużym mieście akademickim. Mówiłem o teoriach kryminologicznych. Wspominając Bronisława Malinowskiego i jego książkę „Zwyczaj i zbrodnia w społeczności dzikich", chciałem dorzucić jako ciekawostkę, że na jedną ze swoich wypraw na wyspy Pacyfiku Malinowski zabrał w charakterze fotografa dokumentalisty Witkacego. Płynęli statkiem i gdzieś w Azji dotarła do nich wiadomość o wybuchu I wojny światowej. Witkacy poczuł silny imperatyw udziału w tej wojnie, zrezygnował z dalszej wyprawy i zawrócił do Europy. Początkowo nie bardzo wiedział, do której konkretnie armii powinien się zaciągnąć. Czy jako formalnie poddany rosyjski do carskiej, czy jako od lat mieszkaniec Galicji raczej do c.k. armii lub legionów. Ostatecznie – a płynął długo i czasu na rozwiązanie tego problemu miał dużo – wybrał armię carską.

Ja im to z zapałem opowiadam, a słuchacze patrzą spokojnie w swoje telefony, niektórzy pilniejsi wprawdzie nie w telefony, tylko na mnie, ale powiedzmy delikatnie… nieco beznamiętnym wzrokiem. Na wszelki wypadek zapytałem więc, czy wiedzą, kto to był Witkacy. Nikt nie wiedział! Nikt z kilkudziesięcioosobowej grupy!

Parę tygodni wcześniej miałem wykład dla studentów prawa. Ta sama uczelnia, to samo duże miasto akademickie. Mówię o początkach kryminalistyki. Wspominam prof. Hansa Grossa, który uchodzi za ojca kryminalistyki. Robię dygresję. Gdy Gross na niemieckim uniwersytecie w Pradze wykładał procedurę karną, jednym z jego studentów był Franz Kafka. Żartuję, że pod wpływem tego wykładu Kafka napisał „Proces". Niektórzy nie odrywają wzroku od telefonów, inni, ci pilniejsi albo może tylko lepiej wychowani, patrzą na mnie niewinnymi dziecięcymi oczętami. Zero reakcji. „Czy ktoś z państwa czytał »Proces«?", pytam nieśmiało. Cisza. „Nikt nie czytał?", trochę mnie to dziwi. Dla przyszłych prawników „Proces" Kafki naiwnie wydawał mi się lekturą niemal obowiązkową. No dobrze. Nikt nie czytał. A kto to był Franz Kafka? Cisza! Na ekrany właśnie wszedł film Agnieszki Holland o Kafce, a w lokalnym teatrze grany jest spektakl – adaptacja „Procesu". Muszę się pogodzić z tym, że studenci prawa, przyszli sędziowie i adwokaci, nie tylko nie słyszeli o Kafce, nie tylko nie czytali ani nie oglądali na scenie „Procesu", ale nawet nie wiedzą, że coś takiego jest.

Jak widać, w Polsce można skończyć w dużym mieście szkołę średnią, w dodatku o profilu humanistycznym, zdać maturę i nie słyszeć nic o Witkacym ani o Kafce. Nie interesować się filmem, teatrem ani literaturą. To czego uczą w liceach o profilu humanistycznym?

W ramach swojej praktyki adwokackiej miałem do czynienia z pewną, powiedzmy, aferą, w jednym z najlepszych liceów krakowskich. Przy tej okazji dowiedziałem się, że w tej szkole niemal wszyscy uczniowie, od pierwszej klasy począwszy, biorą korepetycje! No to teraz nie wiem, czy wysoka pozycja tego liceum w rankingach jest zasługą kadry nauczycielskiej, czy bardziej zasługą anonimowych korepetytorów, a ściślej bogatych rodziców, których stać na opłacanie korepetycji.

W warunkach niżu demograficznego każdy student, choćby nawet nieuk, to skarb.

Prawdą jest, że nauczyciele w Polsce zarabiają marnie. O tym przynajmniej się mówi (choć niewiele z tego wynika). O zarobki nauczycieli upominają się z różną skutecznością związki zawodowe. Ale też prawdą jest, że poziom nauczania w szkole jest marny. A o tym już się nie mówi. I zdaje się nie jest to przedmiotem specjalnej troski związków zawodowych. Nie słyszałem też, by martwiło się tym nadmiernie Ministerstwo Edukacji Narodowej. Matura jest coraz łatwiejsza, nie trzeba szczególnie się wysilać, by ją zdać. A na każdego maturzystę czekają wolne miejsca na studiach zarówno w nadmiernie licznych uczelniach publicznych, jak i prywatnych. Każdy, kto tylko ma ochotę i pieniądze na czesne, może w Polsce studiować. Nawet szczególny zapał do zdobywania wiedzy nie jest potrzebny. Uczelnie publiczne i prywatne tworzą coraz nowsze kierunki studiów. Publiczne, by zapełnić pensa dydaktyczne dla zbyt licznej i często bardzo marnej kadry naukowej. Prywatne, dodatkowo, by zarobić na opłatach czesnego. W warunkach niżu demograficznego każdy student, choćby nawet nieuk, to skarb. Musimy chyba pogodzić się z nową rolą uniwersytetów w czasach postnauki. Skutki tego poznamy po latach. ■

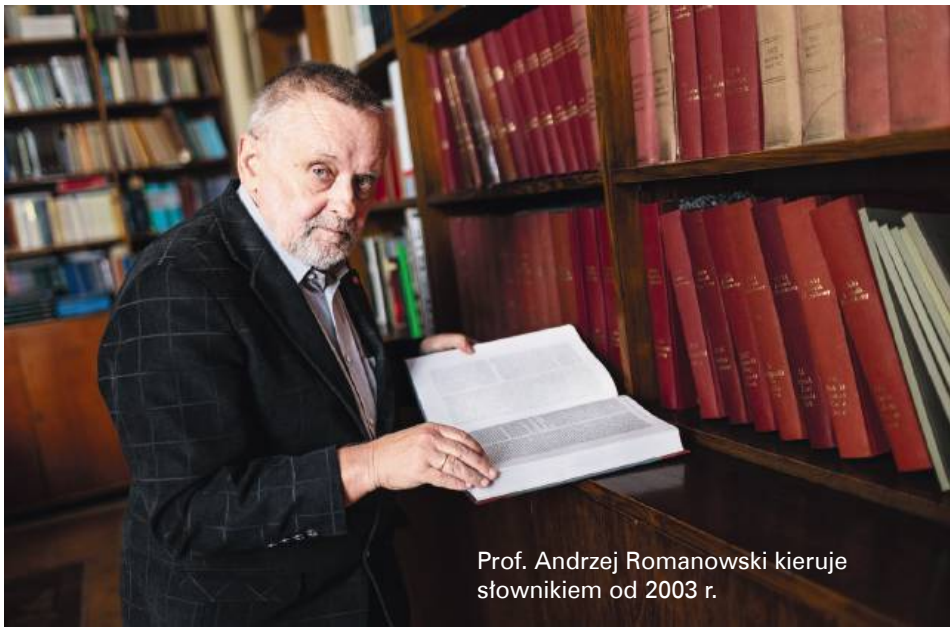
Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 654cc469fe

Poczet Polaków Rzeczypospolitej

Paweł Dybicz

Polski Słownik Biograficzny jest zjawiskiem unikatowym nie tylko w naszej części Europy. Niewiele państw ma podobne, tak rozbudowane wydawnictwo. W tym roku przypada 90. rocznica ukazania się pierwszego numeru słownika (10 stycznia 1935 r.). Z tej okazji w Krakowie zorganizowana została konferencja naukowa, podczas której zaprezentowano dotychczasowy dorobek PSB i nakreślono zadania nie tylko na najbliższe lata, ale i dziesięciolecia.



Prof. Andrzej Romanowski kieruje słownikiem od 2003 r.

Przesłanie Konopczyńskiego

Pomysłodawcą i zarazem pierwszym redaktorem naczelnym słownika był prof. Władysław Konopczyński, w środowisku historyków nazywany „pożeraczem archiwów". Choć należał do znaczących polityków Narodowej Demokracji, jego poglądy nie znajdowały odbicia w publikowanych biogramach, których wiele sam napisał. Z powodu tej naukowej bezstronności i dbałości o to, by słownik również był bezstronny, endecy niekiedy krytykowali redaktora za… filosemityzm!

Konopczyński, słusznie zaliczany do grona największych polskich historyków, w pierwszym numerze PSB zawarł jego przesłanie: „Nie wysławia ani zniesławia". W wydanym przez „Przegląd" wywiadzie rzece „Życie pełne historii", w rozdziale poświęconym słownikowi, na moje pytanie o aktualność tych słów prof. Andrzej Romanowski odpowiada, że są aktualne „do ostatniego przecinka. Bo jakże proroczo dziś brzmią! W czasach stalinowskich słownik nie poszedł na żadne kompromisy – jedynego kompromisu dokonał sam Konopczyński, bo chcąc ratować PSB, ustąpił ze stanowiska. Ale nie zapobiegł niczemu: nie sposób było dogadać się z cenzurą w sprawie biogramu Feliksa Dzierżyńskiego. Słownik został zawieszony". Po raz drugi, bo w czasie wojny oczywiście się nie ukazywał. Zawieszenie uchroniło słownik od propagandowych treści obowiązujących w czasach stalinowskich.

Zacytuję jeszcze jeden fragment z wywiadu rzeki: „Prof. Tazbir, w moich czasach przewodniczący Rady Naukowej PSB, mówił: »Chwała Bogu, że PSB został zawieszony. Gdyby wychodził, jakże byście musieli się wstydzić wydrukowanych wtedy biogramów!«". Prof. Romanowski dodaje, że aktualność dewizy „Nie wysławia ani zniesławia" polega na tym, że „w PSB nie wartościujemy, nie rozważamy, kto miał rację, nie wdajemy się w dywagacje, kto był ważny, a kto ważniejszy. Jedyne wartościowanie to opinie współczesnych oraz cytaty z opracowań i ze stanu badań. Autor i redaktor powstrzymują się od własnych ocen".

Czym trzeba się zasłużyć, by znaleźć się w PSB? Poprzednik prof. Romanowskiego, prof. Henryk Markiewicz, zawsze żartobliwie odpowiadał: „Przede wszystkim trzeba umrzeć". Ale decydują inne kryteria, które wraz z upływem czasu nie tyle się zmieniały, ile rozszerzały, co zaowocowało wzrostem liczby biogramów umieszczanych ze względu na ich wielkość. Wraz z kolejnymi tomami w słowniku pojawiały się postacie, które u jego zarania by się tam nie znalazły, ot, choćby działacze ruchu robotniczego czy ludowego. Słowem, PSB stawał się narodowym, drukowanym pocztem ludzi wybitnych i znaczących dla Polski i polskości, którzy najczęściej nie spoczywają w alejach zasłużonych. Ich biografie to małe lub większe przewodniki po życiorysach, a także wskazówki, w jakich publikacjach można poszerzyć wiedzę o nich.

W PSB znajdziemy biogramy „Polaków z Polski", ale także ludzi żyjących poza jej granicami. Mających nie tylko polskich przodków i poczuwających się do związków z Polską, lecz także szczycących się dokonaniami, które

Polski Słownik Biograficzny, wydawany przez Polską Akademię Nauk i Polską Akademię Umiejętności, jak dotąd w 55 i pół tomach, liczy w tej chwili 36 313 stron drobnego, dwuszpaltowego druku i zawiera – w jednolitym porządku alfabetycznym 28 914 życiorysów Polaków oraz ludzi z Polską związanych od IX do XX w. Aktualnie zespół PSB kończy opracowywanie biogramów na literę T.

eprasa.pl 654cc469fe

odnoszą się do szeroko rozumianego polskiego dziedzictwa narodowego. Dlatego słownik jest egzemplifikacją nie narodowej czy nacjonalistycznej Polski, ale świadectwem wielonarodowej Rzeczypospolitej.

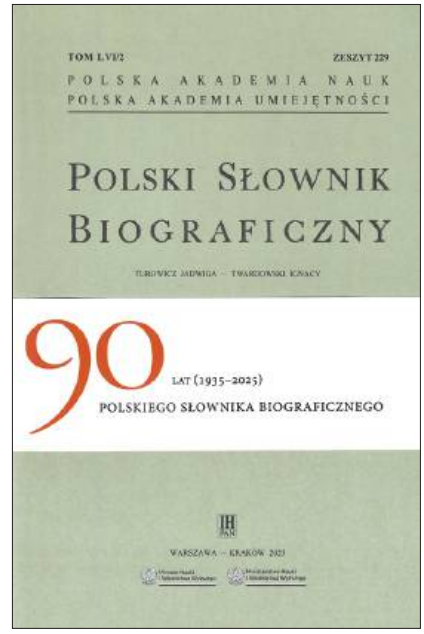
Następcy

Po odwilży Października '56 słownik znów zaczął się ukazywać – od 1958 r. Jego redaktorem naczelnym został bliski, długoletni – jeszcze w czasach przedwojennych – współpracownik Konopczyńskiego, późniejszy poseł na Sejm i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Kazimierz Lepszy, który do PSB wprowadził ludzi drugiego planu, nie tylko tych z pierwszych stron gazet. Po nim szefował PSB prof. Emanuel Rostworowski – za jego czasów znacząco rozbudowano biogramy – a następnie prof. Władysław Markiewicz, który na swojego następcę wskazał prof. Andrzeja Romanowskiego, kierującego słownikiem od 2003 r.

Temu ostatniemu przychodzi działać w czasie, kiedy nowoczesność i brak odpowiednich finansów mocno odciskają się na pracy zespołu słownika, dodajmy świetnie przygotowanego merytorycznie. Zespół ten prezentuje, podobnie jak członkowie Rady Programowej i 4 tys. (!) autorów, różne poglądy polityczne, ale jedno dla wszystkich jest najważniejsze – wierność przesłaniu wyartykułowanemu przez Konopczyńskiego. Słownik nie ma więc powodów, by się wstydzić za publikowane biogramy.

Słownik ma na celu wyłącznie informowanie, a nie szerzenie jakichkolwiek zasad czy programów. Nie wysławia ani zniesławia, nie jest „Plutarchem" polskim, nie ubiega się za rewelacją ani rewizją starych poglądów. Jeżeli niektóre osobistości w świetle naszych badań stracą nieco ze swego nimbu, to za to setki innych, zapomnianych lub niedocenionych, odzyskają miejsce w pamięci pokoleń ze swym dodatnim plonem życiowym. Niewątpliwie stracą na tym ulubieńcy dziejów, zyska naród jako zespół twórczych pokoleń – i zyska prawda dziejowa.

Prof. Władysław Konopczyński, z „Przedmowy" w I tomie PSB



Jubileuszowe wydanie słownika.

Zagrożeniem dla PSB są Wikipedia czy sztuczna inteligencja. Trzeba docenić ich wartość, ale należy wiedzieć, że przedstawiane przez nie biogramy nie podlegają rygorom wymaganym w nauce. Na pytanie, czym się różnią biogramy w Wikipedii od słownika, należy odpowiedzieć: te pierwsze są treściowo popularne, a te w PSB – naukowe i w pełni rzetelne. Dlatego rządzącym naszym państwem, bez względu na zapatrywania polityczne, powinno zależeć na tym, by naukowo opracowane biogramy były powszechne. Należy zatem wspomagać redakcję słownika, aby obok drukowanych zeszytów mogła prowadzić cyfrową popularyzację biogramów godnych zaufania.

W internecie dostępna jest tylko pewna część biogramów PSB, większości wydrukowanych przed dziesiątkami lat nie ma w sieci z uwagi na prawa autorskie.

Drugim ważnym, a w zasadzie decydującym czynnikiem wpływającym na dorobek i losy słownika są finanse, mocno ograniczające jego zespół redakcyjny. A przecież czeka go ogrom pracy, bo z powodu długoletniego wydawania słownik nie zawiera biogramów osób, które zmarły przed 2001 r. Wielkich Polaków, takich jak chociażby Władysław Anders, Józef Beck, Olga Boznańska, Jerzy Giedroyc, Edward Gierek i Władysław Gomułka, kończąc na noblistach, Wisławie Szymborskiej czy Czesławie Miłoszu. W momencie opracowywania nazwisk na ich literę alfabetu ludzie ci nadal żyli. Gdy uzmysłowimy sobie, że do opisania są zmarli w nowym już tysiącleciu, łatwiej zrozumieć, że Polski Słownik Biograficzny nie jest i nie może być zamkniętą publikacją, musi stale być uzupełniany i trwać wraz z Polską i Polakami. I musi, jak powiedział prezes PAU prof. Jan Ostrowski, ciągle znajdować się w orbicie zainteresowania rządzących, którzy powinni stale dbać o należyte zabezpieczenie finansowe wydawania PSB.

Pięć lat i...

Pewnym światełkiem w tunelu, o czym poinformował prof. Romanowski, jest przyznanie w ostatnich dniach przez kierownictwo resortu nauki corocznej (do 2030 r.) dotacji dla PSB w wysokości 2,5 mln zł. To dofinansowanie pozwoli rozpocząć prace nad Suplementem PSB, jak również nad nową serią biogramów ludzi zmarłych po 2000 r. W uzyskaniu owych dotacji obok obecnych i minionych władz ministerstwa i niektórych posłów Nowej Lewicy, ma swój udział również „Przegląd". Wspieraliśmy prof. Romanowskiego, nie tylko na łamach naszego tygodnika, w jego staraniach o dofinasowanie.

Dla prawidłowego funkcjonowania słownika kluczową sprawą jest także to, by biogramy były punktowane, bo ich napisanie, przy ogromnej kwerendzie archiwalnej, jest nieraz trudniejsze niż zamieszczenie jakiegoś, opartego na opracowaniach, artykułu w mniej lub bardziej naukowym periodyku.

Z okazji jubileuszu zorganizowano interesującą wystawę „Droga wytrwałości. Z dziejów polskiej biografii narodowej", eksponowaną co najmniej do końca roku w Archiwum Nauki PAN i PAU w Krakowie przy ul. Św. Jana 26. ■

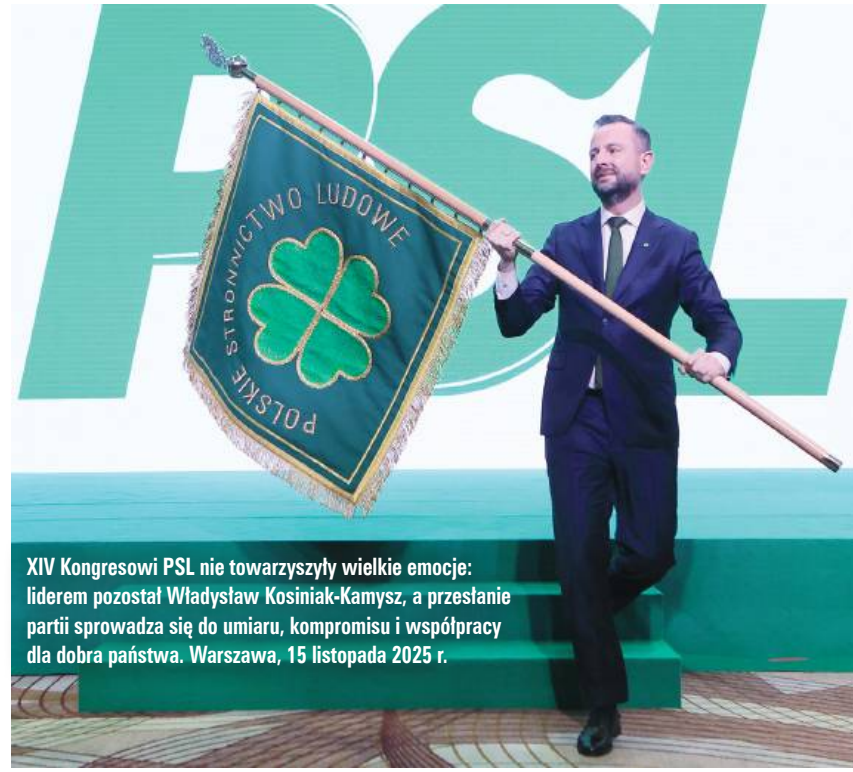
FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 654cc469fe

STRONNICTWO DŁUGIEGO TRWANIA

PSL to jedyna partia, która pod tą samą nazwą działa od początku III RP i zasiada w każdym Sejmie demokratycznej Polski

Paweł Siergiejczyk



XIV Kongresowi PSL nie towarzyszyły wielkie emocje: liderem pozostał Władysław Kosiniak-Kamysz, a przesłanie partii sprowadza się do umiaru, kompromisu i współpracy dla dobra państwa. Warszawa, 15 listopada 2025 r.

Odbywającemu się 15 listopada XIV Kongresowi Polskiego Stronnictwa Ludowego nie towarzyszyły wielkie emocje: lider pozostał ten sam, przesłanie partii też nie jest zbyt ekscytujące jak na nasze czasy, bo nieustannie sprowadza się do umiaru, kompromisu i współpracy dla dobra państwa. Żadnych awantur, żadnego oskarżania przeciwników politycznych o zdradę narodu itd. Nic dziwnego, że PSL nie należy do głównych aktorów spektaklu medialnego, który od dawna dominuje w polskiej polityce.

W sytuacji, gdy Władysław Kosiniak-Kamysz był jedynym kandydatem na prezesa, otrzymując niemal stuprocentowe poparcie delegatów, wewnątrzpartyjną rywalizację pobudziły wyłącznie wybory na przewodniczącego Rady Naczelnej PSL. Wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski zdecydowanie pokonał pełniącego tę funkcję od czterech lat Waldemara Pawlaka, co wyraźnie świadczy o zmierzchu wpływów byłego premiera, obecnie senatora z okręgu płockiego (z tego samego okręgu pochodzi zresztą Zgorzelski).

Polityczny życiorys Pawlaka jest dobrą ilustracją faktu, że PSL zawsze stanowiło najbardziej demokratyczną partię na polskiej scenie. Pawlak dwukrotnie był wybierany na prezesa Stronnictwa (w 1991 i 2005 r.), dwukrotnie tę funkcję tracił (w 1997 i 2012 r.), a mimo to nigdy nie wypadł z PSL-owskiej elity, zdobywając wyjątkowe jak na niestabilną polską politykę doświadczenie parlamentarne (poseł w latach 1989-2015) i rządowe (premier w latach 1992 i 1993-1995, wicepremier i minister gospodarki w latach 2007-2012).

„Długie trwanie", termin wprowadzony do światowej nauki przez wybitnego francuskiego historyka Fernanda Braudela, świetnie pasuje do PSL. Jest to bowiem jedyna partia, która pod tą samą nazwą działa od początku III RP i zasiada w każdym Sejmie demokratycznej Polski. Ale to także najstarsze ugrupowanie w naszym kraju, jego organizacyjna ciągłość liczy 130 lat – od momentu, gdy w 1895 r. w austriackiej Galicji powstało Stronnictwo Ludowe jako reprezentacja polityczna polskich chłopów, wymyślona jednak przez postępowych inteligentów, którym z całą pewnością bliżej było do ówczesnej lewicy niż do prawicy.

Od tego czasu ruch ludowy przeżywał rozłamy i zjednoczenia,

eprasa.pl 654cc469fe

wielokrotnie zmieniał nazwy i programy, ale ciągłość jego istnienia stanowi niewątpliwy fenomen w najnowszej historii Polski. Ani lewica, ani tym bardziej prawica nie może się pochwalić tak długą i nieprzerwaną tradycją. Nic zatem dziwnego, że ludowcy tę swoją tradycję pielęgnują jak żadne inne środowisko polityczne, co idzie w parze z naturalną, ewolucyjną rotacją kolejnych pokoleń działaczy – w przeciwieństwie do innych partii, rozrywanych konfliktami na linii starzy-młodzi.



XIV Kongres Polskiego Stronnictwa Ludowego, nz. Krzysztof Hetman, Urszula Nowogórska i Waldemar Pawlak. Warszawa, 15 listopada 2025 r.

Syn i bratanek

Dobrą tego ilustracją jest sam Kosiniak-Kamysz, syn i bratanek PSL-owskich ministrów z początków III RP, który w wieku 30 lat po raz pierwszy wszedł do rządu (jako minister pracy i polityki społecznej w 2011 r.), cztery lata później został prezesem Stronnictwa i dopiero po dwóch kadencjach w opozycji powrócił do ław rządowych, tym razem już w charakterze wicepremiera i ministra obrony. Ludowcy potrafią więc czekać, wychowując nowe kadry na kolejne lata i dziesięciolecia, ale też okazując – również wyjątkowy jak na polskie standardy – szacunek dla swoich nestorów, o czym świadczy niezwykła atencja okazywana byłemu marszałkowi Sejmu Józefowi Zychowi (rocznik 1938). Swoją drogą, przez długie lata podobnym szacunkiem wśród ludowców cieszył się ostatni marszałek PRL-owskiego Sejmu Roman Malinowski, zmarły w 2021 r.

W PSL-owskiej „polityce historycznej" szczególnie mocno podkreśla się dwa nazwiska z dalszej przeszłości: Wincentego Witosa i Stanisława Mikołajczyka. Obaj byli chłopskimi premierami, co było rzeczą niezwykłą w naszym kraju – rolniczym, wiejskim, ale do 1945 r. zdominowanym przez elity pochodzenia szlacheckiego. W dodatku obaj stawali na czele rządów w krytycznych momentach XX-wiecznej historii: Witos latem 1920 r., gdy Armia Czerwona szła na Warszawę i Polsce groził los sowieckiej republiki, Mikołajczyk zaś latem 1943 r., gdy ta sama Armia Czerwona zbliżała się do ziem polskich i nikt nie wiedział, jak będzie wyglądał nasz kraj po wojnie.

Obaj należą dziś do panteonu polskiego patriotyzmu, nawet tego oficjalnego, lansowanego przez IPN, mimo że ich biografie były bardziej skomplikowane. Witos był przecież tym premierem, którego rząd został obalony przez zamach majowy w 1926 r., co postawiło go w szeregu liderów antysanacyjnej opozycji i zaprowadziło do twierdzy brzeskiej, a potem na ławę oskarżonych i w końcu na wieloletnią emigrację, z której powrócił dopiero przed wybuchem wojny.

Tak samo antysanacyjną postawę prezentował młodszy o całe pokolenie Mikołajczyk, który w przeciwieństwie do „niezłomnych z Londynu" w ostatnim roku wojny usilnie podejmował próby dialogu ze Stalinem o przyszłości Polski, po czym wrócił do kraju jako wicepremier Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej i jednocześnie lider PSL (z namaszczenia umierającego już Witosa).

Mikołajczykowskie PSL w latach 1945-1947 było mniej więcej tym samym, czym Solidarność Lecha Wałęsy w latach 1980-1981, czyli próbą legalnego, demokratycznego i całkowicie pokojowego zorganizowania tej większości społeczeństwa, która krytycznie odnosiła się do rządów PPR/PZPR, ale rozumiała położenie geopolityczne Polski i zasadniczo akceptowała powojenne przemiany społeczno-gospodarcze. Obie te próby okazały się krótkotrwałe i nieskuteczne, jednak świadczyły o tym, że polskie społeczeństwo, w ogromnej większości o chłopskim rodowodzie, wcale nie jest skłonne iść drogą „żołnierzy wyklętych" z lat 40. ani solidarnościowych radykałów z lat 80., o czym IPN-owska propaganda nie chce dziś oczywiście pamiętać.

Polityczny życiorys Pawlaka jest dobrą ilustracją faktu, że PSL zawsze stanowiło najbardziej demokratyczną partię na polskiej scenie.

Przeszłość bez ZSL

Witos i Mikołajczyk reprezentują więc w tradycji ruchu ludowego to wszystko, co dzisiejsze PSL tak lubi eksponować: niezłomny patriotyzm połączony z politycznym realizmem, obronę demokracji ze skłonnością do kompromisu i umiaru – wszak to dzięki chłopskim posłom z klubu Witosa pierwszymi prezydentami Polski zostali kolejno umiarkowani, centrowi inteligenci Gabriel Narutowicz i Stanisław Wojciechowski, a nie kandydaci nacjonalistyczno-klerykalnej prawicy.

Jest jednak w tej 130-letniej tradycji okres, do którego dzisiejsi

eprasa.pl 654cc469fe

ludowcy przyznają się niechętnie: to lata 1949-1989, kiedy na gruzach powojennego PSL, po ucieczce Mikołajczyka na Zachód, zbudowano Zjednoczone Stronnictwo Ludowe. O tej partii mało kto już pamięta, gdyż jej istnienie nie mieści się w IPN-owskim szablonie „totalitarnego państwa", jakim rzekomo była PRL. Państwo totalitarne z definicji bowiem jest monopartyjne, tymczasem przez cały okres Polski Ludowej obok partii rządzącej istniały dwa „stronnictwa sojusznicze": wyrosłe z inteligencko-masońskiej tradycji lat 30. Stronnictwo Demokratyczne i właśnie ZSL, stanowiące naturalną kontynuację całej tradycji ruchu ludowego od 1895 r.

Rola ZSL w powojennej historii zwykle jest marginalizowana, choć w tamtych czasach nawet partia rządząca starała się ludowców dowartościowywać i eksponować, o czym najlepiej świadczył fakt stałego sprawowania przez prezesa ZSL funkcji marszałka Sejmu.

Marszałkami byli więc kolejno: w latach 1947-1952 chłopski literat Władysław Kowalski, od 1957 do 1971 r. Czesław Wycech, przedwojenny nauczyciel, w czasie okupacji kierujący Departamentem Oświaty i Kultury Delegatury Rządu na Kraj, a po wojnie PSL-owski minister oświaty, w latach 1971--1972 prof. Dyzma Gałaj, socjolog i ekonomista, w młodości żołnierz Batalionów Chłopskich, w latach 1972-1985 również wywodzący się z BCh Stanisław Gucwa, między rokiem 1985 a 1989 wspomniany już Roman Malinowski, wreszcie w latach 1989-1991 socjolog i seksuolog prof. Mikołaj Kozakiewicz.

Powierzenie ludowcom laski marszałkowskiej było ukłonem w stronę innej ważnej postaci z dziejów ruchu ludowego – Macieja Rataja, który kierował Sejmem II RP w latach 20., gdy musiał aż dwukrotnie przejmować obowiązki głowy państwa: po zabójstwie prezydenta Narutowicza i po zamachu majowym.

Dwaj ostatni ZSL-owscy marszałkowie odegrali zresztą równie ważną rolę w przemianach ustrojowych 1989 r.: Malinowski jako prezes Stronnictwa miał kluczowy udział w powołaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego, a Kozakiewicz skutecznie kierował Sejmem „kontraktowym", który uchwalił większość reform kładących fundamenty pod budowę III RP. Szkoda, że o tych „ojcach Trzeciej Niepodległości" dzisiaj się nie pamięta, ale też trudno, by było inaczej, skoro w przestrzeni publicznej dominuje prawicowa wizja dziejów, ukazująca tamte wydarzenia jako wielkie oszustwo zorganizowane przez SB i jej agentów albo – w innej wersji – jako „spisek czerwonych z różowymi".



Wizyta marszałka Czesława Wycecha w gospodarstwie rolnym w powiecie grójeckim. Przełom lat 60. i 70.

Przechylone centrum

Sami działacze PSL niechętnie dbają o dobre imię swojego bezpośredniego poprzednika, ulegając szantażowi prawicy, która od czasu do czasu wyzywa Kosiniaka-Kamysza i jego kolegów od „spadkobierców ZSL". Tymczasem chłopskie stronnictwo działające w latach 1949-1989, przez którego szeregi przeszły setki tysięcy Polaków, miało autentyczne zasługi dla polskiej wsi: konsekwentną obronę rodzinnych gospodarstw rolnych przed pomysłami kolektywizacji po 1956 r., zniesienie obowiązkowych dostaw oraz wprowadzenie rolniczych ubezpieczeń i emerytur w latach 70. O tym jednak nie chce się pamiętać, gdyż jedynymi godnymi pomników w dzisiejszej Polsce są „żołnierze wyklęci" i „księża niezłomni", choć ich wpływ na rzeczywistość społeczną był minimalny.

Ze swoją ZSL-owską tradycją ludowcy w III RP zawsze mieli problem. Nie poszli co prawda drogą lewicy, która w ogóle udawała i nadal udaje, że nie ma żadnej przeszłości, za to uznali się wyłącznie za spadkobierców Witosa i Mikołajczyka – tak jakby Kosiniak-Kamysz był ich bezpośrednim następcą. To zaś jest konsekwencją poszukiwania sobie miejsca przez PSL na scenie politycznej po 1989 r. Oficjalnie ludowcy określają siebie jako partię centrową, tyle że jest to centrum coraz bardziej przechylone w prawo.

Tak było zresztą od początku lat 90., gdy głosami partii Pawlaka został powołany w Sejmie pierwszy prawicowy rząd Jana Olszewskiego (za co Pawlakowi publicznie dziękował Jarosław Kaczyński).

Wprawdzie PSL pół roku później przyłożyło rękę do odwołania tego samego rządu, ale był to skutek umieszczenia na liście Macierewicza kilku ważnych posłów Stronnictwa, m.in. byłego ministra sprawiedliwości Aleksandra Bentkowskiego i późniejszego ministra rolnictwa Romana Jagielińskiego.

Potem PSL tworzyło rządy wspólnie z SLD i miało znaczący udział w uchwaleniu konstytucji, ale jednocześnie dzięki jego głosom przyjęto pierwszą ustawę lustracyjną,

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS (2), NAC

eprasa.pl 654cc469fe

a później odrzucono weto prezydenta Kwaśniewskiego do ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej. W ten sposób dawni ZSL-owcy dołączyli do coraz szerszego „obozu antykomunistycznego" – który z czasem objął wszystkie środowiska polityczne z wyjątkiem SLD – a naukowcy z ich środowiska zyskali stanowiska w IPN. Wszak przez kilkanaście miesięcy po katastrofie smoleńskiej instytutem kierował zaufany człowiek ludowców, siedlecki historyk Franciszek Gryciuk, wcześniej członek Kolegium IPN i pierwszy zastępca Janusza Kurtyki.

Ten wyraźny skręt PSL w prawą stronę nie świadczył bynajmniej o chęci współpracy z antykomunistyczną i klerykalną prawicą. Ludowcy bowiem zdają sobie sprawę, że zawsze gdy prawica wygrywała wybory parlamentarne, ich wyniki były najsłabsze. Tak było w roku 1997 (zwycięstwo AWS), 2005 (pierwsze zwycięstwo PiS) i 2015 (drugie zwycięstwo PiS). Najlepsze zaś wyniki PSL miało wtedy, gdy prawica się kompromitowała i przegrywała: w roku 1993 (po rządach Olszewskiego i Suchockiej), 2001 (po rządzie Buzka), 2007 (po rządzie Kaczyńskiego) i 2023 (po ośmioletnich rządach PiS). Dzieje się tak dlatego, że główna baza wyborcza ludowców mieści się poza dużymi miastami. Ich konkurencją nie są zatem ugrupowania lewicowe czy liberalne, lecz właśnie prawicowe.

Pozyskać i wyzerować

Zawsze wiedział o tym Jarosław Kaczyński i dlatego starał się PSL pozyskać. Ludowcy trzykrotnie zniweczyli takie próby. Pierwszy raz w 1991 r., gdy ich ówczesny prezes, wywodzący się z rolniczej Solidarności Roman Bartoszcze, próbował przeprowadzić „dekomunizację" PSL i pójść w wyborach wspólnie z Porozumieniem Centrum. Większość członków władz odwołała wtedy prezesa i zastąpiła go młodym posłem Waldemarem Pawlakiem.

Druga próba miała miejsce w latach 2004-2005, gdy na czele Stronnictwa stanął Janusz Wojciechowski, któremu też najbliżej było do prawicy, więc próbował stworzyć z nią wspólny blok wyborczy. I znowu większość działaczy uratowała samodzielność partii, ponownie zwracając się do Pawlaka (Wojciechowski z wiceprezesami Zbigniewem Kuźmiukiem i Zdzisławem Podkańskim wkrótce potem trafili do PiS). I choć w drugiej turze wyborów prezydenckich w 2005 r. PSL poparło Lecha Kaczyńskiego przeciwko Donaldowi Tuskowi, to już wiosną następnego roku Stronnictwo zdecydowanie odrzuciło propozycję wejścia do rządu z PiS i Samoobroną.

Ostatecznie miejsce ludowców w koalicji zajęła Liga Polskich Rodzin, a PSL zbliżyło się do Platformy Obywatelskiej. Efekt był taki, że po przyśpieszonych wyborach w 2007 r. partie Leppera i Giertycha wypadły z Sejmu, a ludowcy z Pawlakiem jako wicepremierem weszli do rządu Tuska, i to na całe dwie kadencje.

Gdy zaś PiS wróciło do władzy w 2015 r., Jarosław Kaczyński postanowił „wyzerować" PSL, odbierając mu fotel wicemarszałka Sejmu (po raz pierwszy w historii ruchu ludowego!) i próbując rozbić niewielki klub poselski ludowców. Tego upokorzenia PSL-owcy do dziś Kaczyńskiemu nie zapomnieli, dlatego wszelkie podejrzenia, że mogliby stworzyć rząd z PiS, są absurdalne.

Zresztą gdyby naprawdę chcieli, mieli jeszcze jedną taką okazję: po wyborach w 2023 r., gdy prezydent Duda powołał Marka Sawickiego na funkcję marszałka seniora, co miało być wstępem do koalicji rządowej PiS-PSL-Konfederacja z Kosiniakiem-Kamyszem jako premierem. Ten ostatni wolał jednak zostać wicepremierem w rządzie Tuska niż premierem z łaski Kaczyńskiego. W ten sposób rzucane od wielu lat oskarżenia, że PSL jest „partią obrotową", gotową porozumieć się z każdym za cenę stanowisk dla swoich działaczy, okazały się fałszywe. Owszem, ludowcy są interesowni i dbają o własne kadry, ale nie należy ich uważać za politycznych samobójców.

Jaka więc będzie przyszłość PSL? Kongresowa deklaracja prezesa o samodzielnym starcie w najbliższych wyborach parlamentarnych najprawdopodobniej oznacza koniec eksperymentów z dwóch poprzednich elekcji, kiedy Stronnictwo znalazło się na wspólnych listach z efemerycznymi partiami Pawła Kukiza (2019) i Szymona Hołowni (2023).

Powszechna wśród publicystów teza, że tylko dzięki takim manewrom ludowcy byli w stanie pokonać próg 5%, nie ma żadnego uzasadnienia, gdyż siłą PSL są autentyczne struktury terenowe, których nie ma żadne nowe ugrupowanie i dzięki którym ludowcy zawsze stanowili realną siłę w samorządach. Co prawda, nie jest to już taka siła jak jeszcze kilkanaście lat temu, bo coraz większe połacie Polski lokalnej zagarnia PiS, ale jeśli na polskiej prowincji ktoś w ogóle jest w stanie rywalizować z prawicą, to jedynie partia Kosiniaka-Kamysza – przecież nie ugrupowanie Tuska ani żadna z obecnych wersji lewicy.

Ludowcy potrafią czekać, wychowując nowe kadry na kolejne dekady, ale też okazując wyjątkowy jak na polskie standardy szacunek dla swoich nestorów.

Ale nie tylko dlatego PSL może być jeszcze Polsce potrzebne. Środowiska lewicowe oskarżają ludowców o blokowanie liberalizacji aborcji czy związków partnerskich, obronę interesów Kościoła, popieranie lobby myśliwskiego. Te zarzuty są oczywiście prawdziwe, tyle że dla samych działaczy PSL stanowią raczej atut, uwiarygodnienie ich w oczach konserwatywnej części społeczeństwa. Bo ta część jakąś reprezentację zawsze będzie miała i chyba lepiej, żeby nie były nią PiS, Konfederacja ani partia Brauna, lecz umiarkowane PSL, nieulegające autorytarnym i nacjonalistycznym pokusom ani niewykazujące żadnej wrogości wobec Brukseli i Berlina. Za to należące do europejskiej chadecji i konsekwentnie broniące demokratycznych zasad – podobnie jak Witos za rządów sanacji i Mikołajczyk w pierwszych latach po wojnie.

Paweł Siergiejczyk

eprasa.pl 654cc469fe

Prywatyzacja edukacji w natarciu

Coraz więcej rodziców woli zainwestować w edukację dzieci niż w dobra materialne



Rodzice wysyłają dzieci do szkół niepublicznych, bo oczekują lepszych warunków do nauki.

Kornel Wawrzyniak

Pod koniec października Główny Urząd Statystyczny opublikował dane dotyczące oświaty w roku szkolnym 2024/2025. Niepubliczne szkoły stanowią obecnie 11,6% podstawówek oraz 28,6% liceów. Widać tendencję wzrostową. Przez dekadę liczba uczniów szkół niepublicznych zwiększyła się dwukrotnie. Niesamowitą popularnością w ostatnich latach cieszy się też nauka poza systemem, czyli edukacja domowa. Formalnie dzieci są przypisane do szkoły (statystyka pokazuje, że najczęściej do niepublicznej), ale uczą się w domach. Mówimy o grupie 20 tys. uczniów.

Nie tylko dla wybranych

Szkoły niepubliczne kojarzą się z miejscami dla wybranych i wysokim czesnym. Jednak obecnie placówki spoza państwowej puli to nie tylko drogie szkoły prywatne, ale i takie, które są prowadzone m.in. przez fundacje. Warto dodać, że akurat w tych szkołach najczęściej w ogóle nie płaci się czesnego.

Dziś rodzice wysyłają swoje pociechy do szkół niepublicznych z co najmniej dwóch powodów. Pierwszy to oczywiście pragnienie jak najlepszej przyszłości dla dzieci. Drugi – ucieczka przed ułomnościami i niedomaganiami systemu oświaty publicznej: przepełnionymi salami, lekcjami prowadzonymi w systemie zmianowym do późnego popołudnia itd. Bardzo pokrzywdzone tymi niedoskonałościami polskiej szkoły są dzieci neuroatypowe, co samo w sobie stanowi materiał na odrębną dyskusję.

„Roczny koszt nauki w szkole niepublicznej może sięgać równowartości używanego samochodu, ale coraz więcej rodziców woli zainwestować w edukację niż w dobra materialne", stwierdza na łamach „Gazety Wyborczej" Dorota Żuchowicz, doradczyni edukacyjna i współzałożycielka Forum Wiedzy i Edukacji.

A rozpiętość kwot czesnego jest ogromna. W największych miastach Polski, takich jak Warszawa, Kraków czy Wrocław, średnie miesięczne czesne w prywatnych szkołach

eprasa.pl 654cc469fe

podstawowych kształtuje się na poziomie od 1,5 tys. do 3,5 tys. zł, choć istnieją placówki, gdzie opłata jest nieco niższa, ale i tak przekracza 1 tys. zł. Renomowane szkoły międzynarodowe mogą natomiast pobierać czesne sięgające 7-8 tys. zł miesięcznie. W przypadku szkół średnich miesięczne opłaty są zazwyczaj wyższe – wynoszą od 1,7 tys. do 4 tys. zł, niekiedy jednak trzeba wyłożyć znacznie więcej. Najwyższe czesne na edukację dziecka w prywatnym liceum w Polsce w 2025 r. wynosi 71 560 zł za trymestr, co odpowiada 23 853 zł za miesiąc przy dokonaniu płatności za cały rok z góry.

Pytanie, czy pieniądze dają jakość. A może uczęszczanie do szkół niepublicznych z wysokim czesnym to spełnienie ambicji rodziców, nie zysk edukacyjny dla dzieci? Czasem trudno się oprzeć takiemu wrażeniu. Jedna z rozmówczyń Małgorzaty Zubik z „Gazety Stołecznej" zachwala, że jej córka w szkole podstawowej przebywa od godz. 9 do 17. Mieści się w tym 10 godzin języków obcych i zajęcia dodatkowe, „o jakich sobie dziecko zamarzy", takie jak szachy czy pianino. Kobieta jest szczęśliwa, bo może z mężem „normalnie pracować", a dziecka nie trzeba wozić na dodatkowe zajęcia pozalekcyjne. Snobizm? A może pragmatyzm?

Wiceprezeska Związku Nauczycielstwa Polskiego Urszula Woźniak mówi wprost o tym, że trudne warunki w szkołach publicznych są powodem ucieczki rodziców: „Nie dość, że klasy są duże, to może być w nich nawet 11 dzieci z orzeczeniami, kilkoro z opiniami, kilkoro dzieci uchodźców, kilkoro zdolnych. Jakie są warunki nauki uczniów i pracy nauczyciela w takiej klasie? Jak nauczyciel ma indywidualizować nauczanie i dostosować formy pracy do takiego ucznia? Praca w takich warunkach to survival. Dla nauczyciela to kolejny powód, żeby uciec ze szkoły, a dla rodzica, by przenieść dziecko do szkoły prywatnej".

„Moja córka przez pięć pierwszych lat podstawówki uczyła się w państwowej szkole. W jej roczniku było tam siedem klas po prawie 30 osób. W takich warunkach nauczycielom trudno poznać możliwości każdego ucznia, a co za tym idzie, niemożliwe jest dostosowanie rytmu nauki do potrzeb i zainteresowań

Niepubliczne szkoły stanowią obecnie 11,6% szkół podstawowych oraz 28,6% liceów.

każdego z nich – opowiada portalowi Bankier.pl Beata Wiśniewska z Krakowa. – Dwa lata temu postanowiliśmy przenieść ją do prywatnej placówki, gdzie w klasie jest 12 osób i nauczyciel może każdemu poświęcić swoją uwagę. Więcej jest też praktycznych zajęć, a nie tylko czystej teorii. Dzieci robią wiele ciekawych projektów, częściej jeżdżą na wycieczki i pracują w doskonale wyposażonych salach. Minusem jest oczywiście czesne, ale warto je zapłacić, aby zapewnić dziecku lepszą edukację".

Trudno się oprzeć stereotypowemu myśleniu, patrząc na szkolne realia. „Gazeta Wyborcza" podaje, ilu uczniów chodzi do szkół niepublicznych w poszczególnych dzielnicach Warszawy. Na pierwszym miejscu jest Wilanów – 41%. Na następnych Ursynów – 29% i Wawer – 24%. Na Żoliborzu udział w edukacji niepublicznej to zaledwie 7% (podobnie jak na Pradze-Północ). Najmniej uczniów w prywatnych szkołach mają zaś Białołęka i Targówek, bo po 5,5%.

Dzieci z rezerwatu

To, co prywatne, niekoniecznie jest lepsze niż publiczne. Każde rozwiązanie ma swoje wady i zalety. Rodzice, którzy wysyłają dzieci do szkół niepublicznych, obawiają się, że skutkiem będzie gorsze przystosowanie do trudów codziennego życia. Cieplarniane warunki kiedyś się skończą. Czy dziecko, któremu zawsze jest wygodnie, a jego nauczyciel jest na każde zawołanie, poradzi sobie jako dorosły z opornością urzędników, nieprzychylnością ZUS czy zwykłą kolejką do lekarza lub w sklepie? Nie musi to być jednak regułą. Część niepublicznych placówek chwali się zajęciami mającymi uczyć dzieci współpracy, odpowiedzialności i empatii.

Gdy zasięgnąć języka, okazuje się, że nauczanie w niepublicznych placówkach może być intratnym zajęciem. – Na rękę w szkole publicznej dostawałam ok. 3,5 tys. zł. Tymczasem za prowadzenie jednej lekcji plastyki w tygodniu w placówce niepublicznej wyciągałam 1 tys. zł na miesiąc. To jest 40 godzin tygodniowo kontra 4-5 godzin w miesiącu – opowiada „Przeglądowi" Julia, która przepracowała kilka lat w prywatnej podstawówce pod Warszawą.

Najwyższe miesięczne czesne w prywatnym liceum w Polsce w 2025 r. wynosi 71 560 zł za trymestr.

Dlaczego więc nie obserwujemy exodusu nauczycieli do szkół prywatnych? Naczelną przeszkodą są względy praktyczne. Nie ma tylu niepublicznych placówek, aby nauczyciele mogli do nich masowo uciec. Przypomnijmy, że według szacunków Związku Nauczycielstwa Polskiego w kraju brakuje ok. 20 tys.

19 listopada 2025 r. zmarła

Longina Lewandowska-Borówka

Redaktorka i dziennikarka, wieloletnia rzeczniczka Federacji Konsumentów. Laureatka wielu nagród, w tym dwukrotnie odznaczona przez Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego.

Kochająca mama, czuła babcia i wspierająca żona.

Córka Dominika

FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/ EAST NEWS

eprasa.pl 654cc469fe

nauczycieli. Dodatkowo w niektórych szkołach niepublicznych pracuje się na umowie-zleceniu. To oznacza, że aby mieć wszelkie świadczenia, i tak trzeba załapać się w szkole publicznej choćby na pół etatu.

A nauczanie w szkole niepublicznej ma więcej ciemnych stron. – Mówię o sytuacji sprzed wycofania prac domowych. Jedna z matek w kółko odrabiała lekcje za dziecko. Powiedziałam na zebraniu, że rodzice muszą odpuścić tego typu numery, bo to nie jest dobre dla ich dzieci. Jako przykład podałam tę matkę. Następnego dnia wezwał mnie dyrektor, który wyjaśnił, że nie możemy się tak odzywać do rodziców. Szczególnie do tych, którzy zapłacili czesne za semestr albo rok z góry. Jeśli jednak ktoś płaci z miesiąca na miesiąc, to bliżej terminu zapłaty możemy trochę się czepiać – wspomina nauczycielka Julia.

W tych placówkach niepublicznych, gdzie płaci się bardzo wysokie czesne, rodzic zamienia się w klienta, a nauczyciel w dostawcę usług. W biznesie zaś sprawdza się jedna zasada: rację ma zawsze ten, kto płaci. W takim przypadku oddalamy się jeszcze bardziej od wzorcowego systemu fińskiej edukacji. Paradoksalnie to oddalenie jest nawet większe niż w szkole publicznej, bo autorytet nauczyciela kompletnie w takiej „biznesowej" relacji znika. Przypomnijmy zaś, że jednym z elementów sukcesu fińskiej edukacji jest fakt, że zawód nauczyciela cieszy się w Finlandii poważaniem równym byciu lekarzem czy prawnikiem.

Pytacie państwo, dlaczego Ministerstwo Edukacji Narodowej milczy na temat szkół niepublicznych. Odpowiedź jest podobna do tej, którą moglibyście usłyszeć od Ministerstwa Zdrowia w sprawie prywatnych praktyk lekarskich. Niepubliczne placówki rozwiązują państwu część problemów, z którymi edukacja publiczna nie ma jak się zmierzyć.

Analogii do ochrony zdrowia jest sporo. Choćby taka, że jak się nie chce czekać w kolejce, to idzie się do lekarza prywatnie. Podobnie w edukacji – w prywatnej szkole jest mniej uczniów, to i nauczyciel ma więcej czasu dla każdego z nich. Pytanie, czy na pewno wychodzi im to na zdrowie.

Wątpliwości można mieć chociażby po kontrowersjach związanych z maturami uczniów Szkoły w Chmurze. Jej ideą jest m.in. chodzenie własnymi ścieżkami. Gdy okręgowa komisja egzaminacyjna ogłosiła wyniki, okazało się, że zdawalność matury przez uczniów Szkoły w Chmurze wyniosła 62,58%. To mniej niż średnia krajowa, która w 2025 r. wyniosła 80%. Wspomniani uczniowie być może więc poszli własną ścieżką. Ale czy wiedzieli, dokąd idą?

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Według szacunków Związku Nauczycielstwa Polskiego w kraju brakuje ok. 20 tys. nauczycieli.



eprasa.pl 654cc469fe

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Sejmie, zrób coś!

Szanować Hołownię? Jego sprzeciw wobec politycznego duopolu wzbudził kiedyś tyleż entuzjazmu, co wątpliwości, bo czyż trzeba było zmiękczać w ten sposób walkę demokratów? W dodatku Hołownia zaprzeczył sam sobie: będąc częścią Koalicji 15 Października, sam musiał stać się stroną tegoż duopolu. Usiłował zaznaczać swą odrębność, lecz to było raz groźne, raz groteskowe, a zawsze czynione wbrew koalicji.

I przecież to właśnie Hołownia pogrzebał szanse demokratów w wyborach prezydenckich. Jako „ten trzeci" wcisnął się między Rafała Trzaskowskiego i Karola Nawrockiego, a w uczyniony przez niego wyłom weszli inni, również z tego samego demokratycznego obozu. Za późno było apelować o jedność przed drugą turą: Hołownia stał się faktycznym ojcem chrzestnym prezydentury Nawrockiego. Dopiero więc dziś widać: jemu nie chodziło o duopol – chodziło o siebie. Z tonącego okrętu kapitan schodzi ostatni – Hołownia zszedł pierwszy, a okręt zostawił i udał się na poszukiwanie nowej przygody. Zostawił też ludzi, którzy mu zaufali. Dla Polski demokratycznej okazał się szkodnikiem, dla swych wyborców – oszustem.

Szanować Hołownię? Mimo wszystko można by było. Wszak nie tylko odnowił Sejm, ale podjął co najmniej jedną sprawę o znaczeniu fundamentalnym. Gdy bowiem rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek uznał w styczniu tego roku, że tryb ewentualnego wyjścia Polski z Unii Europejskiej jest niezgodny z konstytucją, to właśnie Hołownia wziął ten problem na barki. Rzeczywiście, byłoby nielogiczne, gdyby decyzja narodu, wyrażona swego czasu w referendum, mogła być unieważniona przez ustawę sejmową uchwaloną zwykłą, może i przypadkową, większością głosów. Donald Tusk jeszcze za rządów PiS przestrzegał przed scenariuszem wyjścia Polski z UE znienacka, na nocnym posiedzeniu Sejmu, co potwierdzone by zostało natychmiastowym podpisem prezydenta Dudy (tego od „wyimaginowanej wspólnoty"). Tak, wyjście z Unii Europejskiej w ciągu jednego-dwóch dni było możliwe. I możliwe pozostaje nadal. Za dostrzeżenie tego niebezpieczeństwa chciałoby się pochwalić Hołownię.

A tu znów się nie da! Cóż bowiem z tego, że klub Trzeciej Drogi zgłosił 5 lutego bardzo sensowny projekt nowelizacji ustawy o umowach międzynarodowych. Do wyprowadzenia Polski z Unii Europejskiej niezbędne miałyby być dwa ogólnokrajowe referenda: pierwsze dla wszczęcia procedury, drugie akceptujące warunki wyjścia. Hołownia zaangażował się w tę sprawę, a jako szef partii i marszałek Sejmu miał nieograniczone możliwości. I przecież w kampanii wyborczej sprzed dwóch lat obiecywał likwidację sejmowej „zamrażarki". Tymczasem zaraz po zapowiedzi nowelizacji zajął się własną kampanią prezydencką. „Zamrażarka" wróciła i projekt ważny stał się od razu nieważny.

A potem było już tylko gorzej. Po otrzymaniu 4,99% głosów Hołownia postanowił robić karierę międzynarodową. Zaczął lobbować za swą kandydaturą na wysokiego komisarza Narodów Zjednoczonych ds. uchodźców i dla tej sprawy wyjeżdżał oficjalnie, jako marszałek, generując przy tym bizantyńskie koszty. Był w USA, gdzie spotkał się z sekretarzem generalnym i przewodniczącą Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Był w Etiopii, nie stawiając się przez to, a impertynencko i absurdalnie to argumentując, na dawno zaplanowanym przesłuchaniu w prokuraturze. Zademonstrował tym samym – pierwszy raz w obozie demokratycznym – pogardę dla prawa. Czy naprawdę podejmował ten lobbing dla Polski? Cóż Włochy mają z faktu, że wysokim komisarzem jest dziś Filippo Grandi, ich obywatel? Ale Hołownia, jak zawsze, gra na siebie. Tylko czy powinien to robić na koszt podatnika?

> Z tonącego okrętu kapitan schodzi ostatni – Hołownia zszedł pierwszy, a okręt zostawił.

Tymczasem projekt Trzeciej Drogi pozostał sierotą. Ostatnie informacje są takie, że czeka na nadanie mu numeru druku sejmowego i że został skierowany do konsultacji społecznych. Czy tak jest nadal? To pytanie trzeba oczywiście kierować już nie do skompromitowanego Hołowni, lecz do jego posłów, a także do posłów PSL: podjęcie stosownej ustawy powinno być dla nich sprawą honoru. Choć w gruncie rzeczy powinno się apelować do całego Sejmu, zwłaszcza do nowego marszałka, Włodzimierza Czarzastego. Wysoka Izbo, zrób coś!

Szanować Hołownię? Sprawa, którą porzucił, jest śmiertelnie poważna. Nie wiemy, jak ukonstytuuje się polska scena polityczna za dwa lata, ale wiemy, że Polacy bywają nieobliczalni. Tak zresztą jak Hołownia. A przecież członkostwo Polski w Unii Europejskiej jest sprawą naszego bytu narodowego. W żadnym wypadku nie może stać się ofiarą prawicowych obsesji i partyjnych fluktuacji.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 654cc469fe

Pożytki z Łukaszenki

Mińsk jest żywotnie zainteresowany zakończeniem wojny

Krzysztof Pilawski

Choć Białoruś prowadzi politykę nieprzyjazną wobec Polski, to coraz wyraźniej widać, że realną alternatywą dla Aleksandra Łukaszenki w okresie rządów Władimira Putina mogłaby być rosyjska flaga powiewająca nad Twierdzą Brzeską.

Podejrzewani o dywersję obywatele Ukrainy mieli przekroczyć granicę w Terespolu. Na Białorusi agenci rosyjskich służb specjalnych mogą czuć się bezpiecznie, choć niekoniecznie tak dobrze jak w Moskwie.

W miniony poniedziałek rosyjska dziennikarka komentująca w telewizji państwowej RTR incydent w Polsce stwierdziła, że miesiąc wcześniej Donald Tusk poparł ataki Ukrainy na obiekty w głębi Rosji, co mogło sugerować, że próba terroru na polskich torach była reakcją na wypowiedź polskiego premiera w wywiadzie dla „Sunday Times" o prawie Ukraińców do atakowania obiektów związanych z Rosją w dowolnym miejscu w Europie. Zareagował na nią rzecznik rosyjskiego prezydenta Dmitrij Pieskow: „Słowa Tuska powinny przede wszystkim zostać wysłuchane w Brukseli i europejskich stolicach. Na miejscu Europejczyków każdy rozsądny człowiek miałby obawy, czy warto pozostawać w tak bliskim sojuszu z państwem, które usprawiedliwia terroryzm i broni prawa innych państw do działań terrorystycznych". Ta opinia zasługiwałaby na uwagę, gdyby nie fakt, że padła z ust reprezentanta państwa terroryzującego codziennie ludność Ukrainy.

W przeciwieństwie do Rosji Białoruś nie jest zainteresowana eskalacją wojny. Sprowadzony przez polskich liberalnych demokratów do roli kołchozowego pastucha i podnóżka Moskwy Aleksander Łukaszenka nigdy oficjalnie nie uznał aneksji Krymu, choć mógłby za to dostać sowitą nagrodę. To Mińsk był miejscem, w którym prowadzono rozmowy i podpisywano porozumienia mające zakończyć konflikt na wschodzie Ukrainy.

W Białorusi odbywają się manewry wojskowe mające demonstrować braterstwo broni z Rosją, lecz gdy w lutym 2022 r. Rosjanie zaatakowali Ukrainę, także z terytorium Białorusi, Łukaszenka nie wydał swojej armii rozkazu marszu na Kijów. Dementując informacje o udziale białoruskich wojsk w inwazji, prezydent przyrzekł, że nigdy nie wyśle żołnierzy na Ukrainę. I dotrzymuje słowa. Putin ściąga mięso armatnie nie z „bratniej" Białorusi, lecz z Korei Północnej. To Kim Dzong Un, a nie Łukaszenka buduje „święte sanktuarium poświęcone nieśmiertelności prawdziwych patriotów", czyli poległych w walkach w Ukrainie.

> Gdy w lutym 2022 r. Rosjanie zaatakowali Ukrainę, także z terytorium Białorusi, Łukaszenka nie wydał swojej armii rozkazu marszu na Kijów.

Mińsk jest żywotnie zainteresowany zakończeniem wojny, które nie będzie oznaczało podporządkowania Kijowa Moskwie. Klęska Ukrainy zagraża kruchej białoruskiej państwowości. W przeciwieństwie do Polski i państw bałtyckich Białoruś nie jest członkiem NATO ani Unii Europejskiej. Nie ma też ani amerykańskich, ani chińskich gwarancji bezpieczeństwa, choć Łukaszenka od wielu lat dąży do przekształcenia swojego kraju w strategiczny hub dla dostaw chińskich towarów do Unii Europejskiej. Białorusi nie obroni jej 50-tysięczna armia, na której prezydent przez wiele lat oszczędzał – w 2022 r. Mińsk wydał na obronę poniżej 1% PKB, co jest jeszcze jednym dowodem na brak planów wspólnej z Rosjanami agresji na Ukrainę.

Karty Łukaszenki w grze z Putinem są słabe: uzależnienie gospodarcze od Rosji, kilkusettysięczna mniejszość rosyjska, dominacja informacyjna Moskwy, putinowska polityka historyczna, która może – jeszcze łatwiej niż w przypadku Ukrainy – zakwestionować białoruskie granice i państwowość. Białoruś nie ma bogatych tradycji, brakuje jej narodowych bohaterów: Tadeusza Kościuszkę dzieli z Polakami i Amerykanami, Konstantego Kalinowskiego, którego Łukaszenka próbował zastąpić Michaiłem Murawjowem „Wieszatielem" – z Polakami i Litwinami. Ściany Narodowego Muzeum Sztuki w Mińsku wypełniają nie portrety rodzimych herosów, lecz magnatów, którzy przez setki lat wznosili swoje zamki i pałace z potu i krwi miejscowych chłopów. W 2017 r., czyli za bardzo dojrzałego Łukaszenki, w tym muzeum otwarto wystawę poświęconą historii rodu Radziwiłłów.

W 2020 r. Polska kibicowała białoruskiej opozycji, próbującej obalić reżim biegającego z automatem prezydenta. Warszawski Pałac Kultury i Nauki oraz Pałac Prezydencki rozświetliły się biało-czerwono-białymi barwami. Podobnie

eprasa.pl 654cc469fe



Prezydent Aleksander Łukaszenka podczas spotkania z Johnem Coale'em, specjalnym wysłannikiem prezydenta USA ds. Białorusi. Mińsk, 11 września 2025 r.

solidaryzowano się z opozycją ukraińską w okresie pomarańczowej rewolucji 2004-2005 i rewolucji godności 2013-2014. Obalenie Wiktora Janukowycza okazało się dla ukraińskiego państwa pyrrusowym zwycięstwem. Dziś z zupełnie innej perspektywy możemy oceniać słowa wypowiedziane w Kijowie przez Radosława Sikorskiego do przywódców Majdanu: „Albo poprzecie porozumienie, albo będziecie mieli stan wojenny, armię. I wszyscy będziecie martwi".

Dobrze widoczny z kremlowskich okien pomnik Minina i Pożarskiego na placu Czerwonym przypomina, że smutę, wojnę o tron, wykorzystują obcy, w tamtym przypadku Rzeczpospolita. W kolejnym wieku, jak śpiewają dzieci w przedszkolu z okazji Święta Niepodległości, „(…) Rosja, Austria i Prusy / Na Polskę mieli chytre zakusy / Niestety w końcu im się udało / I zagrabili Polskę całą". Putin nie skorzystał na pomarańczowej rewolucji, był innym politykiem niż ten, którego dziś znamy, sojusznikiem Zachodu w walce z międzynarodowym terroryzmem. Za to Majdan uznał za świetną okazję do zagarnięcia Krymu i wsparcia tamtejszych Rosjan walczących o oderwanie wschodniej Ukrainy.

Łukaszenka jest słabą, ale mimo wszystko zaporą przed jeszcze gorszymi scenariuszami niż obecna sytuacja. One wciąż są realne.

Jaka byłaby reakcja Kremla w 2020 r. na obalenie Łukaszenki przez zwolenników obecności Białorusi w Unii Europejskiej i NATO, perspektywę przesunięcia granicy Sojuszu Północnoatlantyckiego pod Smoleńsk?

Przejęcie całkowitej kontroli nad Białorusią nie byłoby okupione setkami tysięcy zabitych i okaleczonych. Za to objęcie ramionami prawego brzegu Bugu z Twierdzą Brzeską – zbudowaną podobnie jak Cytadela Aleksandrowska w Warszawie i twierdza w Iwanogrodzie/Dęblinie po upadku powstania listopadowego – mogłoby wywołać w Rosji efekt podobny do zajęcia Krymu w 2014 r. Po przesunięciu granicy Rosji nad Bug z nową siłą odżyłaby kwestia tzw. korytarza suwalskiego do obwodu kaliningradzkiego. Jaka byłaby wtedy sytuacja polskiej mniejszości w Białorusi?

Karol Nawrocki odznaczył więzionego przez Łukaszenkę Andrzeja Poczobuta Orderem Orła Białego, by w ten sposób – jak uzasadnił – wysłać „jasny sygnał, że Polska zawsze będzie upominać się o swoich synów, o tych, którzy dla Polski żyją, którzy walczą o ojczysty język i dla których wartość polskości warta jest także cierpienia w białoruskim więzieniu". Na fasadzie Pałacu Prezydenckiego wyświetlono zdjęcie twarzy dziennikarza. Czy to troska o jego los, czy o własne notowania? Witold Jurasz z Onetu napisał, że Karol Nawrocki ani nie konsultował przyznania orderu „z dyplomatami znającymi szczegóły rozmów toczonych obecnie w sprawie uwolnienia Poczobuta, ani też nie zasięgał opinii osób znających problematykę białoruską. Co gorsza, krok prezydenta może utrudnić doprowadzenie do uwolnienia Poczobuta". Zgadzam się z jego opinią. Tak jak z przywróceniem przez rząd przejść granicznych w Kuźnicy Białostockiej i Bobrownikach. Podobnie postąpiła Litwa.

Łukaszenka jest słabą, ale mimo wszystko zaporą przed jeszcze gorszymi scenariuszami niż obecna sytuacja. One wciąż są realne, bo Kreml potrzebuje sukcesu, a w Ukrainie go nie ma. ■

Naszemu Przyjacielowi

Pawłowi Dybiczowi

składamy
serdeczne wyrazy współczucia
po śmierci

SIOSTRY

zespół „Przeglądu"

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 654cc469fe

Jak Trump testuje prawo łaski

Akt miłosierdzia w rękach amerykańskiego prezydenta zmienia się w kolejne narzędzie naboru i ochrony lojalistów

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA



Prezydent Richard Nixon z liderem mniejszości w Izbie Reprezentantów Geraldem Fordem, 13 października 1973 r.

Przez stulecia amerykańscy przywódcy używali prawa prezydenckiej łaski jako symbolu, aktu pojednania albo korekty nazbyt surowego wyroku, jeśli przemawiały za tym okoliczności. Trump, jak to on, podeptał tę tradycję, zmieniając akt łaski w kolejne narzędzie szerzenia korupcji i ochrony lojalistów. Ale czy tylko?

„Ułaskawienie (…) to akt dobroczynności udzielany w dyskrecji przez władzę wykonawczą (…) i nie winien być traktowany jako wymierzanie kary, ale korekta ewentualnie zbyt rygorystycznych praw", pisał w 1788 r. Alexander Hamilton, jeden z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych, uczestnicząc na łamach ówczesnej prasy w publicznej debacie na temat prac nad konstytucją. Konstytucja weszła oficjalnie w życie rok później, a prawo prezydenckiej łaski zostało w niej opisane w art. II jako „prawo do udzielania odroczeń i ułaskawień za przestępstwa przeciwko Stanom Zjednoczonym, z wyjątkiem przypadków impeachmentu".

Pierwszego ułaskawienia dokonał już Jerzy Waszyngton, stwarzając ważny precedens, który nada prezydenckiemu miłosierdziu specyficzny charakter – w 1794 r. przebaczył winy liderom ruchu oporu przeciwko wyższym podatkom na whisky. Nowo powstałe, ale bardzo zadłużone po wojnie niepodległościowej państwo chciało w ten sposób podreperować swój budżet. Choć do stłumienia „rebelii o whisky" Waszyngton potrzebował aż 13 tys. żołnierzy i tym samym stał się jedynym w historii USA urzędującym prezydentem udzielającym się na polu bitwy, użył prawa łaski, by zasygnalizować, że w nowoczesnym państwie szanującym prawa człowieka każdy zasługuje na drugą szansę.

Ta sama myśl przyświecała 30 lat później Andrew Jacksonowi, gdy ułaskawił seryjnego rabusia pocztylionów skazanego na karę śmierci. Co ciekawe, złodziej nie przyjął jego aktu łaski, tworząc z kolei precedens, że prezydenckie ułaskawienie musi być zaakceptowane przez adresata, by nabrało mocy prawnej.

W myśl idei o drugiej szansie Andrew Johnson ułaskawił w 1865 r. wszystkich ocalałych z wojny żołnierzy armii konfederackich, a Barack Obama – setki przestępców, głównie kolorowych, odbywających wyroki za pomniejsze przewinienia związane z kradzieżą i posiadaniem narkotyków.

Łaska pod lupą

Przez większą część dziejów Amerykanie bardzo uważnie patrzyli jednak prezydentom na ręce i nie wahali się ich krytykować, gdy stwierdzali, że sprawy posunęły się za daleko. Tak było w przypadku łaski dla Richarda Nixona, skazanego za aferę Watergate (nielegalne podsłuchiwanie opozycji), któremu pomógł jego wiceprezydent i następca w Białym Domu, Gerald Ford. Chociaż Ford tłumaczył, że chciał w ten sposób symbolicznie zasypać podziały, które rozorały naród po Watergate, wyborcy uznali, że przestępstwa Nixona były niewybaczalne, a Forda ukarali, faworyzując w kolejnych wyborach prezydenckich jego demokratycznego rywala, Jimmy'ego Cartera.

eprasa.pl 654cc469fe

Podobnym oburzeniem zareagowali na ułaskawienie przez Busha seniora oficjeli z administracji Reagana, którzy, łamiąc amerykańskie prawo, sprzedawali broń Iranowi w aferze znanej jako Iran-Contras. Nie miało znaczenia nawet to, że te sekretne deale pomogły USA uwolnić amerykańskich zakładników przetrzymywanych przez Liban.

Wreszcie z powszechnym potępieniem spotkało się ułaskawienie przez Billa Clintona najpierw Marca Richa, przestępcy finansowego, który sponsorował jego kampanie polityczne i projekty (m.in. finansował budowę biblioteki prezydenckiej Clintona), a potem przyrodniego brata Clintona, Rogera, skazanego za posiadanie narkotyków. Za nadużywanie przez Clintona prawa łaski zapłaciła cała Partia Demokratyczna. Republikanie zręcznie bowiem wykorzystali moment i rozpętali kampanię pokazującą wszystkich demokratów jako umoczonych w korupcję, a zrobili to tak skutecznie, że tego splamionego wizerunku nie zmieniły ani upływające lata, ani skandale i korupcja po republikańskiej stronie.

Pierwsze łaski za płoty

Za pierwszej kadencji Trump potraktował swoją rolę ułaskawiciela w sposób raczej tradycyjny. Selekcję kandydatów pozostawił, zgodnie z procedurą, biuru ds. ułaskawień, będącemu częścią Departamentu Sprawiedliwości, a przez cztery lata ułaskawił niecałe 300 osób – to wynik nieodbiegający od statystyk innych prezydentów, jeśli wyłączymy z tego ułaskawienia masowe. Takie jak za rządów Jimmy'ego Cartera, który darował winę setkom tysięcy mężczyzn oszukujących system, by uniknąć poboru do wojska w czasie wojny w Wietnamie, albo ułaskawienie wspomnianych już drobnych przestępców przez Obamę.

Ale już wtedy zarysował się pewien trend, który zaniepokoił ekspertów. „Niektóre ułaskawienia można było śmiało opisać jako podyktowane bardziej osobistym interesem Trumpa niż względami sprawiedliwości", mówi Jeffrey Crouch, ekspert prezydencki z American University w Waszyngtonie. Do takich z pewnością należała seria ułaskawień przyjaciół i sympatyków politycznych Trumpa. Wśród nich znaleźli się m.in. konserwatywny komentator Dinesh D'Souza skazany za oszustwa finansowe podczas kampanii wyborczych w 2014 r., szef kampanii Trumpa z 2016 r. Paul Manafort – również oszust finansowy, Michael Flynn, były doradca Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego, skazany za krzywoprzysięstwo przed FBI, wreszcie Charles Kushner, ojciec zięcia Trumpa i oszust podatkowy, oraz Conrad Black, przyjaciel Trumpa i właściciel koncernów medialnych, skazany za oszustwa podatkowe i liczne sprzeniewierzenia finansów firm, z którymi współpracował.

Łaska (tylko) dla bogaczy

Próbkę tego, co miało nadejść za drugiej kadencji, otrzymaliśmy już w dniu inauguracji prezydentury w styczniu br. Wśród rozporządzeń wykonawczych podpisywanych przez Trumpa publicznie najpierw w rotundzie na Kapitolu, a potem podczas uroczystości pozaprzysiężeniowych znalazło się ułaskawienie dla prawie 1,6 tys. osób oskarżonych i skazanych za przeprowadzenie szturmu na Kapitol 6 stycznia 2021 r. Trump ogłosił wtedy, że inicjuje w ten sposób powrót sprawiedliwości i początek reform w systemie, który za rządów demokratów został zamieniony w machinę represji przeciwko konserwatystom i patriotom.

Pierwszego ułaskawienia dokonał już Jerzy Waszyngton, darowując w 1794 r. winy liderom ruchu oporu przeciw wyższym podatkom na whisky.

Tylko że dziesięć miesięcy i 400 ułaskawień później widać rzecz zupełnie odwrotną. Instytucja prezydenckich aktów łaski nie ma ze sprawiedliwością nic wspólnego, stała się kolejną metodą rozdawania przez Trumpa nagród pochlebcom i lojalistom, a także wygodnym narzędziem do realizacji jego własnych interesów. „Jeśli jesteś jego politycznym sponsorem i entuzjastycznym poplecznikiem, przesuwasz się na czoło kolejki. Jeśli jesteś po prostu obywatelem, nawet się do tej kolejki nie dostajesz", wyjaśnia w prosty sposób James Hux, adwokat z Ohio, który reprezentuje klientów wnioskujących o prezydenckie ułaskawienie („How Trump Has Exploited Pardons and Clemency to Reward Allies and Supporters", ProPublica, 12 listopada 2025 r.).

Elizabeth Oyer, prawniczka pracująca w biurze ds. ułaskawień za prezydentury Bidena, opisuje obecną sytuację jako „powołanie do życia dwupoziomowego systemu sprawiedliwości, w którym majątek i wpływy są przepustką do uniknięcia kary" („Trump pardons drive a big, burgeoning business for lobbyists", NBC News, 31 maja 2025 r.).

Jak donosi ProPublica, biuro ds. ułaskawień nie zawraca sobie dziś głowy procedurami ani normami. Z puli niemal 2 tys. osób, na które w pierwszych dziesięciu miesiącach prezydentury Trumpa spłynęła jego łaska, tylko wnioski dziesięciorga przeszły tradycyjną drogę załatwiania takich spraw. Reszta nazwisk pochodziła z nieoficjalnych rekomendacji osób prywatnych oraz lobbystów. Raczej się nie dowiemy, jakie były koszty operacyjne każdego z tych przedsięwzięć, choć patrząc na nazwiska i profesje ułaskawionych, trudno mieć wątpliwości, dlaczego właśnie im prezydent rzucił koło ratunkowe.

Przytłaczająca większość to bogacze oraz przedsiębiorcy, a wśród tych drugich głównie związani z branżą finansów i kryptowalut, w które mocno inwestują członkowie rodziny Trumpa. Mamy więc m.in. brytyjskiego miliardera Joego Lewisa, szefów i menedżerów platformy kryptowalutowej BitMEX, założyciela platformy darkwebowej Silk Road, a także nowobogackie gwiazdy telewizyjnych reality show, Todda i Julie Chrisley.

eprasa.pl 654cc469fe

W październiku, ku oburzeniu nawet własnych wyborców, choć nie na tyle wielkim, by spowodowało to rozłamy w łonie MAGA, Trump ułaskawił CZ, jak bywa nazywany Changpeng Zhao, współzałożyciel giełdy kryptowalut Binance. W 2024 r. CZ przyznał się do świadomego i wieloletniego prania przez Binance brudnych pieniędzy, pozyskiwanych z cyberokupu, sprzedaży pornografii dziecięcej oraz obsługiwania hakerów i klientów objętych przez USA sankcjami, w tym terrorystów z Al-Kaidy i Państwa Islamskiego oraz przedsiębiorców z Rosji, okupowanej Ukrainy, Korei Północnej i Iranu. A to nie wszystko, co składa się na tę niemal niewyobrażalną sytuację.

Zapytany wywiadzie „60 Minutes", dlaczego ułaskawił CZ, Trump niefrasobliwie stwierdził, że w istocie nie ma pojęcia, o kim mowa, słyszał jedynie, że CZ był ofiarą reżimu Bidena (CBS News, „60 Minutes", 2 listopada 2025 r.).



Donald Trump pokazuje podpisany dekret wykonawczy na połączonym posiedzeniu izb Kongresu. Waszyngton, 4 marca 2025 r.

Łaska na pasku konspiracji

Gdy zdawało się, że nic już nas nie zaskoczy, 10 listopada Trump dokonał kolejnego ułaskawienia. Jego beneficjentami znów uczynił aktywistów Stop the Steal, ruchu głoszącego, że wybory w 2020 r. zostały trumpistom ukradzione. Tym razem listę otworzyły prominentne nazwiska jego bliskich współpracowników, a jednocześnie mózgów całej operacji. Byli to: Rudy Giuliani, były burmistrz Nowego Jorku, który pisał i składał pozwy przeciwko stanom oskarżonym przez Trumpa o krycie wyborczych fałszerstw, Mark Meadows, były szef sztabu Trumpa oraz główny kontakt pomiędzy Białym Domem a republikańskimi organizacjami w tychże stanach, z którymi pracował nad tworzeniem list fałszywych elektorów. Dalej: prawniczka Sidney Powell i Boris Epshteyn, którzy m.in. podsuwali Trumpowi pomysły delegowania do wspomnianych stanów Gwardii Narodowej, by rekwirować rzekomo uszkodzone maszyny do głosowania i w ten sposób unieważnić wybory. I wreszcie Kenneth Chesebro oraz John Eastman, architekci słynnego sześciostopniowego planu wysłania do Waszyngtonu fałszywych elektorów. Eastman wrył się w pamięć Amerykanów szczególnie, bo w dniu zatwierdzenia wyborów przemawiał na wiecu Trumpa – tym samym, podczas którego Trump zachęcał swoich sympatyków, dziś już wiemy, że solidnie uzbrojonych, do „pokojowego spaceru" pod budynek Kongresu – nawołując, by Mike Pence je unieważnił. Pence nie poszedł za jego radą, co zaowocowało szturmem na Kapitol.

W ostatnich czterech latach cała szóstka została oskarżona o współudział w spisku przeciwko państwu i wolnym wyborom, a Chesebro i Powell, którzy przyznali się do winy – także już skazani (choć nie na więzienie). Reszta utrzymywała, że są niewinni, w związku z czym ich procesy miały ruszyć na nowo na początku przyszłego roku. Pozostałe kilkadziesiąt osób na liście to republikańscy aktywiści i działacze zaangażowani w ruch na szczeblach stanowych.

Nowa władza łaski

Co w tym ułaskawieniu jest dziwnego? Fakt, że wiele z tych osób, łącznie z czwórką wciąż nieskazanych liderów ruchu, to ludzie bez wyroku. Więcej – w treści dokumentu znalazła się deklaracja, że ułaskawienie nie ogranicza się do osób wymienionych w nim z nazwiska, ale dotyczy wszystkich zaangażowanych po stronie Trumpa, którzy w przyszłości w związku z tym zaangażowaniem mogą mieć kłopoty prawne. Ogłoszone więc zostało niebywale szerokie – nie wiadomo nawet, na jaką skalę – ułaskawienie prewencyjne.

Czyni ono z Trumpa i jego administracji oficjalnych hipokrytów (nie pierwszy raz zresztą). Trump przecież bez litości drwił z Bidena, gdy ten, wiedziony złym przeczuciem, w grudniu 2024 r. prewencyjnie ułaskawił siebie, swoją rodzinę, Anthony'ego Fauciego – cel ataków antyszczepionkowców, gen. Marka Milleya – byłego przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, a także członków kongresowej komisji ds. badania wydarzeń z 6 stycznia i policjantów, którzy składali przed tą komisją zeznania.

Rzecz druga, ważniejsza, to pytanie, po co w takim razie Trump prewencyjnie ułaskawia ludzi, którzy nie tylko nie mają wyroków federalnych – a jedynie w odniesieniu do nich działa łaska prezydencka – ale jeszcze jest mało prawdopodobne, by

eprasa.pl 654cc469fe

usłyszeli je w przyszłości, skoro nie zostali skazani do tej pory. Jeśli już, w grę będą wchodzić raczej postępowania stanowe.

Eksperci mają jednak odpowiedź. „Bo to pytanie w istocie brzmi: czy te ułaskawienia mają wyłącznie wymowę symboliczną, czy prezydent usiłuje w ten sposób przetestować zakres prawa łaski, by móc je rozszerzyć, objąć nim swoich sprzymierzeńców sądzonych i skazanych z paragrafów stanowych? Na przykład wspierając się argumentem, że prawo federalne będzie tutaj nadrzędne wobec stanowego, bo wszyscy oskarżeni czy skazani działali na rzecz procesu federalnego", ponownie wyjaśnia Elizabeth Oyer, tym razem w wywiadzie dla radia w Bostonie („Former pardon attorney says Trump's latest pardons set an »alarming precedent«", WBUR, 10 listopada 2025 r.).

Oyer dopuszcza taki scenariusz: „Mamy wiele osób bardzo popularnych w łonie MAGA, np. Tinę Peters, urzędniczkę z Kolorado, która odbywa wyrok za przestępstwa przeciwko swojemu stanowi. Ed Martin, obecny adwokat Trumpa ds. ułaskawień, szuka rozwiązań, które wyciągnęłyby Peters z więzienia. Jako skazanej za złamanie prawa stanowego, nie federalnego, Biały Dom nie może jej w tej chwili legalnie pomóc".

Wydaje się więc, że taki test mocy prezydenckiej łaski to skalkulowany ruch w określonym kierunku. Prezydencka interwencja w sądownictwo stanowe naturalnie byłaby bezprecedensowa i całkowicie sprzeczna z tym, co zakłada konstytucja.

Łaska czy… rekrutacja?

Jednak najbardziej niepokoi ekspertów inna sprawa. Najnowsze prezydenckie ułaskawienie to kolejny dowód na to, jak ważna dla Trumpa jest zmiana publicznej percepcji wydarzeń z 6 stycznia i całego ruchu Stop the Steal. Biorąc pod uwagę skalę tej determinacji i zaangażowania – czy rzeczywiście chodzi tu tylko o zachowanie przez Trumpa statusu ofiary umęczonej polowaniem na czarownice i szukającej sprawiedliwości? Nawet jeśli jest to dziś dla niego obszar ważnej politycznej kapitalizacji? Po 2020 r. z polityka, który występował w obronie ofiar nieuczciwego systemu (taki wizerunek zbudował w pierwszej kampanii prezydenckiej), sam rzekomo stał się ofiarą tegoż systemu, co uczyniło jego kandydaturę tym bardziej wiarygodną i atrakcyjną dla MAGA.

Nie brakuje ekspertów – wielu z nich to federalni adwokaci i prokuratorzy – którzy przestrzegają, że obecne rządy Trumpa coraz bardziej przypominają system mafijny, wobec czego ostatni akt łaski jest czytelnym sygnałem dla wszystkich lojalistów, by nie wątpili, że w razie potrzeby „ojciec chrzestny Trump" przyjdzie im z pomocą, tak jak właśnie to zrobił wobec 77 bohaterów z 2020 r. Muszą jedynie być mu ślepo oddani i posłuszni. Glenn Kirschner, były prokurator federalny, oświadczył wprost: „Ułaskawiając tych, którzy konspirowali na rzecz obalenia wyników wyborów w 2020 r., prezydent Donald Trump właśnie wystosował do swoich zwolenników apel rekrutacyjny („Trump's latest pardons are insurrectionist »recruiting call« for midterms: ex-prosecutor", MSNBC, 11 listopada 2025 r.).

O rekrutacji do czego mowa? Oczywiście do interwencji w nadchodzących wyborach, zarówno połówkowych, jak i prezydenckich w 2028 r. „Równie dobrze Trump mógłby po prostu opublikować ogłoszenie: poszukiwani konspiratorzy do sfałszowania wyborów", uważa Kirschner.

Do wyborów połówkowych wciąż mamy rok i wiele może się wydarzyć. Nie wiadomo, na co jeszcze pozwoli Trumpowi kontrolowany przez niego Kongres, czy ingerencja w wybory będzie potrzebna, bo mogą zaistnieć okoliczności, w których wcale do nich nie dojdzie – takiego scenariusza nikt już dzisiaj nie odrzuca.

Z drugiej strony demokraci mieli ostatnio powody do radości. Ich kandydaci wygrali kilka ważnych lokalnych elekcji, poparcie dla polityki Trumpa spadło do najniższego poziomu, odkąd po raz pierwszy został prezydentem, a obie izby Kongresu niemal jednogłośnie opowiedziały się przeciwko Trumpowi, a za upublicznieniem akt ze sprawy Epsteina.

Choć nie powinniśmy przesadzać z nadzieją, kto wie, czy życzenie, by najbliższe wybory i ewentualne przejmowanie władzy przez demokratów odbyły się w sposób tradycyjny, zgodny z procedurami i bezkonfliktowy, nie ma większych szans na spełnienie, niż w tej chwili myślimy?

Eliza Sarnacka-Mahoney



FOT. AP/EAST NEWS, CSU ARCHIVES/EVERETT COLLECTION/EAST NEWS

eprasa.pl 654cc469fe

„The Telegraph": Zełenski traci kontakt z rzeczywistością

Kijów ugrzązł w skandalu korupcyjnym, który może obalić prezydenta Ukrainy


Wołodymyr Zełenski i Timur Mindycz.

Marek Czarkowski

„Witamy w Ukrainie, najbardziej skorumpowanym kraju w Europie", pisał 10 lat temu Oliver Bullough na łamach dziennika „The Guardian". Od tego czasu nic się nie zmieniło. Kijów ugrzązł w skandalu korupcyjnym, który może obalić prezydenta Zełenskiego.

7 grudnia 2022 r. amerykański magazyn „Time" ogłosił prezydenta Wołodymyra Zełenskiego Człowiekiem Roku. Redaktor naczelny Edward Felsenthal tak uzasadnił decyzję: „Za udowodnienie, że odwaga może być równie zaraźliwa jak strach, za inspirowanie ludzi i narodów do jednoczenia się w obronie wolności, za przypomnienie światu o kruchości demokracji i pokoju".

Także dziennik „Financial Times" przyznał Zełenskiemu tytuł Człowieka Roku. W tamtym czasie na prezydenta spłynął deszcz nagród, wyróżnień i odznaczeń. 16 amerykańskich uniwersytetów przyznało mu tytuły doktora honoris causa. Parlament Europejski – Nagrodę Sacharowa. W Akwizgranie odebrał Międzynarodową Nagrodę Karola Wielkiego.

W czerwcu 2023 r. ceniony londyński think tank Chatham House uhonorował Zełenskiego swoją nagrodą „za wkład w stosunki międzynarodowe". National Constitution Center w Filadelfii przyznał mu Liberty Medal i 100 tys. dol., a Ronald Reagan Presidential Foundation and Institute – Ronald Reagan Freedom Award.

Polska nie mogła być gorsza. 5 kwietnia 2023 r. prezydent Andrzej Duda, Wielki Mistrz Orderu Orła Białego oraz przewodniczący jego kapituły, „w uznaniu znamienitych zasług" uroczyście wręczył

eprasa.pl 654cc469fe

Zełenskiemu to najstarsze i najwyższe polskie odznaczenie.

Wszystko zmieniło się 10 listopada br., gdy Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy (NABU) i Specjalistyczna Prokuratura Antykorupcyjna (SAP) ujawniły szczegóły śledztwa prowadzonego od 15 miesięcy pod kryptonimem „Operacja Midas". Okazało się, że w Kijowie na szczytach władzy działała zorganizowana grupa przestępcza, która zarządzała rozległym systemem korupcyjnym w strategicznym sektorze energetycznym Ukrainy. Jego epicentrum stanowił państwowy koncern Enerhoatom, operator tamtejszych elektrowni jądrowych i największy producent energii elektrycznej w kraju.

Skala i charakter tego procederu, a przede wszystkim personalne powiązania głównego podejrzanego Timura Mindycza z prezydentem Zełenskim nadały aferze wyjątkową rangę. Zachodnie media, które w 2022 r. ukochały ukraińskiego lidera, dziś są wobec niego nie mniej krytyczne niż kremlowscy propagandyści. Zełenski stał się osobą podejrzaną. I nie ma znaczenia fakt, że spotykają się z nim przedstawiciele państw europejskich. Oskarża się go o to, że w warunkach wojennych zbudował w Ukrainie niemal dyktatorski system, którego jego poprzednicy – Wiktor Janukowycz i Petro Poroszenko – mogą mu tylko pozazdrościć. A co najgorsze – tolerował gigantyczną korupcję, którą trudnili się ludzie z jego najbliższego otoczenia. Nie to obiecywał Ukraińcom, kandydując w wyborach prezydenckich w 2019 r.

Człowiek ze złotą toaletą

Od 10 listopada br. zachodnie media szczegółowo relacjonują wyniki śledztwa NABU. Portal Politico podał, że funkcjonariusze przeanalizowali ponad tysiąc godzin podsłuchów i ujawnili schemat wyłudzania łapówek w wysokości 10-15% wartości kontraktów zawieranych przez państwowego operatora ukraińskich elektrowni jądrowych – Enerhoatom. Łączna kwota pozyskanych „prowizji" szacowana jest na ok. 100 mln dol. Pieniądze te były prane w firmie, której biuro mieściło się w centrum Kijowa, w budynku należącym do rodziny Andrija Derkacza, byłego ukraińskiego polityka. Ten w 2022 r. zbiegł do Rosji, a dziś jako senator zasiada w izbie wyższej rosyjskiego parlamentu – Radzie Federacji.

15 listopada br. „Financial Times" opublikował artykuł Fabrice'a Deprezа, korespondenta w Kijowie, zatytułowany „Worki z pieniędzmi i złota toaleta" i opatrzony zdjęciem złotej toalety, która jakoby miała znajdować się w jednym z apartamentów Mindycza. To zdjęcie zamieściliśmy 4 sierpnia br. na łamach „Przeglądu" w artykule „Wszyscy ludzie Zełenskiego". Wspomnieliśmy w nim także o śledztwie NABU, w którym jednym z głównych podejrzanych był Timur Mindycz.

NABU i SAP ujawniły szczegóły śledztwa pod kryptonimem „Operacja Midas". W Kijowie na szczytach władzy działała zorganizowana grupa przestępcza.

Więcej szczegółów na temat skandalu dorzuciła następnego dnia Emma Busey z Fox News, cytując w swoim materiale pragnącego zachować anonimowość byłego funkcjonariusza ukraińskiego rządu: „Timur miał apartament ze złotymi toaletami, który znajdował się w tym samym budynku co mieszkanie Zełenskiego. W 2021 r. Zełenski świętował w nim swoje urodziny".

Busey dodała, że śledztwem objęty też został były wicepremier Ołeksij Czernyszow, ps. „Che Guevara", którego żona od lat przyjaźniła się z Ołeną Zełenską, żoną prezydenta Ukrainy. Jej mąż miał rozpocząć budowę kilku luksusowych willi na osiedlu o symbolicznej nazwie Dynastia. Funkcjonariusze NABU i Specjalnej Prokuratury Antykorupcyjnej zarzucili mu przyjmowanie ogromnych łapówek. Decyzją sądu Czernyszow trafił do aresztu, z którego niemal natychmiast wyszedł po wpłaceniu przez zaprzyjaźnionych z nim biznesmenów kaucji w kwocie 52 mln hrywien.

Redaktor Christian Esch w komentarzu „1,6 mln w gotówce to całkiem sporo", opublikowanym 18 listopada br. na łamach magazynu „Der Spigel", dowodził, że śledztwa ukraińskich organów antykorupcyjnych nie tylko osłabiły władzę Zełenskiego, lecz także ujawniły „dziwaczne, oburzające i komiczne szczegóły". Niemieckiego dziennikarza zdumiał złoty sedes Mindycza oraz fragment ujawnionego przez NABU nagrania, na którym jeden z podejrzanych, świeżo po powrocie z wczasów na Malediwach, żalił się, że przyszło mu targać w torbie 1,6 mln dol., co wymagało wysiłku, gdyż „ładunek" był ciężki i nieporęczny.

Następnego dnia Esch, w komentarzu „Lekcje z Minditsch-Gate" na stronie internetowej spigel.de przekonywał, że skandal korupcyjny w Ukrainie jest konsekwencją faktu, iż kierownictwo państwa (czyli prezydent) pod pretekstem zapewnienia krajowi stabilności w czasie wojny, skupiło w swoich rękach pełnię władzy. Ułatwiło to ludziom z otoczenia Zełenskiego uruchomienie korupcyjnych „schematów", na których „zarobili" krocie. Także inne zachodnie media cytowały ujawniane przez Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy pikantne fragmenty nagrań.

Wściekłość Ukraińców wywołały pseudonimy, jakimi posługiwali się podejrzani. Timur Mindycz występował w rozmowach jako „Karlson", były doradca ministra energetyki Ihor Myroniuk jako „Rakieta", dyrektor wykonawczy ds. bezpieczeństwa Enerhoatomu Dmytro Basow jako „Tenor", a odpowiedzialny za pranie pieniędzy biznesmen Ołeksandr Cukierman pojawiał się jako „Sugarman". Wypłynął też, choć nie od razu, osobnik o pseudonimie „AliBaba", którym miał być wszechwładny szef kancelarii prezydenta Zełenskiego Andrij Jermak. A to mogło oznaczać, że prezydent wiedział o procederze przestępczym. I nie reagował. Pojawiła się sugestia,

FOT. HARRY BOONE/X

eprasa.pl 654cc469fe

że w Kijowie jest tylko jedna osoba godna przydomku „Król Midas" – sam prezydent Wołodymyr Zełenski. Ukraińcy mają dziś wrażenie, że ci wszyscy ludzie to postacie rodem z kabaretu „Kwartał 95", w którym święcił sukcesy ich obecny „gwarant konstytucji".

19 listopada na łamach brytyjskiego dziennika „The Telgraph" Antonia Langford pisała, że Zełenski znalazł się pod silną presją pozbycia się szefa swojej kancelarii Jermaka, w związku z jego zaangażowaniem w „skandal ze złotą toaletą". Dodała, że rządowi Julii Swyrydenko grozi upadek, gdyż minister sprawiedliwości Herman Hałuszczenko i minister energii Switłana Hrynczuk (prywatnie podobno partnerka Hałuszczenki) są zamieszani w skandal. Ostatecznie oboje zostali odwołani, po czym… zniknęli.

Dziennikarze CNN zwrócili uwagę na to, co w konsekwencji może się okazać najważniejsze, mianowicie na niekorzystny czas skandalu. Nagrania z podsłuchów wypłynęły w momencie, gdy Ukraina zmaga się z najcięższymi od początku wojny rosyjskimi atakami na infrastrukturę energetyczną, jej armia cofa się niemal na całym froncie, a europejscy przywódcy szukają pieniędzy dla Kijowa. Padło też pytanie o przyszłość Wołodymyra Zełenskiego i jego najbliższego otoczenia.

Co jest grane?

Reakcją ukraińskiego prezydenta na skandal korupcyjny były zdawkowe deklaracje, że z korupcją trzeba walczyć, i… tour po europejskich stolicach. Punktem kulminacyjnym stała się gromka zapowiedź, złożona w Paryżu w towarzystwie prezydenta Emmanuela Macrona, zakupu w ciągu dziesięciu lat 100 francuskich myśliwców Rafaele. Ciekawe, czy Zełenski pamiętał, że 22 października br., podczas wizyty w Szwecji podpisał umowę na dostawę od 100 do 150 myśliwców Saab JAS 39 Gripen. Pierwsze samoloty mają trafić do Ukrainy już w przyszłym roku.

18 listopada Owen Matthews z „The Telegraph" opublikował komentarz „Zełenski traci kontakt z rzeczywistością". Stwierdził w nim, że „podpisywanie umów na dostawy broni, na które Ukraina nie może sobie pozwolić, nie jest odpowiedzią na zbliżający się kryzys polityczny i wojskowy".

Powiązania Mindycza z Zełenskim nadały aferze wyjątkową rangę. Media, które w 2022 r. uwielbiły ukraińskiego lidera, dziś są wobec niego nie mniej krytyczne niż Kreml.

Jeśli państwa europejskie nie znajdą kilkudziesięciu miliardów euro do kwietnia przyszłego roku, Kijów będzie miał poważny problem. Skandal nie ułatwia zachodnim politykom podjęcia decyzji o sięgnięciu po ok. 170 mld euro (719 mld zł) rosyjskich aktywów, które pozostają zamrożone w Belgii. Węgry, Słowacja i Belgia są tej decyzji przeciwne. Premier Viktor Orbán i wicepremier Włoch Matteo Salvini ostrzegają, że zachodnia pomoc „trafi do kieszeni skorumpowanych ukraińskich urzędników". Podobne argumenty podnoszone są przez część republikanów w Stanach Zjednoczonych.

W środę 19 listopada br. Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy ogłosiło, że wstrzymuje publikację kolejnych fragmentów „taśm Mindycza". Oficjalnie z powodu obaw o wpływ na prowadzone śledztwo oraz konieczność chronienia interesów państwa w sytuacji poważnych napięć politycznych. Krytyczni wobec prezydenta Zełenskiego ukraińscy politycy zaczęli lansować tezę, że ma to związek z tajemniczym 28-punktowym planem pokojowym administracji prezydenta Trumpa, o którym szeroko informują zachodnie media, a który de facto oznacza kapitulację Ukrainy.

Kijów musiałby m.in. oddać Rosji Donbas, dwukrotnie zmniejszyć armię, zrezygnować, przynajmniej na jakiś czas, z planów wstąpienia do NATO itp. Waszyngton nie konsultował tych zapisów z ludźmi Zełenskiego. Pojawiła się sugestia, że jeśli ukraiński prezydent nie przyjmie tych warunków, NABU może zacząć publikować nagrania, których bohaterem będzie on sam.

Do ataku ruszyła wewnętrzna opozycja z byłym prezydentem Petrem Poroszenką na czele. Domaga się odwołania Andrieja Jermaka z funkcji szefa kancelarii prezydenta, odwołania rządu Julii Swyrydenko i powołania „rządu jedności narodowej". Wydaje się to mało prawdopodobne, gdyż prezydencka partia Sługa Narodu kontroluje Radę Najwyższą Ukrainy.

Prawdziwym zagrożeniem są główni podejrzani, czyli Timur Mindycz i Ołeksandr Cukierman, którzy przebywają za granicą. Mindycz miał zostać ostrzeżony o akcji NABU i opuścił Ukrainę kilka godzin przed przeszukaniem jego kijowskiego apartamentu. Przez Warszawę udał się do Izraela. Dziś jest poza zasięgiem ukraińskiego wymiaru sprawiedliwości, lecz jego ewentualne zeznania złożone np. przed amerykańskimi śledczymi mogą się okazać bardzo groźne dla Zełenskiego.

W dłuższej perspektywie „afera Mindycza" może być decydująca dla politycznego dziedzictwa Wołodymyra Zełenskiego. Jego rola jako historycznego przywódcy, który obronił państwo przed agresją, będzie zawsze zestawiana z zarzutami tolerowania lub niemożności powstrzymania systemowej korupcji we własnym otoczeniu.

W Kijowie można dziś usłyszeć dowcip: „Pytanie: jaka jest różnica między Rosją a Ukrainą? Odpowiedź: Były wiceminister obrony Federacji Rosyjskiej Timur Iwanow został skazany za korupcję na 12 lat kolonii karnej i już siedzi. A przyjaciel prezydenta Ukrainy Timur Mindycz wrócił z milionami do historycznej ojczyzny".

Marek Czarkowski

eprasa.pl 654cc469fe



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Zagłada Gazy polskim trotylem

Gaza, dzisiaj morze ruin, zburzona doszczętnie przez izraelską armię po 7 października 2023 r., jest jednym z najstarszych miast globu, ma prawie 4 tys. lat. Dała nam skromny dar, ratujący przez stulecia ludzkie życia, delikatną tkaninę opatrunkową, którą wszyscy znamy jako gazę właśnie. Dzisiaj świat odwdzięcza się Gazie milczeniem, obojętnością albo współudziałem w izraelskim ludobójstwie i zrównaniu z ziemią tego niezwykłego miasta.

We wrześniu Francesca Albanese, specjalna sprawozdawczyni ONZ ds. okupowanych terytoriów palestyńskich, opublikowała kolejny raport, opisujący tym razem współudział państw europejskich w ludobójstwie w Gazie. Wśród państw, które oskarżała, była także Polska. Przed tygodniem zaś ujrzał światło dzienne raport kilku organizacji międzynarodowych: People's Embargo for Palestine (ruch na rzecz zatrzymania dostaw uzbrojenia do Izraela), Palestinian Youth Movement (młodzieżowa organizacja propalestyńska), Shadow World Investigations (zajmuje się śledztwami dotyczącymi uzbrojenia i korupcji) oraz Movement Research Unit (oferuje wsparcie dla organizacji prowadzących śledztwa i badania), który ujawnia kluczową rolę Polski w dostawach trinitrotoluenu (TNT) wykorzystywanego przez Izrael do ludobójstwa w Strefie Gazy (static1.squarespace.com/static/68f39f06eb2e2f1e3c961bee/t/691c905369e59a0fece46d6c/1763479635531/optimized_final-report--11182025-poland_tnt_report.pdf).

„Polska spółka państwowa Nitro-Chem jest największym producentem TNT wśród członków NATO i UE. Od ponad dziesięciu lat jest głównym dostawcą tego materiału wybuchowego dla amerykańskiego kompleksu militarno-przemysłowego. Według polskich urzędników 90% trotylu importowanego przez Stany Zjednoczone – gdzie obecnie nie ma produkcji krajowej – pochodzi z Polski. Do listopada 2023 r. Polska wysłała ok. 50 tys. ton trotylu do amerykańskich producentów broni. TNT jest wykorzystywany do produkcji bomb lotniczych ogólnego przeznaczenia serii Mark (MK) 80 i innych dużych bomb lotniczych, a także pocisków artyleryjskich. Te bomby i pociski artyleryjskie zostały wyeksportowane w dziesiątkach tysięcy przez Stany Zjednoczone do Izraela, gdzie były szeroko wykorzystywane w Strefie Gazy. Nitro-Chem sprzedaje również materiały wybuchowe, w tym TNT i RDX, bezpośrednio do Izraela".

Produkcja TNT jest niezwykle szkodliwa dla środowiska, co doprowadziło do wycofania się z niej wszystkich krajów Europy. Polska stała się tym samym europejskim monopolistą i głównym zaopatrzycielem USA w trotyl, wykorzystywany do produkcji bomb i pocisków, które potem w gigantycznej skali Ameryka przekazuje Izraelowi. „Od października 2023 r. Izrael w znacznym stopniu polegał na bombach serii MK-80, zarówno kierowanych, jak i niekierowanych, jako głównym narzędziu wojny. W ciągu pierwszych sześciu dni wojny w Strefie Gazy izraelscy piloci zrzucali średnio 1 tys. bomb dziennie. Do kwietnia 2024 r. zrzucili oni na Gazę ok. 75 tys. ton materiałów wybuchowych, co przekracza łączną moc bomb atomowych zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki. Dostawy polskiego TNT do USA są nadal realizowane. W kwietniu 2024 r. Nitro-Chem podpisał umowę z Paramount Enterprises International na dostawę trotylu do bomb serii MK-808 – wkrótce po tym, jak rząd USA zatwierdził transfer 1,8 tys. bomb MK-84 do Izraela. Ostatnio, w kwietniu 2025 r., firma podpisała swoją największą dotychczas umowę o wartości 310 mln dol., obejmującą dostawę 18 tys. ton trotylu w latach 2027-2029. (…) Bez polskiego TNT nie byłoby możliwe przeprowadzenie bombardowań lotniczych na tak niespotykaną skalę i z taką intensywnością, które spowodowały śmierć dziesiątek tysięcy Palestyńczyków i zniszczyły warunki życia w Strefie Gazy – w tym szpitale, szkoły, targowiska i obozy dla uchodźców", podaje raport.

Kiedy na demonstracjach propalestyńskich w ostatnich latach i miesiącach rozlegało się hasło „Gaza-Warszawa – wspólna sprawa", nikomu nie przychodziło do głowy, że zamordowane po powstaniach w 1943 i 1944 r. miasto będzie nie tyle symbolizować ogrom śmierci zadanej ludziom i jemu samemu, ile stanie się (w znaczeniu stolicy państwa) symbolem zagłady i ruin Gazy. Interesujące jest, że po ukazaniu się raportu pojawiły się w Polsce głosy, że to żadna sensacja, że „wszyscy o tym wiedzą". Bez odpowiedzi pozostaje pytanie, dlaczego zatem polskie media nie zająknęły się na ten temat przez całe lata.

Kiedy zgłaszałem polskiej policji zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa pomocnictwa w ludobójstwie przez przedstawicieli izraelskich firm zbrojeniowych wystawiających się bezwstydnie podczas kieleckich targów broni, nie mogłem nawet przypuszczać, że bomby zrzucane z tak potworną intensywnością, zabijające dziesiątki tysięcy osób, cywilów, w tym dzieci, wypełnione są produktem z Polski. Polska ma krew tych tysięcy ofiar na swoich kapitalistycznych, militarystycznych rękach. Polska wspomaga ludobójstwo w Gazie. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 654cc469fe

Grecy wyłudzili od Unii Europejskiej miliony euro

Rolnicze dopłaty stały się sposobem na szybki zarobek

Tomasz Skowronek

Pod koniec października grecka policja aresztowała 37 osób podejrzanych o udział w tzw. skandalu OPEKEPE, w ramach którego zorganizowana grupa przestępcza wyłudzała unijne dotacje rolnicze, składając fałszywe oświadczenia dotyczące własności ziemi. Kryzys niemal doprowadził kraj do bankructwa, miał być ostatni i zakończyć oszustwa – ludzie wciąż jednak sobie nie ufają, a nadużycia są na porządku dziennym.

Fikcyjni rolnicy

Pięć lat temu na domowy adres Vaiosa Ganisa, szefa regionalnego stowarzyszenia rolniczego w prefekturze Ftiotyda w środkowej Grecji, przyszedł anonim. Treść listu zaszokowała Ganisa – niektórzy mieszkańcy jego gminy Domokos, jak twierdził nadawca, pobierali unijne dotacje za pastwiska, których nie byli właścicielami ani dzierżawcami. Otrzymywać je też mieli za prace rolne, których nigdy nie wykonywali. „Dzierżawcy nie mieli nic wspólnego z produkcją rolną, ale dostawali rocznie 2-3 mln euro dotacji", mówił Ganis, 58-letni producent wina.

Przedsiębiorca przekazał zarzuty Ministerstwu Rozwoju Obszarów Wiejskich i Żywności, Dyrekcji Generalnej ds. Przestępczości Gospodarczej i Finansowej w Atenach, Niezależnemu Urzędowi ds. Dochodów Publicznych i władzom regionalnym.

„Nie było żadnej reakcji", raportował Ganis. Zamiast tego zaczął dostawać pogróżki. „Otrzymywałem groźby pozbawienia życia mnie, mojego partnera i syna – powiedział dziennikarzom Bałkańskiej Sieci Dziennikarstwa Śledczego (BIRN). – Groźby, że skończymy w rowie".

Pięć lat później Ganis złożył zeznania przed Prokuraturą Europejską (EPPO), która prowadzi dochodzenia w kilkudziesięciu podobnych sprawach, począwszy od 2017 r. W ramach śledztwa EPPO grecka policja poinformowała, że przeprowadziła operacje w wielu rejonach kraju, od Salonik na północy po Santorini i Kretę. „Aresztowano 36 pracowników OPEKEPE (agencji odpowiedzialnej za przyznawanie unijnych dopłat dla rolnictwa – przyp. red.), w tym jej szefów, a dodatkowo księgowego, który pomagał w działalności", czytamy w komunikacie policji.

Grecka policja aresztowała pracowników agencji odpowiedzialnej za przyznawanie unijnych dopłat.

Według Prokuratury Europejskiej to „organizacja przestępcza zaangażowana w systematyczne i zakrojone na szeroką skalę oszustwa związane z dotacjami, a także praniem pieniędzy".

Śledztwo wykazało, że grupa działała w całej Grecji, miała hierarchiczną strukturę, w której członkowie odgrywali odrębne role. Z zebranych danych wynika, że wykorzystywali oni luki proceduralne przy składaniu wniosków o wsparcie w ramach Wspólnej Polityki Rolnej UE, posługując się fałszywymi lub wprowadzającymi w błąd dokumentami w celu ubiegania się o dopłaty z OPEKEPE.

Jak poinformowano, członkowie grupy przestępczej „fałszywie deklarowali grunty rolne i pastwiska, które do nich nie należały lub nie spełniały kryteriów kwalifikowalności, sztucznie zawyżając liczbę swoich zwierząt, aby zwiększyć wysokość otrzymywanych dotacji. By ukryć pochodzenie pieniędzy, podejrzani prawdopodobnie wystawiali fikcyjne faktury, przelewali środki na wiele kont bankowych i mieszali je z legalnymi dochodami. Część nielegalnych środków przypuszczalnie przeznaczano na zakup dóbr luksusowych i pojazdów oraz na podróże, tak aby pieniądze wyglądały na legalne". Niektórzy prali pieniądze poprzez udział w zakładach bukmacherskich.

Oszuści zwerbowali nawet osoby, które nie były rolnikami, i zarejestrowali ziemię na ich nazwisko, wykorzystując do tego fałszywe umowy.

W trakcie dochodzenia Prokuratury Europejskiej zidentyfikowano 324 osoby jako beneficjentów dotacji – spowodowało to straty dla budżetu Unii Europejskiej szacowane na ponad 19,6 mln euro. Wśród beneficjentów byli przedstawiciele różnych zawodów: inżynierowie, kelnerzy i inni pracownicy branży hotelarskiej, a nawet didżeje. Istotny był również udział księgowych i służb weterynaryjnych, by móc wystawiać fałszywe dokumenty w celu zawyżenia liczby zwierząt gospodarskich.

Banany na Olimpie i przekręty decydentów

Jeżeli spojrzymy na wnioski, to faktycznie w Grecji działy się dziwne rzeczy, np. zwierzęta pojawiały się

eprasa.pl 654cc469fe



Rolnicy i hodowcy protestują przed Ministerstwem Rolnictwa w Atenach w związku ze skandalem OPEKEPE i pomorem zwierząt gospodarskich. Ateny, 11 listopada 2025 r.

znikąd. Między 2016 a 2022 r. pogłowie owiec na Krecie wzrosło przeszło dwukrotnie. Tak przynajmniej pokazują greckie rejestry państwowe, które w podobnym okresie ujawniają inne ciekawe trendy w całym kraju. 7,8 mln zwierząt – tyle rzekomo posiadali oszuści, aby wyłudzić unijne dotacje rolne.

Ale to nie koniec absurdów. Zbocza Olimpu podobno porastają plantacje bananowców, wojskowe lotniska z ograniczonym dostępem zostały przekształcone w gaje oliwne, a pastwiska dla kóz i jagniąt rozciągają się teraz w Grecji od lądu aż do brzegów mórz. Na wyspach trawionych pożarami lub suszą także przeszło dwukrotnie zwiększyła się populacja pszczół. Inne fałszywe wnioski dotyczyły gruntów rolnych na imprezowej wyspie Mykonos.

Z powodu skandalu do dymisji podało się kilku ministrów i wiceministrów. UE nałożyła już na Ateny grzywnę w wysokości 400 mln euro po znalezieniu dowodów na systemowe uchybienia w zarządzaniu dopłatami rolnymi w latach 2016-2023. Grecja ryzykuje też utratę unijnych dopłat, jeśli nie przedstawi ulepszonego planu działania dotyczącego zapobiegania wyprowadzaniu funduszy unijnych na cele korupcyjne. „Komisja czeka na przedstawienie zmienionego planu działania i pozostaje w kontakcie z greckimi władzami", powiedział rzecznik Komisji Europejskiej w wywiadzie dla portalu Politico.

Grecki urząd ds. przeciwdziałania praniu pieniędzy prowadzi dochodzenie w sprawie Giorgosa Xylourisa, „rolnika" z Krety i do niedawna członka rządzącej Nowej Demokracji. Xylouris jest jedną z kluczowych postaci wymienionych w aktach EPPO w związku ze skandalem OPEKEPE, występuje pod pseudonimem Frappé (Mrożona kawa). Greccy urzędnicy poinformowali, że podczas losowej kontroli na jego kontach bankowych odkryto ok. 2,5 mln euro. Władze stwierdziły, że Xylouris nie przedstawił wymaganej dokumentacji finansowej i nie był w stanie uzasadnić posiadania tak dużej kwoty. Zidentyfikowano również osiem pojazdów, które posiadał, w tym luksusowego jaguara. Akta zostały przekazane prokuraturze w celu zbadania możliwych naruszeń przepisów antykorupcyjnych, a dochodzenie w sprawie prania pieniędzy jest w toku.

Premier Grecji Kiriakos Mitsotakis znalazł się pod dużą presją w związku z powiązaniami politycznymi jego rodziny na Krecie. Zapowiedział podjęcie działań wobec winnych oraz odzyskanie sprzeniewierzonych środków publicznych. Kreta to jego ojczysta wyspa, od zawsze była bastionem lewicy, aż do 2023 r., kiedy po raz pierwszy w historii zwyciężyła tam partia premiera. Mitsotakis twierdził, że oszustwa rozpoczęły się w 2016 r., przed objęciem przez niego urzędu w 2019 r. – ostrzegł przy tym, że dotacje unijne dla Grecji mogą być zagrożone, jeśli problem nie zostanie rozwiązany. „Bez względu na koszty polityczne – nie ustąpię", powiedział w radiu Skai.

Takie samo stanowisko przedstawił minister ochrony obywateli Michalis Chrisochoidis.

Niektórzy mieszkańcy Domokos otrzymywali dotacje za pastwiska, których nie byli właścicielami ani dzierżawcami.

FOT. ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 654cc469fe

Jak wynika z danych OPEKEPE, większość fałszywych oświadczeń złożono właśnie na Krecie, która w 2020 r. otrzymała dwie trzecie wszystkich greckich dopłat rolnych z UE. Grecki portal śledczy Inside Story ujawnił, że wnioskodawcy w 34 przypadkach otrzymali środki na zakup ziemi poza granicami Grecji – w jednym dotyczyło to działki w sąsiedniej Macedonii Północnej, która nie jest nawet częścią UE.

UE nałożyła już na Ateny 400 mln euro grzywny z powodu systemowych uchybień w zarządzaniu dopłatami rolnymi w latach 2016-2023.

Obecni i byli urzędnicy opisują system, który działał na trzech poziomach: OPEKEPE udostępniła swoim doradcom technicznym informacje o dostępnych obszarach wypasu. Urzędnicy zajmujący się zwalczaniem oszustw przymykali oko na podejrzane wnioski lub wydawali okólniki pomagające sprawcom unikać dochodzenia, a dyrektorzy agencji, którzy próbowali się przeciwstawić – byli zwalniani. „Nie byłoby to możliwe bez koordynacji ze strony kogoś, kto ma wgląd do map oraz informacji o dostępnych terenach i o tym, co zostało już zadeklarowane", zauważają dziennikarze Inside Story.

Polityczne dynastie i kultura fakelaki

Ten skandal uderza i w rząd, i w wizerunek Grecji. W kraju słynącym jako kolebka demokracji wyraźnie daje się odczuć, że ten ustrój zaczyna się chwiać. Seria różnych skandali potęguje to poczucie – sprawiedliwość wydaje się coraz bardziej chwiejna, a politycy nie chcą tego naprawić. Albo, co gorsza, sami są winni. Pomimo że w Grecji już dawno skończyły się rządy wojskowe, przeszło 50 lat po nich wciąż nie udało się zerwać z tradycją polityki dynastycznej i korupcją. Od czasu zakończenia rządów wojskowych krajowi przewodziło kilka politycznych rodów.

Przykładem jest rodzina Mitsotakisów, której korzenie sięgają XIX w. Wywodzą się z niej obecny premier i jego siostra, która piastowała stanowiska burmistrza Aten i ministra spraw zagranicznych.

Trzech Papandreu: ojciec, syn i wnuk, przewodziło greckim rządom z lewicowych stronnictw od 1945 r. Wszystkie zapowiadały, że podejmą walkę z korupcją i nepotyzmem – w rzeczywistości niewiele się zmieniło. Polityka wciąż opierała się na *fakelaki* – jest to termin odnoszący się w greckiej kulturze do przekupywania urzędników państwowych i prywatnych firm w celu „przyśpieszenia" usługi (dosłownie *fakelaki* oznacza niewielką kopertę, w której zazwyczaj są przekazywane banknoty).

Mimo że w Grecji działa wielu ekonomistów o światowej renomie, a specjaliści z diaspory odnoszą sukcesy, krajowe środowisko biznesowe wciąż uprawia klientelizm i tkwi w inercji.

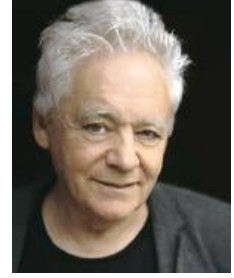
Marina-Selini Katsaiti jest profesorem nadzwyczajnym i kierownikiem Katedry Rozwoju Ekonomicznego i Regionalnego na ateńskim Uniwersytecie Rolniczym. Na portalu eKathimerini tak komentuje zaistniałą sytuację: „Zarówno wtedy, jak i teraz uważam, że problem Grecji jest jeden: korupcja. I nikt nie przekona mnie, że jest inaczej. W kraju, gdzie wszystko ma swoją cenę, choć niekoniecznie wartość, i gdzie wszystkim można handlować, jak może nastąpić jakakolwiek zmiana na lepsze? W państwie, gdzie toleruje się kradzieże z urzędu skarbowego, lecz potępia ujawnianie nadużyć popełnianych przez władze, trudno mówić o jakimkolwiek postępie. Nikt nie lubi korupcji. Wszyscy chcemy przejrzystych procedur i merytokracji, o ile wszystkie powyższe czynniki nie kolidują ze stanowiskiem naszego syna, córki czy brata albo z rentą inwalidzką naszego sprawnego ojca. W istniejącym chaosie wartości świetnie się ma ów system polityczny, właśnie dzięki nieudolnym działaniom, dzięki korupcji i klientelizmowi między politykami a obywatelami. I dotyczy to wszystkich".

Na tym klientelizmie niestety cierpią też uczciwi greccy rolnicy, którzy mogą zostać pozbawieni unijnego wsparcia.

Tomasz Skowronek



eprasa.pl 654cc469fe



Oko w oko Tomasz Jastrun

Race i jad

W pobliżu naszego domu jest Samuel – chrześcijańskie przedszkole, szkoła podstawowa i liceum. Miał tam chodzić Antek, ale go nie przyjęli. Ciekawe dlaczego? Może wywąchali moje teksty krytyczne wobec Kościoła? Mija właśnie to miejsce starsza, siwa para. On woła do żony: „Popatrz, żabciu, żydowska szkoła!". Żabcia zwraca uwagę, że to chyba jednak chrześcijańskie. „A tam, to żydowskie", mówi siwy pan z pogardą. Nie wie, że jeśli coś chrześcijańskie, to w dużej mierze żydowskie, jak Chrystus i jego matka i jak w końcu Biblia. On jest pewien, że święta rodzina to Polacy o poglądach narodowo-prawicowych. Przecież grubo ponad milion Polaków wyznaje poglądy Brauna i podobnie jak on wierzy, że w dzisiejszej Polsce Żydzi się poukrywali, bo przecież zupełnie ich nie widać, a i tak wpływają na losy naszego kraju. Braun nawet oświadczył, że nie wierzy w komory gazowe, to żydowska bujda. Czy milion jego wyznawców nie wierzy, że Niemcy zbudowali na terenie Polski przemysł śmierci, więc Auschwitz to jedynie makieta?

Grubo ponad milion Polaków wyznaje poglądy Brauna.

I w tym temacie… „Bugonia", znakomity firm Yórgosa Lánthimosa, też o tym, jak internet karmi spiskowe myślenie i doprowadza ludzi do obłędu. Przecież choćby religia smoleńska jest chorobą umysłową. Jak zwykle u Lánthimosa są cudowne elementy surrealistyczne. Ten film to mieszanina kilku gatunków: thriller, dramat, komedia, groteska, a w finale przesłanie do ludzkości, że być może z głupoty zmierzamy do samozagłady.

•

Po dwóch latach znowu we wsi Chybie. Rozstrzygnięcie konkursu poetyckiego Exodus '25. Przybyło 928 zestawów prac, każdy po trzy wiersze. Miłosz powiedział kiedyś ze smutkiem: „Kurczą się, kurczą nasze wyspy". Myślał o kulturze, a zwłaszcza o poezji. To prawda, wydawnictwa i księgarnie nie chcą poezji, jednak zaskakująco wielu ludzi pisze wiersze. Rzeczywiście skurczyły się nasze wyspy, ale panuje na nich wielki tłok. W Chybiu jest duża grupa poetycka, w ramach Stowarzyszenia Bez Limitu poeci spotykają się raz na miesiąc. Przybywają z sąsiednich wsi i miasteczek. Jak więc to możliwe, że wydawcy i księgarnie nie chcą tomików wierszy i nie są one kupowane? Zapewne działa narcystyczna osobowość naszych czasów. Dla poety ważne są tylko jego wiersze, a inni niech spadają na drzewo.

W każdym razie z nadesłanych zestawów udało nam się wybrać kilkanaście utworów zaskakująco ciekawych – i ból głowy, co nagrodzić, a co skazać na spadek z podium. Poezja przecież mało wymierna. W Chybiu poezję i nie tylko poezję promuje Mirek Siemiński: zbudował Stowarzyszenie Bez Limitu, wydaje pisma, niezliczone tomiki, rozpisuje konkursy. A wszystko jakby nigdzie, w domku na odludziu. Tacy jak Mirek są solą naszej ziemi. We wsi od roku działa dom kultury, zwany na wyrost Fabryką Kultury, w wyremontowanym budynku, w przybudówce po dawnej cukrowni. Duża sala widowiskowa, przestronna kawiarnia. Dużo ludzi, w Warszawie tylu nie przychodzi na spotkania poetyckie. Ładnie, nowocześnie, jakby ta wieś była dostatnim miastem.

Po uroczystościach wręczenia nagród poetyckich mam wieczór autorski. Z młodym, energicznym dyrektorem Fabryki Kultury rozmawiamy później o tym, ile jednak fajnych rzeczy dzieje się w Polsce. Mówię mu na pożegnanie: „Tak, Polska zmienia się na lepsze, bylebyśmy za dwa lata wygrali wybory". Coraz częściej tak się żegnam z ludźmi. I nie muszę sprawdzać, jakie mają poglądy polityczne – to widać, zanim otworzą usta.

Śpię w ładnym hoteliku w niedalekim miasteczku Strumień – leży nad Wisłą, która tu jeszcze wątła, gdyż bliska źródeł. Ładny rynek z ratuszem zdobnym w wieżę z zegarem, który nieśmiało wybija godziny. W tle kościół. Miasteczko zdaje się zupełnie wymarłe. Jak na obrazach malarzy metafizycznych.

•

Oddala się już Marsz Niepodległości z mgłą czerwoną od rac, które były przecież zakazane, ale prawo dla tej narodowej prawicy nic nie znaczy, ona nim gardzi. Marsz z haniebnymi hasłami, ociekający nienawiścią do Tuska. Spalono flagę Unii. Na czele szedł prezydent Nawrocki z brodą do góry, on już tak zawsze się nosi jak Duce. Franio, mój młodszy syn, był wtedy na siłowni w Złotych Trasach i potem z ciekawości, której tu nie pochwalam, przeszedł się kawałek z marszem, zdumiony, skąd tyle dziwnych gąb. I ten jad nienawiści do premiera. Ale przecież w latach międzywojennych prawica tak samo nienawidziła marszałka Piłsudskiego, więc nic nowego, no, może teraz jadu więcej, a może tamten już zwietrzał. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 654cc469fe

Droga na mistrzostwa czy droga do mistrzostwa?

Szczęśliwa jesień reprezentacji Polski

Wojciech Kuczok

Zagraliśmy pięknie z tą Holandią, do pełni szczęścia zabrakło tylko zwycięstwa – po latach nikt nie będzie wspominał statystyk (w strzałach 14:6 dla Polski) ani rozpamiętywał zmarnowanych okazji. Mecz przejdzie do historii jako jeden z – wbrew pozorom – wielu remisów z europejskimi potęgami, które nam się przytrafiały w ostatnich dekadach, zwłaszcza u siebie. Zapamiętuje się triumfy, a ostatnim tak znaczącym w meczu o punkty było zwycięstwo kadry Nawałki z Niemcami – prawdziwie założycielski mecz dla reprezentacji, której niewiele zabrakło do medalu na Euro 2016.

Jeśli drużyna Ronalda Koemana przyjechała do Warszawy, żeby się zrehabilitować za wrześniowy marazm z Rotterdamu, rychło pojęła, że na Narodowym co najwyżej może powalczyć o zwycięski remis. Poziom pewności siebie i absolutnego przekonania o różnicy klas, jakie dzielą piłkę niderlandzką od polskiej spadały w jednostajnym tempie od pierwszych minut wrześniowej potyczki, gdy Oranje jeszcze próbowali technicznych sztuczek, chwackich dryblingów i gry w dziada, aż po końcówkę meczu piątkowego, kiedy ich wcale nie ucieszyło, że sędzia doliczył aż sześć minut (wskutek dodatkowej przerwy w grze, którą wymusili bracia po racy). Niestety, myśmy musieli na swojego gola zapracować absolutnie doskonałą asystą Lewego i zimnokrwistym wykończeniem akcji przez Kamińskiego, a Holendrzy dostali od nas gola w podarunku. Do wielkości brakuje nam tylko tego, żebyśmy wreszcie przestali rozdawać te cholerne prezenty.

Asysta Lewandowskiego była bajeczna, jak mistrzowski slice na korcie, Robert posłał Kamińskiemu piłkę nie tylko idealnie w tempo, ale nadał jej taką rotację, że minąwszy obrońców, nagle zwolniła w odpowiednim momencie przed napastnikiem FC Köln. I tyle było radości.

Trudno zmilczeć popisy braci kibolskiej. „PZPN rzucił race naszymi rękami", rzekł był przedstawiciel kibolstwa patriotycznego o nazwisku Pilecki. Czy oni sobie tam w stowarzyszeniach psychopatriotów zmieniają nazwiska? Prezes nazywa się Chrobry, pierwszy sekretarz Dmowski, a skarbnik Jagiełło? Polska kibolska poczuła, że jak ma swojego ziomka w Pałacu Prezydenckim, to teraz już nikt jej nie podskoczy. Nie było pozwolenia na wniesienie sektorówki, to się ferajna zemściła i obok tradycyjnej pieśni o tym, jak należy kochać Polski Związek Piłki Nożnej, wykonała nowatorski performance z cyklu światło i dźwięk – race na boisko i przyśpiewka „Miała, k…a, być oprawa, teraz pali się murawa". Czy z powodu tego wybryku zagramy z Albanią na pustym stadionie, niebawem się okaże – kary mogą być dotkliwe, a nasz pałacowy zapiewajło nie będzie miał tu prawa łaski.

I już chcielibyśmy zastosować sylogizm optymistyczny: Holendrzy twierdzą, że wybierają się na mundial po mistrzostwo świata, my dwukrotnie zagraliśmy z nimi na remis, przy czym ten warszawski trzeba uznać za remis ze wskazaniem na naszych, a zatem jeśli Polska awansuje na mundial, ma wszelkie dane ku temu, by myśleć o Pucharze Świata.

Tylko że my od niepamiętnych czasów nie jesteśmy w stanie oddać dwóch równych skoków, o pardon, zagrać dwóch dobrych meczów z rzędu, o czym boleśnie przypomniał ten na Malcie. Ci sami ludzie, którym wcześniej nie dała rady Holandia, do końca drżeli o wynik z drużyną sklasyfikowaną w rankingu FIFA na miejscu 161. Oranje pyknęli Maltańczykom 12 goli na czysto, myśmy wiosną się męczyli jako gospodarze i teraz trzęśli portkami jako goście, dając sobie strzelić dwa gole, historyczne, bo Malta dotąd nigdy nie umiała trafić do naszej bramki. Było blisko katastrofy – uratował nas rykoszet po strzale Zielińskiego, wynik zatem się zgadza, ale gra naszej reprezentacji była szokująco nieporadna. Albo tyle sił kosztowało naszych stawienie oporu Holendrom, albo fetowanie warszawskiego remisu.

> Do wielkości brakuje nam tylko tego, żebyśmy wreszcie przestali rozdawać te cholerne prezenty.

Wolałbym to drugie wytłumaczenie, bo biało-czerwoni faktycznie poruszali się jak na kacu gigancie, wolni, niemrawi, niedokładni i lekkomyślni (Zalewski wykartkował się przed barażem jak bęcwał, Kiwior idiotycznie sprokurował rzut karny). Jeśli jednak miałoby się okazać, że przyczyny maltańskiej niemocy tkwią w czysto sportowym wyczerpaniu, oznaczałoby to, że na turnieju sił nam nie stanie na wiele. Tam trzeba się regenerować co kilka dni i grać na nucie najwyższej. Mam przeczucie, graniczące z pewnością, że Holendrzy,

eprasa.pl 654cc469fe

którzy do Warszawy przyjechali praktycznie na mecz towarzyski, dość rychło odpuścili sobie szarpaninę o zwycięstwo z bojowo nastawioną Polską – nas ten remis kosztował zbyt wiele, znacznie więcej niż rywali.

I tu jest pies pogrzebany – mistrzami świata nie zostaje się za pojedyncze szarże ułańskie, lecz wskutek usystematyzowania własnej siły. Na tym polega różnica: ani w Warszawie, ani w Ta' Qali nie zagrały ze sobą równe drużyny, lecz zagraliśmy „jak" równy z równym z Holendrami, a potem z Maltą. Euforia z pierwszego meczu została szybko zgaszona – okazuje się, że nasz futbol cierpi na dwubiegunówkę nie tylko w wersji klubowej (kompromitacja Lecha na Gibraltarze krótko po koncertowym ograniu Rapidu Wiedeń w Poznaniu), lecz i reprezentacyjnej. Które oblicze jest prawdziwsze, próżno dociekać.



Eliminacje MŚ 2026, mecz Polska-Malta. Nz. Tomasz Kędziora, Irvin Cardona i Bartosz Slisz, 17 listopada 2025 r.

W marcu trzeba będzie zagrać dwukrotnie na całego, choć i tak powiedzieć, że losowanie nam sprzyjało, to nic nie powiedzieć. Po tym, jak w doliczonym czasie szalonego meczu w Glasgow Szkoci dwukrotnie ukąsili Duńczyków i awansując na mundial zepchnęli nas do drugiego koszyka przed losowaniem baraży, mieliśmy miny nietęgie.

Na marginesie: ujadanie polskich kibiców na sędziego Marciniaka tak się rozniosło po świecie, że teraz każdy czuje się w prawie obwiniać go za swoje niepowodzenia. Tym razem Dania zgłasza pretensje o wykluczenie zawodnika i rzekome wypaczenie wyniku, tymczasem ich piłkarz dostał drugie żółtko po godzinie gry absolutnie zasłużenie za faul taktyczny.

Owóż, Polakom znowu sprzyjał los – trafiliśmy na Albanię, a jeśli ją ogramy u siebie, być może finał także zagramy w domu, bo w parze ukraińsko-szwedzkiej nasi wschodni sąsiedzi wydają się ekipą mocniejszą, a wszystkie mecze w roli gospodarzy grają w Polsce.

Wygrać z Albanią i Szwecją lub Ukrainą to i tak zadanie łatwiejsze, niż dwukrotnie zremisować z Holandią – droga na mundial wydaje się już nienadmiernie wyboista. Jeśli Jan Urban zdoła ustabilizować formę swoich podopiecznych, tak jak to zrobił Jerzy Brzęczek z kadrą młodzieżową. Latem przejął grupę chłopców sponiewieranych koszmarnym występem na Mistrzostwach Europy U-21 i błyskawicznie postawił ich na nogi. Tak mocno na nich stanęli, że odnieśli sześć kolejnych zwycięstw w następnych eliminacjach, uzyskując bilans bramkowy 18:1. Tego jedynego gola wbili nam Włosi, ale była to bramka honorowa w meczu, którego losy potrafili odwrócić nasi rezerwowi. Szalony rajd Jana Faberskiego przez trzy czwarte boiska, okraszony ruletą i asystą przejdzie do historii naszej piłki juniorskiej jako jedna z najpiękniejszych akcji bramkowych.

Polskie orlęta grają z polotem, czasem wprost niszczą rywali, jak w wyjazdowym meczu ze Szwecją, wygranym 6:0, a czasem potrafią się podnieść mimo niekorzystnego przebiegu gry z silniejszym rywalem. Kto wie, czy wygrana młodzieżówki z Włochami, czyli zdanie celująco pierwszego poważnego sprawdzianu mocy tej kadry, z perspektywy czasu nie okaże się dla naszego futbolu o wiele bardziej znacząca, niż remis seniorów z Holendrami. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby kluczowe role w kadrze na mundialu (o ile seniorzy przebiją się przez baraże) zagrali właśnie Faberski, Pietuszewski, Pieńko czy Kacper Urbański. Ten ostatni wedle najnowszych wieści będzie za chwilę podopiecznym Marka Papszuna, który ma na dniach przejąć warszawską Legię. Papszun do młodych talentów ma nosa, to on ściągnął do Rakowa obecnego kapitana młodzieżówki Tomasza Pieńkę i stawiał na niego w Częstochowie.

Ale w najwyższym stopniu nie podoba mi się ta rejterada spod Jasnej Góry w środku sezonu, tuż przed ważnym meczem w Lidze Konferencji. W najbliższym czasie oba kluby mogą na tym wyłącznie stracić – chaosu w Legii nie da się pozbierać w kilka dni, za to Raków nagle opuszczony przez swojego trenera, mentora, ojca wszystkich awansów i sukcesów piłkarskich klubu w ostatniej dekadzie może się rozsypać w mgnieniu oka. I to właśnie teraz, kiedy o marnym starcie rozgrywek doszlusował do czołówki Ekstraklasy i ma szansę walczyć o mistrzostwo. ■

FOT. BEATA ZAWADZKA/EAST NEWS

eprasa.pl 654cc469fe

W filharmonii jak w samolocie

Chcę, aby nowicjusz w Filharmonii Narodowej czuł się swobodnie



ZOFIA ZEMBRZUSKA
– dyrektor Filharmonii Narodowej

Rozmawia
Bronisław Tumiłowicz

Od ponad dwóch miesięcy zasiada pani w fotelu dyrektora Filharmonii Narodowej, jako pierwsza kobieta na tym stanowisku. Jesteśmy świeżo po XIX Konkursie Chopinowskim, kiedy to gmach filharmonii był oblegany przez melomanów, gotowych nawet spędzić kilka godzin nocnych w śpiworach, aby rano otrzymać wejściówkę. Czy taki stan oblężenia może się powtórzyć w normalnym sezonie koncertowym?

– Przede wszystkim mamy szczęście, że nasza filharmonia cieszyła się wtedy tak wielkim zainteresowaniem. To dla instytucji muzycznych ogromna szansa i dowód, że można zainteresować muzyką klasyczną szeroką publiczność. Choć z pewnością była to szczególna grupa słuchaczy, wśród nich znaleźli się także ci, którzy o muzyce klasycznej niewiele wiedzą. Właśnie wyjątkowa atmosfera konkursu, swoistego turnieju pianistów, przyciągnęła ich do nas. To dla nas pewna wskazówka.

W podobnym duchu docierania do nowych słuchaczy uruchomiliśmy w tym sezonie nowy cykl – Koncerty Czwartkowe, których formuła może być nieco przystępniejsza dla osób dopiero rozpoczynających przygodę z muzyką klasyczną: koncerty są krótsze, nie mają przerwy, a poprzedza je wprowadzenie dostosowane do potrzeb odbiorców. Zaczęliśmy od twórczości Bacha w wykonaniu orkiestry Kore pod kierownictwem Aapo Häkkinena. Między utworami prowadzone były krótkie rozmowy z muzykami, przybliżające dane dzieła.

To był pewnego rodzaju eksperyment, myślę, że udany. Muzyka stała się bliższa słuchaczom, zwłaszcza tym, którzy dotąd wyczuwali pewną niewidzialną barierę przy wejściu do filharmonii, do „świątyni sztuki klasycznej". Teraz mogli nieco lepiej zrozumieć, o co w tej muzyce chodzi. Dostrzegli, że pozorna trudność w odbiorze nie powinna nikogo wykluczać. Dla takich właśnie czwartkowych słuchaczy, a zwłaszcza tych, którzy przychodzą do nas po raz

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 654cc469fe

pierwszy, umieściliśmy na stronie internetowej rodzaj przewodnika objaśniającego pewne rytuały związane z klasyką muzyczną, choć one też nie powinny nikogo wykluczać.

Czytam na waszej stronie hasła z przewodnika „Pierwsza wizyta w Filharmonii", gdzie wspomina się np. o ubiorze, dając do wyboru strój wieczorowy albo dowolny: „Wystawna elegancja nie jest żadnym przymusem – nie każdy przecież czuje się dobrze w krawacie albo szpilkach. Jeśli należysz do tej grupy, polecamy prosty, schludny ubiór – tak, aby to Tobie było wygodnie". To bardzo przyjazne podejście.

– Na naszej stronie są również wskazówki odnośnie do napojów i jedzenia w sali, spóźnionych słuchaczy, a nawet oklasków i wstawania z foteli. A wszystko po to, by z jednej strony przełamać uczucie niepewności u debiutujących słuchaczy, a z drugiej, by nie robić niepotrzebnego hałasu przeszkadzającego w odbiorze muzyki.

Mowa o szeleszczeniu, stukaniu fotelami, nawet kasłaniu. I wreszcie sprawa nagminna, bo średnio na co drugim koncercie rozlega się sygnał telefonu komórkowego. Podczas Konkursu Chopinowskiego utworzono nawet specjalne stanowisko pomagające publiczności przestawić aparat na tryb samolotowy. Może przydałaby się jakaś elektroniczna zapora odcinająca połączenia komórkowe?

– Przed każdym koncertem nadajemy prośbę o wyłączenie telefonów i innych urządzeń elektronicznych, aby nie zakłócały odbioru muzyki. Koncertów jest wiele i liczymy, że wszyscy nasi goście będą przestrzegać tego wymogu.

Ktoś policzył, że te koncerty to w roku 10 tys. minut muzyki, ponad 140 spotkań w filharmonii. Czy osiągnęliście już maksimum możliwości?

– Chodzi nam nie o liczbę, lecz przede wszystkim o najwyższą jakość. Zaplanowaliśmy 61 koncertów symfonicznych i chóralnych oraz 16 kameralnych – w tym cztery recitale. Scena Muzyki Polskiej proponuje osiem koncertów, do tego siedem Koncertów Czwartkowych. Koncertów dla dzieci będzie 36 – 16 w Sali Koncertowej i 20 w Sali Kameralnej. Nowy cykl, o którym wspomniałam, przeznaczony jest generalnie dla grupy dotąd najskromniej reprezentowanej, czyli od 16 do 26 lat, a więc tych, którzy już podejmują samodzielne decyzje o spędzaniu czasu wolnego, a jeszcze nie zarabiają. Pomyśleliśmy zatem o przystępnych cenach biletów dla nich, zapewniając specjalne zniżki. W cyklu chcieliśmy zawrzeć przekrój całej muzyki: muzykę dawną, symfonie, oratoria i kameralistykę. Dodam, że ten sezon artystyczny był w zasadzie w pełni zaplanowany przed objęciem przeze mnie stanowiska.

Nowy sezon to także nowy dyrektor artystyczny, maestro Krzysztof Urbański, znany dyrygent, który niezależnie od młodego wieku dał się już poznać melomanom w wielu krajach. Jego hasłem programowym była filharmonia „radosna, otwarta, nowoczesna". Zgadza się pani z tym?

– Podpisuję się pod każdym z tych słów. Filharmonia Narodowa, instytucja z tak ważnym przymiotnikiem Narodowa, powinna być jak najbardziej otwarta, co widać choćby we wspomnianym poradniku, jak się zachować czy ubrać. Nie stawiamy radykalnych ograniczeń, choć oczywiście nie spodziewamy się słuchaczy w kostiumach kąpielowych. Pragniemy, by muzyka sprawiała wszystkim radość – to widać po reakcjach publiczności, po oklaskach. Zalecamy, by nie klaskać między częściami symfonii czy sonaty, ale jeśli ktoś chce wyrazić szczery entuzjazm, nie powinien czuć się skrępowany. W tym przejawia się właśnie radość obcowania ze sztuką. Takie podejście prezentuje Krzysztof Urbański – jego energia w pełni wpisuje się w te ideały. Wielu osobom muzyka klasyczna wydaje się onieśmielająca, dlatego staramy się ją przybliżać dzięki spotkaniom i rozmowom. Chcemy, by otwartość i radość były wyraźnie odczuwalne.

Wielu osobom muzyka klasyczna wydaje się onieśmielająca, dlatego staramy się ją przybliżać dzięki spotkaniom i rozmowom.

Wspomnę jeszcze, że w Filharmonii Narodowej zatrudniony jest Christoph König jako pierwszy dyrygent gościnny. Czy on też wnosi ten powiew swobody i radości?

– Oczywiście. Widzimy, jak znakomicie pracuje z orkiestrą, a publiczność również to dostrzega. Relacje między muzykami a dyrygentem są ogromną wartością i przekładają się na jakość wykonania. A muzyka to także dialog z publicznością.

W konkursie na stanowisko dyrektora Filharmonii Narodowej miała pani konkurenta, Wacława Turka. To doświadczony muzyk, akordeonista. Spotkała się pani z nim? A może coś z jego propozycji programowych nadawałoby się do wykorzystania?

– Nie poznałam Wacława Turka, nie zetknęłam się z nim na przesłuchaniach, zresztą moja koncepcja programowa została złożona dużo wcześniej.

Zofia Zembrzuska – absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego na kierunku kulturoznawstwo oraz Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie na kierunku zarządzanie projektami. Ukończyła Państwową Szkołę Muzyczną II stopnia im. Józefa Elsnera w Warszawie (klasa skrzypiec). Od 2012 r. była związana zawodowo z Instytutem Adama Mickiewicza – początkowo na stanowisku realizatora projektów, a od 2018 r. jako menedżer programu Polska Music. W 2021 r. objęła stanowisko kierownika Wydziału Projektów i Wydarzeń Artystycznych, w ramach którego realizowane były wszystkie projekty instytutu. Od września 2021 r. była zastępcą dyrektora Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia.

eprasa.pl 654cc469fe

Pani zainteresowania muzyczne są dosyć szerokie, to m.in. popularyzacja folku i współudział w powstaniu zespołu Sutari. Czy to też będzie miało odbicie w poszerzaniu profilu i stylów muzycznych prezentowanych w Filharmonii Narodowej? Przecież prócz muzyki poważnej istnieje i ma się dobrze wiele innych gatunków: jazz, muzyka filmowa, nawet muzyka do gier komputerowych.

– Istotnie, miałam swój udział w zespole folkowym, jednak misją Filharmonii Narodowej jest popularyzacja muzyki klasycznej – wolę używać tego określenia niż „muzyka poważna", które bywa zniechęcające. W tej kwestii większych zmian nie planuję, choć możliwe jest pewne przemyślenie proporcji prezentowanej muzyki. Poza tym odbywają się u nas rozmaite festiwale. Warszawska Jesień pokazuje, że muzyka współczesna przenika się dziś z jazzem, elektroniką czy rockiem. Muzyka filmowa również bywa niezwykle różnorodna i często czerpie z klasyki. Wszystko więc zależy od wykonania, a ono w tym miejscu powinno być najwyższej jakości i ta zasada na pewno się nie zmieni.

Na koncercie, podczas którego wykonywana była „Symfonia pieśni żałosnych" Henryka Mikołaja Góreckiego, Krzysztof Urbański poprzedził wykonanie komentarzem słownym. To dosyć rzadki sposób porozumiewania się dyrygenta z widownią. Dotąd korzystał z tego jedynie maestro Jerzy Maksymiuk, ale jego słowa były słyszalne tylko w pierwszych rzędach.

– Tym razem było to w pełni zaplanowane wystąpienie. Dyrygent mówił do mikrofonu, prosząc słuchaczy o szczególne skupienie, bo dzieło Góreckiego dotyka tragicznych, naładowanych emocjonalnie przeżyć ludzkich. Maestro Urbański prosił o zachowanie ciszy po zakończeniu utworu, o powstrzymanie się od oklasków. Po wyjściu z sali słuchacze – aby dać ujście emocjom (zamiast oklasków) – mogli spisać swoje odczucia na przygotowanych kartkach. To był eksperyment, który pozwolił nam lepiej poznać opinie publiczności. Dodam, że koncert był transmitowany na żywo na platformach internetowych muzyki klasycznej Medici.tv i Mezzo.tv. Sama koncepcja wykonania była nowatorska, jeśli chodzi o udział solistów (trzy różne głosy zamiast jednego solisty).

Rozumiem, że publiczność, także ta internetowa, telewizyjna czy radiowa, będzie mogła częściej słuchać koncertów filharmonicznych online. Poszerzy to liczbę potencjalnych odbiorców muzyki powstającej w tym miejscu. Wszak Konkursu Chopinowskiego słuchały miliony, a sala FN ma niewiele ponad 1 tys. miejsc. Kiedyś mówiono o nowej sali koncertowej.

– Sala Filharmonii Narodowej jest miejscem historycznym i naszym obowiązkiem jest o nią dbać – ulepszać jej wyposażenie, ewentualnie podnosić walory estetyczne i akustyczne, jeśli to możliwe. Nasza sala koncertowa nie jest największa; nowa sala budowana dla orkiestry Sinfonia Varsovia pomieści więcej słuchaczy, ale nasze miejsce naznaczone jest historią i tradycją. Ponadto koncerty symfoniczne powtarzamy (gramy w piątki i soboty), więc w sumie może ich wysłuchać na żywo nie 1 tys., ale 2 tys. osób.

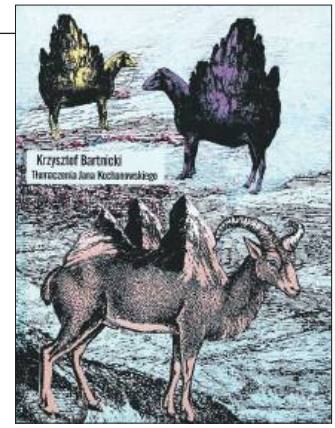
Powiedziała pani o grupie docelowej 16-26 lat, która do tej pory nie stanowiła większości słuchaczy. Niestety, edukacja muzyczna wciąż kuleje w naszym szkolnictwie powszechnym. Jeśli tego nie ma na lekcjach, filharmonia powinna zapraszać szkoły.

– Ależ tak się dzieje. Ogromnie zależy nam na młodzieży. Za edukację muzyczną odpowiadają przecież nie tylko rodzice (którzy nierzadko sami nie mieli styczności z muzyką klasyczną), ale i szkoła. Zapraszamy publiczność, w tym szkolną, na próby generalne wybranych koncertów. Podczas tzw. otwartych prób można zadać dyrygentowi pytania. Pokazanie filharmonii od kuchni może przybliżyć młodych ludzi do nas – fizycznie i mentalnie. Gdy zobaczą, jak pracujemy, bardziej zainteresują ich efekty tej pracy. Ciekawa jestem również, jakie są potrzeby młodych, by lepiej rozumieć i doświadczać muzykę, dlatego będę się wsłuchiwać w ich głos.

Bronisław Tumiłowicz

Zalecamy, by nie klaskać między częściami symfonii czy sonaty, ale jeśli ktoś chce wyrazić szczery entuzjazm, nie powinien czuć się skrępowany.

KSIĄŻKI



Krzysztof Bartnicki

Tłumaczenia Jana Kochanowskiego

Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej, Katowice 2025

Współczesny tłumacz prezentuje własną interpretację dzieł Jana Kochanowskiego, łącząc szacunek dla klasyki z nowoczesnym podejściem do języka i formy. Nie traktuje tłumaczeń jako marginesu twórczości Kochanowskiego, wydobywa je na pierwszy plan, pokazując ich znaczenie dla kształtowania polszczyzny renesansowej. Odkrywa ich rewolucyjność, ich językową i formalną nowość, a także wskazuje, że właśnie dzięki nim polszczyzna literacka XVI w. zyskała większą plastyczność i wyrazistość. Udowadnia też, że tłumaczenia Kochanowskiego były równie rewolucyjne jak jego autorska poezja, a ich zrozumienie pozwala spojrzeć na twórczość poety z zupełnie nowej perspektywy.

(es)

eprasa.pl 654cc469fe

MATEUSZ PAKUŁA Z NAGRODĄ BOYA

Po autorskim spektaklu „Latający potwór Spaghetti", owacyjnie przyjętym przez publiczność Łaźni Nowej w Nowej Hucie, Mateusz Pakuła odebrał 12 listopada 2025 r. Nagrodę AICT im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Nagrodę tę otrzymał za wybitne dokonania reżyserskie i dramaturgiczne, a zwłaszcza autorskie spektakle oparte na powieściach „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję" oraz „Skóra po dziadku", zrealizowane w koprodukcji Teatru Łaźnia Nowa w Krakowie i Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach.



Nagrodę Mateuszowi Pakule wręczył Tomasz Miłkowski.

Spotkanie otworzył dyrektor Bartosz Szydłowski w kostiumie biskupa, nawiązując nim do dramatu Pakuły i zapowiadając skromną ceremonię z udziałem członkiń zarządu polskiej sekcji AICT/Klubu Krytyki Teatralnej SDRP, Marzeny Dobosz i Katarzyny Michalik-Jaworskiej, oraz przewodniczącego Tomasza Miłkowskiego.

Przed wręczeniem dyplomu Miłkowski krótko przypomniał dzieje tej nagrody, przyznanej po raz pierwszy w roku 1957, kiedy jej laureatem został Kazimierz Dejmek. Podkreślił, że Mateusz Pakuła jest 50. laureatem tej nagrody i drugim, po Sławomirze Mrożku, dramatopisarzem z tym laurem. „Nie przypadkiem – powiedział – Mateusz Pakuła odbiera tę nagrodę w Łaźni Nowej, która okazała się przyjaznym inkubatorem jego talentu, gdzie wielokrotnie spełniał się jako dramatopisarz, autor adaptacji i dramaturg, m.in. pamiętnego spektaklu »Śnieg« według Orhana Pamuka w reżyserii Bartosza Szydłowskiego, i reżyser własnych dramatów. Niezatarte wrażenie wywarła premiera »Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję«, dramatu opartego na powieści Pakuły. Spektakl wywołał szeroki rezonans, dosłownie obsypany został nagrodami, zwracając uwagę na głos artysty w obronie pokrzywdzonych, poniżanych, lekceważonych, znajdującego oryginalny kształt artystyczny dla kluczowych wyzwań współczesności".

Mateusz Pakuła, nie kryjąc wzruszenia, podziękował za Nagrodę Boya, dzięki której znalazł się w zaszczytnym gronie wspaniałych, wcześniej wyróżnianych artystów. Bartoszowi Szydłowskiemu dziękował za zaufanie i przyjazną pomoc, a nagrodę zadedykował żonie, Zuzannie Skolias-Pakule.

Zarząd polskiej sekcji AICT/Klub Krytyki SDRP

W was była Polska

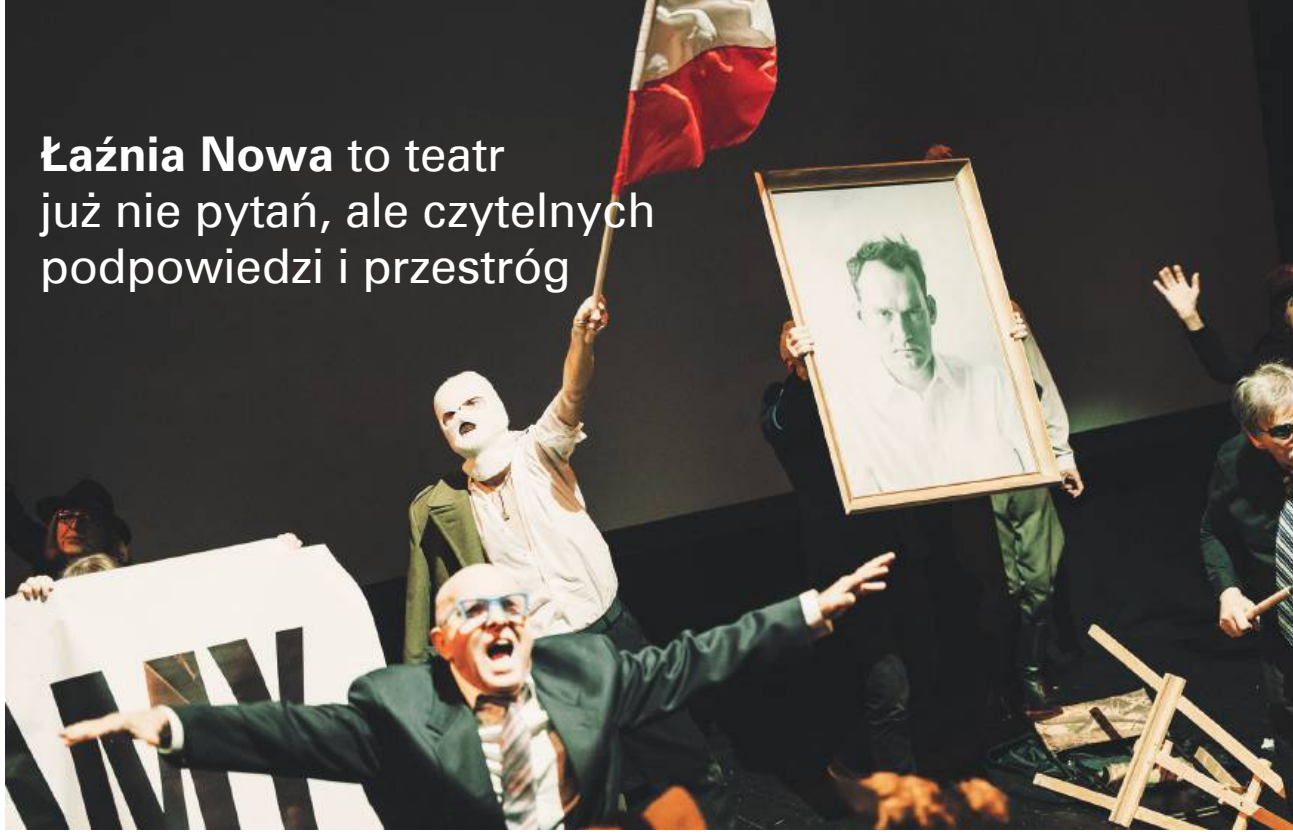
Muzeum Niepodległości w Warszawie zaprasza na wystawę „W was była Polska" poświęconą Rewolucji 1905 roku, której 120. rocznica przypada w tym roku. Ekspozycja jest prezentowana w głównej siedzibie Muzeum od 21 listopada 2025 roku. Tytuł wystawy pochodzi od pierwszych słów wyrytych na obelisku znajdującym się w Łaniętach (pow. kutnowski), gdzie doszło do masakry robotników folwarcznych. Życie straciło wówczas 12 uczestników protestu, a 15 zostało rannych. Nawiązanie do tego wydarzenia pokazuje szerszy kontekst społeczny rewolucji, która w 1905 roku ogarnęła nie tylko klasę robotniczą, ale również inne grupy społeczne: masy chłopskie, drobnomieszczaństwo, znaczne odłamy zawodowej inteligencji i przedstawicieli wolnych zawodów. Ich wspólnym dążeniem był opór przeciw narodowemu uciskowi oraz pełnej rusyfikacji szkół i urzędów. Podczas działań rewolucyjnych ujawniła się solidarność klasowa oraz pozostające dotąd w ukryciu poczucie wspólnoty narodowej. Wśród historyków często stawiane jest pytanie, czy wydarzenia 1905 roku były pierwszą rewolucją czy też czwartym powstaniem?


Grafika Jana Kotowskiego (1885–1960), Patrol Kozaków 1905 r.

Prezentowane na wystawie obrazy oraz grafiki odnoszące się do Rewolucji 1905 pochodzą ze zbiorów Muzeum Niepodległości.

FOT. ARTUR RAKOWSKI, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 654cc469fe



Łaźnia Nowa to teatr
już nie pytań, ale czytelnych
podpowiedzi i przestróg

Proces Niewiadomskiego

Tomasz Miłkowski

„Proces Eligiusza Niewiadomskiego", którego premiera nieprzypadkowo odbyła się w dniu Święta Niepodległości, to pierwsza odsłona Teatru Obywatelskiego, nowego formatu zdarzeń, wokół których reżyser i współtwórca tego miejsca Bartosz Szydłowski zamierza ogniskować program Teatru Łaźnia Nowa. Teatr ten powstał przecież z marzeń o przebudowie wizerunku Nowej Huty, traktowanej jako gorsza część Krakowa i spychanej co najwyżej do roli miejsca, gdzie – jak powiada Szydłowski – lądowali kosmici i proponowali swój teatr. Po czym odlatywali.

Szydłowscy – bo od początku było to współdziałanie Małgorzaty, scenografki wizjonerki, i Bartosza, reżysera, kreatora nowych relacji między teatrem a społecznością – nigdzie nie odlecieli. Teatr przez nich założony trwa, przez 20 lat wrósł w nowohucki pejzaż, związał się licznymi relacjami z mieszkańcami. I wciąż proponuje nowe formy spotkania i wymiany.

Pomysł nie pojawił się znikąd. W Łaźni zrealizowali Szydłowscy całą serię przedstawień politycznych, mocnych emocjonalnie, działających na wyobraźnię, które pobudzały do dyskusji o sytuacji obywatelskiej Polaków, błądzących między fantazjami o wielkości a skłonnością do hipokryzji. A jednak ta nazwa – Teatr Obywatelski – coś przecież znaczy: wyraźnie czerpie z dotychczasowego dorobku (choć tym razem Szydłowski nie działa w tandemie z Szydłowską), lecz chce się otworzyć na nowe rejestry. To ma być chyba teatr już nie pytań, ale czytelnych podpowiedzi, analogii i przestróg.

Stworzony przez Szydłowskich teatr przez 20 lat wrósł w nowohucki pejzaż i wciąż proponuje nowe formy spotkania z widzami.

Pierwszy impuls do stworzenia tego właśnie spektaklu pojawił się mniej więcej półtora roku temu, kiedy Szydłowski natknął się na książkę Stanisława Kijeńskiego, będącą zapisem procesu Eligiusza Niewiadomskiego. Kijeński był jego obrońcą z urzędu. Sam się zgłosił. Oskarżony początkowo nie chciał żadnego obrońcy, w końcu przystał na pomocniczy udział mecenasa w procesie w roli czuwającego nad procedurą. Sam Kijeński, działacz narodowy, zmierzał do moralnego oczyszczenia mordercy, który, choć zabił, to z wyższych pobudek jako „mściciel krzywd zdrowej większości narodu". Dlatego opublikował dokumentację procesu, która miała prawdopodobnie służyć upowszechnieniu kultu Niewiadomskiego. Paradoksalnie jednak udostępnił materiał, który potwierdził fanatyczne motywacje mordercy, jego nacjonalistyczne zaczadzenie.

Szydłowski od razu dostrzegł potencjał teatralny tego zapisu. Zapewne dlatego, że źródła postaw

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK

eprasa.pl 654cc469fe

fanatycznych, zamkniętych na dialog i porozumienie, formujące gotowych na wszystko obrońców polskości i chwały narodu, wcale nie wyschły. Bartosz Szydłowski nie zdecydował się jednak na odtworzenie aury będącej pożywką dla radykalnych wystąpień. Tę atmosferę ukazywał pamiętny film Jerzego Kawalerowicza „Śmierć prezydenta" (1977).

Jądrem zdarzenia w Łaźni Nowej stał się stenogram procesu. Nawiedzony zbrodniarz wykorzystał rozprawę do głoszenia swojego programu obrony wielkiej Polski i autokreacji – jako bohatera narodowego, męczennika, który złożył się w ofierze ojczyźnie. Jednak ślad tego, co czuło się wtedy w powietrzu, został zasygnalizowany.

Kiedy 11 listopada wieczorową porą, przed godz. 20, zbliżałem się drogą na skróty, ciemnymi zaułkami, do mieszczącego w Osiedlu Szkolnym Teatru Łaźnia Nowa, już z oddali dobiegły mnie groźnie brzmiące okrzyki, przekrzykiwania i gwizdy. Początkowo myślałem, że toczy się tu jakiś mecz, że nerwy puściły kibicom. Im bliżej teatru, tym lepiej była słyszalna niepokojąca wrzawa – przypominała wiec albo demonstrację. Kiedy znalazłem się przed oświetloną rzęsiście fasadą teatru, ozdobioną sztandarami narodowymi, odkryłem, że hałas dobiegał z zainstalowanych przed teatrem głośników, które imitowały gorące zgromadzenie patriotyczne. W ten sposób przygotowywano widzów na to, co miało wkrótce nastąpić.

Najpierw trzeba było trochę poczekać, nim otwarte zostało wejście z tyłu małej sceny (choć bilety zapowiadały spektakl na dużej scenie). Po wejściu do środka okazało się, że trafiliśmy na salę sądową, z typową organizacją scenerii w Pałacu Sprawiedliwości: potężnym stołem sędziowskim na podwyższeniu, miejscami dla oskarżonego i obrońcy, dla oskarżycieli, wreszcie dla publiczności. Część miejsc była już zajęta przez wcześniej przybyłą publiczność, różniącą się od widzów spektaklu strojami, nawiązującymi do mody obowiązującej na początku lat 20. XX w. Do pracy przygotowywali się aktorzy i ekipa techniczna.

Obsługa dyskretnie kierowała publiczność do sąsiedniej sali – widowni dużej sceny. Wkrótce przekonaliśmy się, że rozprawa trwa za ścianą, a my możemy ją oglądać w wersji czarno-białej na ekranie. Niczym relację dla publiczności niedopuszczonej na salę rozpraw. Nie była to jednak transmisja techniczna, ale precyzyjnie zaplanowana relacja, która skupiała uwagę na głównych aktorach wydarzenia: sędzi Laskowskim (Adam Ferency), prokuratorze, obrońcach, oskarżonym (Krzysztof Zarzecki) i świadkach. Ale kamera wyszukiwała także reakcje pozostałej na sali sądowej publiczności – w tej roli aktorzy amatorzy z Nowej Huty, od lat występujący w Łaźni – jej gesty i spojrzenia współtworzyły temperaturę tej relacji. Formuła transmisji na żywo usprawiedliwiała nieliczne wpadki techniczne – w pewnym momencie oskarżycielowi pomocniczemu (w tej roli Andrzej Kłak) siadł mikroport, ale nie stanowiło to przeszkody w utrzymaniu rytmu spektaklu, wręcz wzmacniało poczucie równoległości tego, co się działo na sali rozpraw, przecież tuż obok widowni, i tego, co można było oglądać na ekranie.

Niebezpiecznie silnie przyciągał uwagę Niewiadomski – Krzysztof Zarzecki znalazł sugestywne środki, aby ukazać człowieka świadomego swojej roli, bez wątpienia manipulatora zdolnego do zdobywania zwolenników. Mimo ohydy czynu, do którego przecież się przyznawał, potrafił wyrazem oczu o uwodzicielskim blasku jednać sobie publiczność. Tą rolą, tym sposobem uwodzenia tłumu Zarzecki odsłaniał kulisy niebywałej popularności przywódców złej sprawy, natrętnych kusicieli, ludzi opętanych złowrogą ideologią, którą potrafili (i nadal potrafią) zaszczepiać w licznych umysłach.

Toteż kiedy przewód sądowy dobiegł końca i zapadł wyrok, nastąpiło nagłe przejście od formuły transmisji do spektaklu granego na żywo, rozpoczynającego się od relacji z egzekucji Niewiadomskiego, która przerodziła się w ekstatyczną stypę. Ekspresyjne i zarazem czułostkowe przemówienie pożegnalne żony mordercy (Anna Oberc) dało początek korowodowi pogrzebowemu niedawnych uczestników procesu, śpieszących teraz do wdowy z kondolencjami. Feeria składanych wieńców, portret zamachowca, niepoliczone kwiaty rzucane w geście solidarności, a nawet otwarcie browaru Niewiadomski, w którym gospodarzem był Krzysztof Głuchowski, jeszcze przed chwilą występujący przed sądem jako prezes Towarzystwa Przyjaciół Zachęty – chocholi taniec nie miałby końca, gdyby nie finał ukazany na ekranie.

Oto gmach Zachęty, nad drzwiami wyryta inskrypcja ku pamięci prezydenta Gabriela Narutowicza, biało-czerwona flaga, którą z szacunkiem podejmuje Andrzej Seweryn, przywołujący strofy wiersza Juliana Tuwima „Pogrzeb prezydenta Narutowicza". Kiedy zaczyna recytować: „Krzyż mieliście na piersi, a brauning w kieszeni", zalega głęboka cisza, emocje sięgają zenitu.

Tak ma być. Szydłowskiemu blisko do idei teatru niemieckiego reżysera Erwina Piscatora, teatru dla mas, podejmującego ważne tematy, nasyconego emocjami i czytelnym przekazem. Z tego źródła bije jego Teatr Obywatelski, który chce w niedalekiej przyszłości przenieść się w plener. Szydłowski ma już na to pomysł. Nie wątpię, że tak się stanie. Premierę w Łaźni Nowej przygotował w rekordowym tempie, próby rozpoczął 6 listopada. Udało mu się pozyskać pokaźne grono twórców, dla których udział w „Procesie…" stał się rodzajem deklaracji. To wyraźny znak, że Teatr Obywatelski ma przyszłość.

Reżyserowi udało się pozyskać pokaźne grono twórców, dla których udział w „Procesie…" stał się rodzajem deklaracji.

„Proces Eligiusza Niewiadomskiego", reżyseria Bartosz Szydłowski, adaptacja Łukasz Drewniak, Teatr Łaźnia Nowa w Krakowie, premiera 11 listopada 2025

eprasa.pl 654cc469fe

MIĘDZY OKŁADKAMI

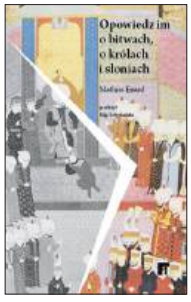


Kim Keum Hee
Rok wśród kwiatów
tłum. Klaudia Szary
W.A.B., Warszawa 2025

Gdy otaczamy się roślinami, możemy obserwować ich zadziwiającą żywotność i czerpać z niej optymizm. Jednak bywają one powodem wyrzutów sumienia, tak bardzo są uzależnione od naszej uwagi – więdnąca roślina zdaje się „dowodem naszego lenistwa, nieudolności i obojętności". Ale też uczy akceptowania straty, bo czasem nie jesteśmy w stanie jej uratować. Bogata kolekcja wypełniająca mieszkanie i balkon południowokoreańskiej pisarki (i znów odzywa się poczucie odpowiedzialności: co robić, gdy trzeba wyjechać albo się przeprowadzić?) daje pretekst do wejrzenia w siebie, do wspomnień, w których i czytelnicy pewnie znajdą coś z własnych przeżyć. Na przykład w historii doprowadzonej do śmierci sansewierii przeniesionej z rodzinnego domu – w pewnym momencie pojawia się potrzeba autonomii, zorganizowania przestrzeni wokół siebie po swojemu, bez bagażu oczekiwań rodziców. Te krótkie, refleksyjne teksty o łagodnym rytmie wprowadzają w stan wyciszenia, podobny temu, który osiągamy właśnie w kontakcie z zielenią.

Aleksandra Pańko

Mathias Énard
Opowiedz im o bitwach, o królach i słoniach
tłum. Filip Łobodziński
ArtRage, Warszawa 2025



Rok 1506, Konstantynopol. Na dwór sułtana Bajazyda przybywa Michał Anioł. Po tym, jak projekt jego wielkiego rywala Leonarda da Vinci został odrzucony, władca oferuje artyście ogromne wynagrodzenie i obietnicę nieśmiertelności. To jednak żadne nowe historical fiction. W tej krótkiej książce Énard mieści opowieść o wiecznym nieporozumieniu Wschodu i Zachodu oraz historię o trwaniu, które splata melancholię z glorią. To w końcu wielka pochwała wyobraźni i sztuki. Fenomenalny przekład Filipa Łobodzińskiego pozwala w pełni cieszyć się smakiem słowa francuskiego pisarza.

Rafał Pikuła

KURTYNA W GÓRĘ

Mądrość etapu



Punktem wyjścia dla podzielonego na kilka epizodów przedstawienia Michała Borczucha i Mateusza Górniaka jest działalność legendarnej Kowalni – warszawskiej grupy artystycznej skupionej wokół pracowni prof. Kowalskiego (Roman Gancarczyk).

Widzimy więc zmagającą się z chorobą nowotworową autorkę tytułowej „Piramidy zwierząt", Katarzynę Kozyrę, znakomicie sportretowaną przez Małgorzatę Zawadzką, zachłystującego się konsumpcyjnym kapitalizmem „obrazoburcę i biznesmena" Jacka Markiewicza (Kamil Pudlik) i całą galerię intrygujących, choć mocno pogubionych twórczyń i twórców. Wkraczają oni z własną radykalną wrażliwością w realia społeczno-ekonomiczne Polski potransformacyjnej.

Są w tym długim spektaklu sceny intrygujące, dowcipne, przewrotne – jak spotkanie Kowalskiego z Lekarzem (Michał Badeński), a później partnerem Kozyry, czy monolog granej przez Aleksandrę Nowosadko feministycznej artystki Katarzyny Górnej o przepracowaniu traumy seksualnej. Po raz kolejny siłą krakowskiej inscenizacji jest zespół aktorski. Niestety, są też w „Piramidzie zwierząt" dramaturgiczne mielizny. I tak jak krytyczny potencjał Kowalni rozpłynął się ostatecznie w rzeczywistości rynkowej, rozpływa się we wspomaganej ścieżką dźwiękową nostalgii puenta spektaklu.

Michał Centkowski

Mateusz Górniak, „Piramida zwierząt", reżyseria Michał Borczuch, Stary Teatr w Krakowie, premiera 15 listopada 2025

SERIAL



Peacemaker,
sezon drugi, twórca James Gunn, HBO Max

Peacemaker, czyli antybohater, w którego wciela się legendarny John Cena, nareszcie powrócił. Mamy tu bezpośrednią kontynuację wydarzeń z poprzednich epizodów – po raz kolejny śledzimy losy pokręconej ferajny, której przewodzi tytułowy rozjemca. Znowu będą mieli kłopoty, ale już nie do końca związane z kosmicznym zagrożeniem. Drugi sezon to przypowieść o rozliczeniu dawnych grzechów i godzeniu się ze stratą. I prawdopodobnie dlatego będzie on lepszy od pierwszego, bo świadomie odchodzi od schematu, tzw. blueprintu klasycznej „Gunnowskiej historii". Twórcy, z Jamesem Gunnem na czele, próbują zupełnie nowych rzeczy – otwierają multiwersum, ale zarazem tworzą o wiele bardziej kameralną, przystępną i spójną opowieść o sile miłości i przyjaźni. Dostajemy też spokojniejszy finał i w tym jego siła – wreszcie coś, co nie orbituje wokół kolejnego końca świata. Tylko tyle i aż tyle.

Jan Tracz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. HAWA, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 654cc469fe

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Cennik śmiertelny

40 lat temu Sting wydał pierwszą solową płytę, a ja jako gołowąs z siódmej klasy uległem mrocznemu urokowi ballady o księżycu nad Bourbon Street, która zagnieździła się na długie tygodnie w czołówce Listy Przebojów Trójki. Dopiero kiedy udało się zdobyć kasetę z całym albumem, odkryłem „Russians", pacyfistyczną balladę zimnowojenną z tekstem w PRL niecenzuralnym, bo mówiącym o Sowietach w tonacji niekoniecznie bałwochwalczej. Genialny podstęp Stinga polegał na tym, że oparł ten utwór na Prokofiewowskiej melodii z „Porucznika Kiże", o czym jako nastoletni gówniarz wiedzieć nie mogłem, ale z miejsca w tej pieśni się zakochałem. Czułem, że ta muzyka przebija sufit rocka, jazzu, swinga czy czego tam jeszcze, że jest z innego kosmosu, później zwanego przeze mnie pieszczotliwie „poważką" – musiałem w swojej melomanii jeszcze długo dojrzewać, ale po latach Prokofiew stał się pierwszym z moich ulubieńców.

„Rosjanie" przypomnieli mi się, a raczej przypomniała mi ich Aga Zaryan podczas finałowego koncertu Jazzowej Jesieni w Bielsku-Białej, jednego z najważniejszych festiwali na mapie Europy, któremu od lat szefuje Anna Stańko, córka naszego najsłynniejszego trębacza. Tekst nabrał dzisiaj wstrząsającej aktualności – Sting kończył swój song zdaniem: „Jedno, co może ocalić nas, to to, że Rosjanie także kochają swoje dzieci". No, nie wiem. Od kiedy Putin ogłosił, że „trumienne" za żołnierza, który da się zabić na Ukrainie, wyniesie 5 mln rubli, matki z biedniejszych rejonów Rosji (czyli z 90% jej terytorium) bardzo chętnie wypychają swoje świeżo dorosłe pociechy na front – tak, żeby w razie czego chłopak nie zdążył założyć rodziny przed oddaniem życia za imperium, bo wtedy kasę przytuliłaby młoda wdówka.

To jest kosmiczny zarobek, nie żadne 800+ za urodzone dziecko, tylko w przeliczeniu ponad 200 tys. zł za odchowane mięso armatnie, które wraca do domu w worku jako ładunek 200. Putin umie mobilizować, a i pocieszać, ruskie matki wcale nie muszą marzyć o pokoju.

Nie mam złudzeń, które wyśpiewywał Sting, nie mam już w ogóle żadnych złudzeń co do ludzkości, zwłaszcza że od kilkunastu dni media trąbią o „sarajewskim safari", procederze tak niewyobrażalnego okrucieństwa, że nawet w moim łbie mizantropa on się nie mieści. Owszem, na fali popularności kolejnych (coraz zresztą słabszych) sezonów koreańskiego „Squid Game" mogło przyjść do głowy w ramach dystopijnych rozważań, że zepsuci miliarderzy będą mieli rozrywkę z przyglądania się walce na śmierć i życie bidoków skuszonych nagrodą, nie wpadłbym jednak na to, co działo się na wzgórzach wokół Sarajewa przed z górą 30 laty. Chodzi o makabryczną turystykę „myśliwską": zamożni goście płacili krocie za to, żeby samemu sobie postrzelać do cywilów ze snajperskich pozycji, najwięcej kosztowało ustrzelenie dziecka. Jeśliby kto miał wątpliwości co do natury człowieka, sprawa się wyklarowała – nie ma takiego zła, do którego nie byłby zdolny człowiek.

Tegoroczna Literacka Nagroda Europy Środkowej Angelus trafiła do Darka Cvijeticia. W mikropowieści „Winda Schindlera" opowiada historię mieszkańców wieloetnicznego mrówkowca w Prijedorze, którzy z dnia na dzień z sąsiadów stali się dla siebie śmiertelnymi wrogami i zaczęli zabijać bez skrupułów tylko ze względu na narodowość. Przez dekady pocieszaliśmy się, że Bałkany to co innego, tam w żyłach płynie krew gorętsza, poza tym oni zawsze byli podzieleni narodowościowo, religijnie itd., itp. Nie przyczyna podziału ma znaczenie, tylko jego nieodwracalność i głębokość.

> Nie ma takiego zła, do którego nie byłby zdolny człowiek.

Polacy dzisiaj są już wystarczająco podzieleni i dojrzali do wojny domowej, a optymistyczne mrzonki, że jak przyjdzie co do czego, to nie będą w stanie podnieść ręki na rodaka, można między bajki włożyć. Pod tym względem Polacy nie są w żadnej mierze lepsi od innych nacji. Będziemy się zarzynać w krwawych zapustach, jak się tylko iskra odpali.

Owóż, skoro muzyka łagodzi obyczaje, wspomnę tylko jeszcze, że na szczęście dyrektorka programowa Jazzowej Jesieni kieruje się wyłącznie uchem i gustem muzycznym, przeto w tym roku mógł fantastyczny koncert dać w podbeskidzkim „małym Wiedniu" kwartet Shai Maestro, tworzony przez trzech Izraelczyków wspomożonych przez wybitnego peruwiańskiego kontrabasistę. Świetny groove, „piosenki" jazzowe, wariacje na temat standardów, ale też doskonale odnaleziony i odtworzony idiom Chicka Corei w kompozycji „Chickster" – to był dla mnie najlepszy z koncertów tegorocznej edycji, czar muzyki ponad podziałami, poza cancellingiem za pochodzenie i czyny okrutnych samców dzierżących rząd dusz.

■

eprasa.pl 654cc469fe

Wąsy, które ratują życie

Movember w Polsce
Od modnego gestu do rewolucji społecznej

Marek Czarkowski

Pod koniec października miłośnicy futbolu zobaczyli w sieci krótki film z udziałem Roberta Lewandowskiego. Wąsaty kapitan naszej reprezentacji i gwiazda FC Barcelony zachęcał do profilaktycznych badań jąder i prostaty. „Trwają kilka minut, a mogą uratować życie. Zrób to dla siebie, zrób to dla swoich bliskich. Bo silny mężczyzna to taki, który nie boi się zadbać o swoje zdrowie", mówił Lewy. Wraz z nim w materiale będącym częścią międzynarodowej kampanii społecznej Movember, promującej profilaktykę raka prostaty, raka jąder oraz zdrowia psychicznego mężczyzn, wystąpili piłkarz Jakub Błaszczykowski, indywidualny mistrz świata w żużlu Bartosz Zmarzlik, siatkarze Bartosz Kurek i Tomasz Fornal, dyskobol Piotr Małachowski, aktor Borys Szyc oraz prezydent Karol Nawrocki.

Listopad jest miesiącem, w którym dziesiątki tysięcy mężczyzn na świecie zapuszczają wąsy na znak troski o zdrowie, zachęcając do profilaktyki, która może uratować życie. Bo wąsy w kampanii społecznej Movember, która od 2003 r. stara się zmieniać oblicze męskiego zdrowia, mają przełamywać tabu i zachęcać do rozmów o tym, o czym panowie zazwyczaj wolą milczeć.

Pomysł australijskich piwoszy

Wszystko zaczęło się w Adelajdzie, stolicy stanu Australia Południowa, położonej nad Zatoką Świętego Wincentego. W 1999 r. kilku młodych mężczyzn wpadło przy piwie na pomysł, by połączyć w jedno słowa *moustache* (wąsy) i *November* (listopad) i stworzyć nową tradycję. Chodziło im o zebranie funduszy dla organizacji Royal Society for the Prevention of Cruelty to Animals zajmującej się ochroną zwierząt przed okrucieństwem. Pieniądze zbierali, sprzedając koszulki z hasłem: *Growing whiskers for whiskers*, w swobodnym tłumaczeniu: Zapuszczamy wąsy dla tych z wąsami. Mimo że w akcji wzięło udział ok. 80 mężczyzn, szybko zyskała ona rozgłos w całej Australii.

W 2003 r. dwaj inni Australijczycy, tym razem z Melbourne – Luke Slattery i Travis Garone – postanowili rozwinąć pomysł miłośników piwa i zwierząt z Adelajdy. Cel jednak był o wiele poważniejszy. Luke i Travis poprosili znajomych, by podjęli wyzwanie – każdy miał zapuścić wąsy, wpłacić 10 dol. australijskich i zachęcić kumpli do przyłączenia się. Zgromadzone środki miały trafić do organizacji wspierającej badania nad rakiem prostaty. Rok później w Melbourne powstała Movember Foundation – organizacja charytatywna, która kampanii społecznej rodem z pubu nadała międzynarodowy zasięg.

Początkowo, by zwrócić uwagę na problem raka prostaty i depresji wśród mieszkańców ziemi Krokodyla Dundee, wąsy zapuściło zaledwie 30 panów. Rok później było ich prawie 500. Udało im się zebrać ponad 40 tys. dol. australijskich dla Prostate Cancer Foundation of Australia.

W kolejnych latach kampania Movember rozprzestrzeniła się na inne kraje. W 2007 r. zorganizowano ją w Irlandii, Kanadzie, Czechach, Danii, Salwadorze, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Izraelu i RPA, na Tajwanie i w Stanach Zjednoczonych. W 2011 r. największym darczyńcą w jej ramach była Kanada.

Do tej pory Movember Foundation zebrała ok. 837 mln dol. i sfinansowała przeszło 1,2 tys. projektów w ponad 20 krajach. Uważana jest za jedną ze 100 najlepszych organizacji pozarządowych na świecie. To też przykład, jak czyjś prosty pomysł może się przerodzić w globalny ruch społeczny.

W Polsce Movember zadebiutował w 2014 r., podczas – ma się rozumieć – Poznańskich Targów Piwa. Organizacją akcji zajęła się Fundacja Kapitan Światełko. Rodzima edycja australijskiej, a właściwie już światowej kampanii koncentrowała się na kilku kluczowych tematach: profilaktyce raka prostaty i jąder oraz zdrowiu psychicznym mężczyzn. Pojawiła się też lokalna, polska nazwa – Wąsopad, która łączyła humor z powagą przekazu.

Rak prostaty był i jest nowotworem złośliwym najczęściej diagnozowanym u mężczyzn w Polsce.

Nie był to przypadkowy wybór semantyczny – statystyki od dawna pokazywały skalę problemów, z którymi mierzyli się mężczyźni nad Wisłą. Rak prostaty był i jest nowotworem złośliwym najczęściej diagnozowanym u przedstawicieli płci męskiej w Polsce. W 2022 r. odnotowano ok. 21 tys. nowych przypadków choroby, co oznacza wzrost o 63%, biorąc pod uwagę czas między 2013 a 2022 r. Liczbę przypadków

eprasa.pl 654cc469fe



Robert Lewandowski, choć z wąsem raczej umownym, zachęca do badań profilaktycznych jąder i prostaty, 11 listopada 2025 r.

raka prostaty zdiagnozowanych w 2024 r. szacuje się na 27-30 tys. To bardzo dużo.

Jeszcze bardziej niepokojące są dane dotyczące śmiertelności. Rak prostaty jest drugą najczęstszą przyczyną zgonów nowotworowych, zaraz po raku płuc. W omawianym okresie liczba zgonów wzrosła z prawie 4,3 tys. do 6 tys. rocznie. Szacuje się, że co czwarty zdiagnozowany mężczyzna z rakiem prostaty nie przeżyje. W porównaniu ze średnią w Unii Europejskiej nasz kraj ma wyższą śmiertelność.

Kluczowa w nowotworze prostaty jest wczesna diagnostyka. Jeśli przed 50. rokiem życia rak ten występuje bardzo rzadko, to później ryzyko zachorowania gwałtownie rośnie: rak prostaty dotknie co trzeciego mężczyznę w wieku 50-80 lat. Po 80. roku życia zachoruje aż 80% mężczyzn.

Paradoksalnie mimo rosnącej liczby zachorowań rokowania dla pacjentów są coraz lepsze – pod warunkiem wczesnego wykrycia choroby. Obecnie ok. 75% przypadków diagnozuje się w stadium bezobjawowym, głównie dzięki powszechnemu dostępowi do badania poziomu PSA (swoistego antygenu sterczowego). Innym nieskomplikowanym i szybkim badaniem jest badanie *per rectum*. Panowie go nie lubią, ale może ono miarodajnie pokazać, czy na prostacie pojawiły się zmiany. A przy okazji wykluczyć także zmiany w jelicie grubym. Wczesna diagnoza może oznaczać 100% szans na wyleczenie.

Lista skutecznych terapii w leczeniu raka prostaty jest obecnie imponująco długa: od chirurgicznego usunięcia gruczołu krokowego, przez hormonoterapię, radioterapię, leczenie radiofarmaceutykami, po selektywne niszczenie tkanki nowotworowej laserem. Warto zaznaczyć, że większość tych terapii pozwala mężczyznom zachować prawidłowe funkcjonowanie układu moczowego i funkcje seksualne. Oczywiście jest to znacznie łatwiejsze w przypadku wczesnego wykrycia choroby.

Nowotwór ludzi młodych i zdrowie psychiczne

Jeśli rak prostaty dotyka głównie dojrzałych i starszych mężczyzn, rak jąder jest najczęstszym nowotworem złośliwym wśród młodych, szczególnie w wieku 15-35 lat lub 20-44 lata. W Polsce rocznie diagnozuje się od 800 do 1,1 tys. nowych przypadków, jednak liczba ta rośnie w tempie ok. 5% rocznie.

Dziś rak jąder stanowi 1,6% wszystkich nowotworów złośliwych u mężczyzn i odpowiada za 70-75% wszystkich nowotworów w grupie wiekowej 15-35 lat. Jeśli ten trend się utrzyma, w ciągu najbliższych dwóch dekad liczba przypadków wzrośnie o 20%.

Dobra wiadomość jest taka, że nowotwór ten jest jednym z najlepiej uleczalnych. Wskaźnik wyleczalności przekracza 95%, pod warunkiem że terapia rozpocznie się wcześnie. Kluczem jest regularne samobadanie – prosty, bezbolesny zabieg, który każdy mężczyzna może wykonać samodzielnie raz w miesiącu, najlepiej po ciepłym prysznicu lub kąpieli, gdy mięśnie są rozluźnione.

Podczas samobadania należy sprawdzić, czy nie występują guzki, zmiany twardości, dyskomfort, obrzęk lub znaczące różnice w wyglądzie jąder. Każda niepokojąca zmiana powinna być natychmiast zgłoszona urologowi lub lekarzowi rodzinnemu. Niestety, mimo korzystnych rokowań

FOT. BRUNNER/AGENCJA SE/EAST NEWS

eprasa.pl 654cc469fe

przy wczesnym wykryciu dyskusje na temat raka jąder wciąż w Polsce należą do rzadkości. To jedno z tabu, które kampania Movember stara się przełamać.

Jej organizatorzy coraz większy nacisk kładą też na temat, który w Polsce wciąż pozostaje w cieniu, otoczony stereotypami i milczeniem. Chodzi o zdrowie psychiczne mężczyzn. Wynika to z głęboko zakorzenionego mitu, że „prawdziwi mężczyźni nie płaczą" i z problemami muszą sobie radzić samodzielnie. Przyznanie się do stresu, smutku czy lęku jest postrzegane jako oznaka słabości. Presja, by być emocjonalnie odpornym i samodzielnym, prowadzi do zamykania się w sobie i unikania profesjonalnej pomocy. Zdarza się, że takie osoby szukają ratunku w alkoholu i narkotykach, choć jest to droga donikąd

Warto sobie uświadomić, że według badań prawie połowa polskich mężczyzn żyje w przewlekłym stresie, trwającym co najmniej pół roku. Jego główne przyczyny to rosnące koszty życia, trudności finansowe, problemy zdrowotne i rodzinne. Do tego co trzeci pracujący Polak doświadcza wysokiego poziomu napięcia nerwowego w pracy. Głównymi przyczynami są nadmierne obowiązki, presja na wyniki, zła atmosfera w pracy oraz niskie wynagrodzenia.

Szacunki mówią, że na depresję cierpi ok. 4 mln Polaków. Niestety, stereotyp twardziela nie pozwala mężczyznom szukać pomocy u specjalisty.

Najbardziej tragicznym wskaźnikiem kryzysu zdrowia psychicznego są statystyki samobójstw. Według najnowszych danych Komendy Głównej Policji w ubiegłym roku ogólna ich liczba w Polsce wyniosła 4845. Zdecydowaną większość ofiar stanowią mężczyźni. Szacuje się, że każdego dnia 11-13 Polaków odbiera sobie życie. To prawie pięć razy częściej niż kobiety. Oznacza to, że w zeszłym roku w wyniku samobójstwa zmarło ok. 4-4,1 tys. mężczyzn.

W ocenie specjalistów – na co również zwracają uwagę organizatorzy kampanii Movember – wsparcie powinno być dostosowane do mężczyzn. Większość panów woli nieformalne rodzaje pomocy, takie jak rozmowy z przyjaciółmi lub anonimowe wsparcie online, dlatego może się czuć niekomfortowo w warunkach gabinetu psychologa lub psychiatry. Ważne zatem jest tworzenie przestrzeni, w których mężczyźni będą mogli otwarcie mówić o swoich problemach, bez obawy o osąd. Tyle że w Polsce nie ma zbyt wielu takich miejsc.

Czy akcje społeczne mogą coś zmienić?

Przykład kampanii Movember świadczy o tym, że możliwa jest próba zmiany narracji kulturowej wokół męskości i zdrowia. Zapuszczane w listopadzie wąsy stały się symbolem nowego podejścia – prowokują pytania, wywołują uśmiech, lecz przede wszystkim otwierają przestrzeń do rozmowy.

Kampania działa na wielu poziomach. Edukacja – dostarcza konkretnych informacji o czynnikach ryzyka, objawach i metodach profilaktyki nowotworów i problemów psychicznych. Mobilizuje do organizowania bezpłatnych badań profilaktycznych.

W tym roku w ramach inicjatywy „Mosznowładcy", prowadzonej przez Fundację Nie Warto, w wielu polskich miastach oferowane są bezpłatne badania poziomu PSA i USG jąder. Mężczyźni w wieku 18-40 lat mogą wykonać USG jąder z natychmiastowymi wynikami, a mężczyźni powyżej 40. roku życia – badanie poziomu PSA z wynikami dostępnymi w ciągu 10 minut.

Kampania Movember dzięki zaangażowaniu znanych postaci – takich jak Robert Lewandowski czy prezydent Karol Nawrocki – dociera do szerokiej publiczności. Co najważniejsze, jeśli znane osoby otwarcie mówią o badaniach profilaktycznych i zdrowiu psychicznym, przełamują tabu i pokazują, że dbanie o zdrowie jest przejawem nie słabości, lecz odpowiedzialności. To kolejny krok w kierunku zmiany narracji kulturowej wokół męskości. Stereotyp twardego faceta, który nie okazuje emocji i nie potrzebuje pomocy, jest nie tylko przestarzały, ale wręcz niebezpieczny.

Prawdziwa siła polega na świadomości swoich ograniczeń i na odwadze, by szukać wsparcia, gdy jest ono potrzebne. Kampanie społeczne takie jak Movember odgrywają kluczową rolę w tej zmianie, lecz potrzebują wsparcia mediów, instytucji publicznych i całego społeczeństwa.

Potrzebna jest też większa dostępność badań profilaktycznych. Bezpłatne badania organizowane w ramach kampanii społecznych to doskonały początek zmian w dostępie do profilaktyki, powinny jednak być osiągalne przez cały rok. System opieki zdrowotnej musi ułatwić mężczyznom docieranie do urologów, psychologów i innych specjalistów – bez długich kolejek i przeszkód biurokratycznych. Problem w tym, że specjalistów brakuje.

Ważna jest także edukacja zdrowotna, która powinna zaczynać się już w szkołach i być kontynuowana na uczelniach i w miejscach pracy. Młodzi mężczyźni powinni tak samo uczyć się samobadania jąder, jak kobiety uczą się samobadania piersi. Rozmowy o zdrowiu psychicznym również muszą się stać częścią programów edukacyjnych. Wiele możemy się nauczyć od krajów skandynawskich, gdzie otwarta rozmowa o zdrowiu psychicznym od dawna jest normą, a nie wyjątkiem i czymś wstydliwym.

Statystyki są bezlitosne: co roku tysiące polskich mężczyzn umierają z powodu chorób, które można było wykryć wcześniej i skutecznie leczyć. Tysiące innych cierpią w milczeniu, zmagając się z depresją, lękiem i samotnością, nie licząc na pomoc z obawy przed stygmatyzacją. Movember pokazuje, że nie musi tak być.

Marek Czarkowski

W Polsce rocznie diagnozuje się od 800 do 1,1 tys. nowych przypadków raka jądra.

eprasa.pl 654cc469fe

Jak smakuje Apulia jesienią

Zapamiętać smak oliwek i słodyczy, kolor nieba. I szacunek dla trudów życia



Alberobello słynie z trulli, okrągłych domków z kamiennymi dachami.

Beata Dżon-Ozimek
Korespondencja z Włoch

Dzień wcześniej jej nie było, właśnie wyrosła przed nosem – wielka sztuczna choinka uliczna, przybrana w literę B, jak Bari. Stanęła dość wcześnie, bo 28 października. Mijając przeszkodę, ze śmiechem wymieniamy się z panami instalującymi drzewko życzeniami: „Merry Christmas!".

Ozdoby halloweenowe w Apulii, w której pobyliśmy kilkanaście dni, właściwie nie zaistniały – Włosi szybko przeskoczyli w święta Bożego Narodzenia. Mocno za to wybrzmiewa poparcie dla Palestyny – flagi w lokalach, na balkonach, dachach, obok wszechobecnego prania, na nadmorskich deptakach, na murach i tablicach ogłoszeniowych. Hasła duże i małe, w różnych językach: „Free Gaza", „Palestina libera". Bez względu na morze, nad którym jesteśmy – Jońskie czy Adriatyckie – w sentymentach wygrywają Palestyna, Gaza i jej ludzie.

W Bari, mieście św. Mikołaja, i w jego bazylice, gdzie spoczywa królowa Bona, najważniejszym motywem robionych zdjęć jest posąg ukochanego przez katolików i prawosławnych świętego. Stoi na placu przy romańskiej, prawie tysiącletniej bazylice. A jest i ciemnoskóry Mikołaj, w złocistych szatach, w środku, za szybami. Zachwycają archaiczne stwory, zwierzęcy strażnicy przy bocznych wejściach, konie, woły niosące na grzbietach potężne kolumny.

Mikołajowe pamiątki w okolicznych sklepikach, relikwie dobrego Mikołaja, biskupa Miry, co pomagał biednym. Oprócz licznych prawosławnych, którzy znajdą tam teksty pisane cyrylicą, jest wielu polskich katolików, a na rikszach język polski pokonuje wszelkie inne: „Masz ochotę na pasta? Spróbuj lasagna", „Zobacz nasze menu". Wieloma rikszami kierują młode kobiety. Fajnie posiedzieć w podziemnym sanktuarium z fragmentami naściennych malowideł, mozaik, gdzie do Mikołaja wpadają całe rodziny, młodzi ludzie pachnący marihuaną, ci w sportowych i ci w bardzo drogich ciuchach, „Ruscy".

Życie, śmierć, pranie

Bari pachnie rybami, kiedy się idzie wzdłuż nabrzeża mniej reprezentacyjną stroną miasta, ulicą pełną pojemników na śmieci; po prawej jakoś się trzymają stare kamienice z małymi mieszkaniami,

eprasa.pl 654cc469fe

zatęchłym zapachem i prawdziwym życiem. Butle gazowe wożone na prymitywnych wózeczkach do mieszkań skrywanych za gęstymi firankami i jasnymi zasłonkami w dzień zastępującymi drzwi.

I pranie, czasem pachnące, czasem nie, chowane na balkonach pod folią na chwile deszczu. Po suszących się zużytych dresikach widać, gdzie są dzieci. Te rżną w piłę i w Bari pomiędzy zabytkowymi murami, a nie niespodzianka. Może taki nastrój – ciągłości, trwania – nadają te kilkusetletnie kościoły. I obrazki, figurki, figurynki, z mikroogródkami kwiatów, z świeczkami, woalkami i firankami, co kilka kroków. Te wyrazy obecności wiary w codzienności są ujmujące, zwłaszcza wieczorem w miasteczkach, kiedy wyłaniają się zza stosów krzeseł i stołów ulicznych knajpek, biorą udział w piciu wina, jedzeniu, handlu, miłości.

W Bari najważniejszym motywem zdjęć jest posąg św. Mikołaja.

i w Martina Franca w jej historycznym centrum – choć mają tu stadion im. Karola Wojtyły – i w Gallipoli, nie bacząc na wiek murów.

Młode matki z dziećmi, nauczyciele wracający ze szkoły i uciszający chłopaków ze swoich vesp, kiedy ci głośno się wygłupiają. Nierzadko widać zepsute zęby, niezdrową cerę. Ktoś łapie oddech na ławce po całym dniu, psy szukają skrawka trawy. Rybak, czyszczący na podręcznym stole-wózku ryby z połowu, krzyczy rano, krzyczy wieczorem, w charakterystyczny sposób, jak kiedyś u nas słyszało się: „Kaaartofle, kartofle!!!". I kobiety wychodzą, kupują.

Krzesła, fotele, ławki przed wejściami do mieszkań na wąskich uliczkach Bari czy Monopoli, starsi mężczyźni zastygli, inni gadatliwi, niewidzący tych gromad turystów, bo mają swoje sprawy. Może i te, kto umarł, kogo będą żegnać, bo obecność informacji o śmierci wydaje się tak oczywista jak najnowsze promocje czy pogoda.

Właściwie to mi się podoba: na skrzynkach skrywających miejskie urządzenia, na tablicach, słupach wiszą klepsydry, nasze większe, ale te są barwne, z kolorowymi zdjęciami, emocjonalnym spisem dobrych uczynków czy działań zmarłej osoby. Śmierć wydaje się być z życia, jako jego część,

Elegancka pani wychodzi z kościoła, po chwili zwraca uwagę nastolatkowi, by wytarł plamę na ławce z kapiącego loda. Chłopak robi minę, ale starsza pani patrzy, więc wyciera.

Zdążyć z dzwonami

Czasem, jak w Alberobello, pojawia się wyraz wiary w ludzką sprawiedliwość – parkingowe opłatomaty oklejone są listami gończymi za



We wszystkich sprawach pomaga ojciec Pio. Święty obwieszony jest ozdobami, koralami i innymi pamiątkami od fanów.

„zbrodniarzem wojennym" Beniaminem Netanjahu, widać wystawy, spotkania organizowane „dla Gazy". Tu też we wszystkich sprawach i intencjach pomaga ojciec Pio, ukochany także w Polsce. Nie wiedziałam, że aż tak.

Znam panią, która przywiozła sobie z Włoch jego figurkę, wozi ją razem z rodzimą Matką Boską i różańcem i w sanatorium czy gdzie indziej najpierw ich wystawia, potem leki i aparaty słuchowe. Połamane od podróży rączki poddaje zabiegom chirurgicznym, skleja, okręca, skleca i święty, zwany „wędrowniczkiem", zawsze jest blisko niej.

W Apulii czujnie spogląda z plaży, kamiennych brzegów morza i kapliczek – z Maryjką albo Maryjkami, wszechdostępny, wszechobecny.

Spotkanie Morza Jońskiego i Adriatyku na samej końcówce obcasa włoskiego buta, Półwyspie Salentyńskim – ponoć można odróżnić te morza po kolorach. Mogłam sobie w mikroparku przysiąść przy posągu Pio – ktoś życzliwie dla miłośników świętego zakonnika postawił tam krzesło. Sporych rozmiarów święty obwieszony jest ozdobami, koralami i innymi pamiątkami od fanów, patrzy w dal z krańca Włoch.

Pod płonącym czerwienią niebem Gallipoli, z latarnią morską już rzucającą morzu światło, pędzi ojciec z dzieckiem na ręku, wpada do jednego ze starych kościołów. Za chwilę wychodzi z ulgą, żona z drugim dzieckiem przytula go – zdążył włączyć dzwony na mszę. Uśmiechnięty senior parkuje spory samochód z wyczuciem co do centymetra. Bijemy brawo.

Miasto, które pachnie

Bez prania nie ma życia. Ostuni, Białe Miasto z filmowymi murami, pachniało praniem chyba mocniej niż kilkanaście innych odwiedzonych przeze mnie w Apulii. A może dlatego, że tak zapachniało jako pierwsze: nie rybami, nie morzem, bo trzeba pokonać kilka kilometrów, by dojechać

eprasa.pl 654cc469fe

na wybrzeże. Pierwsza kawa, pierwsze miejscowe ciastko, pasticciotto classico – wydawało się niewielkie, a syciło i smakowało, proporcje miękkości i delikatnej słodyczy były wspaniałe. I pierwsze słońce.

Największym skarbem miejscowego Muzeum Cywilizacji Preklasycznych Południowej Murgii jest szkielet kobiety w ciąży sprzed ok. 26 tys. lat, znaleziony w pobliskiej grocie. Obydwa szkielety, kobiety i płodu, można zobaczyć w dawnym kościele obok katedry, dokąd trzeba się powdrapywać, mijając tłumy turystów i bezczelnie rozpychające się trójkołowe pojazdy z nimi. Temat kobiet i ciąż jest tak obecny w Polsce, że wolę je żywe, zdrowe, do niczego niezmuszane. Ta z Apulii, nazwana Dalią, miała 20 lat i ponoć była zdrowa.

Deszczowy, mroczny, mglisty – tak ukazał się nam ośmiokątny średniowieczny Castel del Monte, zbudowany na rozkaz Fryderyka II von Hohenstaufa, cesarza, który miał nigdy tu nie dotrzeć. Dziś zamek pozostaje najdoskonalszą w formie średniowieczną budowlą regionu. Na planie ośmiokąta foremnego, czysty, surowy kamień, nieomal brak zdobień, przechodnie sale, sklepienia podtrzymywane półkolumnami, okna, w tym jedno trójdzielne, parapety do posiadywania przy oknach, posadzki wydeptane przez stopy wielu epok, to miejsce pięknieje zwłaszcza w mgłach, co tu rzadsze. Przy kasach – automaty z genialną kawą czekoladową z imbirem. I ten dziedziniec pośród ośmiu wież, zamykających niebo w wycinek o kształcie oktagonu, pozwala wyczyścić myśli.

Przewodnicy ciągle zajęci, co rusz w innym języku, oznaczeni krawatem z przelatującym uśmiechniętym zamkowym duchem. Na pamiątkę kupiłam kajet – Castel del Monte z papieru makulaturowego, w obwolucie do kolejnego użycia, bo można sobie wydrzeć kartonową nóżkę, z drugiej strony nakleić zdjęcie, obrazek, postawić. Ta makulatura zostawiła jednak światu duży ślad węglowy – zeszyt wytworzono w Indiach, sprzedano w Portugalii, a ja kupiłam we Włoszech i dowiozłam nad Odrę.



Kultowe orecchiette są lepione, barwione i suszone na ulicy.

Bez przymilania

Biedne pałace zamożnych rodów, nie wiadomo, co z nimi robić, czym wypełnić, by turyści zapłacili za bilet albo zechcieli zajrzeć za darmo, za co łaska, jak do Granafei Nervegna w Brindisi. Przeogromne dawne opactwa – to fantastyczne San Vito jak małe Koloseum, dawne benedyktyńskie, dziś próbuje trwać jako centrum slow food i miejsce uprawy smakowitej marchwi z Polignano a Mare. Zielone i niebieskie łódeczki rybaków dzisiejszej osady, dwie knajpy, jedna „cywilna", z toaletą na kartki i ich restrykcyjnym wydawaniem, druga w murach opactwa, dużo życzliwsza w tej ważnej kwestii.

Wracamy do ludnego i krzykliwego Polignano a Mare, gdzie jem Tette delle Monache, biszkoptową, delikatną „pierś mniszki". Sprzedawczyni upewnia się, że wiem, co jem, dotykając własnej piersi. Odpowiadam tym samym i że pycha. Kształt ciastka z czubeczkiem kojarzy mi się też z trulli, okrągłymi domkami z Alberobello, z kamiennymi dachami wieńczonymi różnymi końcówkami. To dopiero krajobraz obsiany piersiastymi stożkami, wyrastającymi z pól, gospodarstw, plantacji oliwek. Prosto, surowo, zmyślnie, czasem tajemniczo.

Te oliwki, wino – ile radości. I makarony, kultowe orecchiette. Kuchenne warsztaty za zasłonkami – lepią, barwią, suszą na ulicy i tu sprzedają. Bez kokieterii czy przymilania. Można zabrać suche do domu. Można zjeść w knajpce, gdzie pracuje Polka, Aga. 20 lat temu wyjechała na chwilę z Jasła.

Nie zauważyliśmy, by ktoś się przejmował w Apulii tym, że nie zna języków. Znają archaiczne wersje swoich przodków – mniejszości grecka, albańska, ta ostatnia obecna tu od XV w. W tych mieścinach, miasteczkach ludziom nie żyje się ani łatwo, ani bogato, bo ziemia trudna, choć oliwki wspaniałe. Wywalczyli od skał i morza, co mogli, morze wciąż ich karmi. Chyba nie stracili zachwytu nad kolorem nieba przed zachodem, niespokojną wodą, smakami, potrafią się uśmiechać i śmiać. I jeść. Zatęskniłam tam za kolorami bieszczadzkiej jesieni, ale tu tęsknię za kolorem apulijskiego nieba i za serem w kształcie trullo albo piersi zakonnicy.

Największym skarbem Muzeum Cywilizacji Preklasycznych Południowej Murgii jest szkielet kobiety w ciąży sprzed ok. 26 tys. lat, znaleziony w pobliskiej grocie.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BEATA DŻON (3)

eprasa.pl 654cc469fe

GDZIE KWIATY MAJĄ USZY



Plażowy wiesiołek dwuletni potrafi szybko reagować na specyficzne, ważne ekologicznie dźwięki.

ROŚLINY NIE TYLKO REAGUJĄ NA DŹWIĘKI, LECZ TAKŻE POTRAFIĄ JE WYDAWAĆ

Daniel Chamovitz

Wybitny biolog ewolucjonista Theodosius Dobzhansky pisał: „Nic w biologii nie miałoby sensu, gdyby nie światło ewolucji". Poważne i rozstrzygające badania naukowe dowiodły, że muzyka jako artystyczna forma dźwiękowa jest dla roślin dokładnie obojętna, co ma sens z ewolucyjnego punktu widzenia. Ponad 600 lat rozwoju europejskiej muzyki klasycznej i 65 lat historii muzyki rockowej to nawet nie mgnienie oka w skali ewolucji roślin.

Ewolucyjną korzyścią dla zwierząt i ludzi wynikającą ze zdolności słyszenia jest odbieranie dźwiękowych sygnałów ostrzegających o potencjalnych niebezpieczeństwach. Nasi dawni przodkowie słyszeli odgłosy groźnych drapieżników śledzących ich w lasach. My dzisiaj słyszymy kroki kogoś podążającego za nami późną nocą wzdłuż słabo oświetlonej ulicy. Słyszymy ryk silnika nadjeżdżającego samochodu. Zmysł słuchu umożliwia też szybkie porozumiewanie się ludzi i zwierząt. Słonie komunikują się na wielokilometrowe odległości, emitując infradźwiękowe wibracje. Delfiny odnajdują potomstwo zagubione w oceanie, wydając charakterystyczne dźwięki, a pingwiny cesarskie partnerów(-ki) za pomocą rozpoznawalnych form dźwiękowych. Przykłady te ilustrują powszechne w przyrodzie użycie dźwięków do wymiany ważnych informacji, często mobilizujących do fizycznych działań – ucieczki przed pożarem lub atakiem bądź odnajdywania członków rodziny.

(…) Rośliny to organizmy osiadłe, zakotwiczone w ziemi korzeniami. Mogą wychylać się ku słońcu lub uginać pod własnym ciężarem, ale nigdzie nie uciekną. Nie migrują, jak ptaki, w kolejnych porach roku. Pozostają dosłownie wrośnięte w zmieniające się środowisko życia. Ich życie biegnie też w innej skali czasowej niż życie zwierząt. Ruchy roślin, z nielicznymi wyjątkami, takimi jak mimozy i muchołówki, są powolne i niełatwe do uchwycenia ludzkim wzrokiem.

Czy jednak są jakieś dźwięki, które – przynajmniej teoretycznie – mogłyby być przydatne dla roślin? Jeśli są, to powinny one na nie reagować. Biolożka teoretyczna z Uniwersytetu Telawiwskiego, prof. Lilach Hadany, wykorzystująca modele matematyczne w badaniach procesów ewolucyjnych, wysuwa hipotezę, że rośliny reagują na dźwięki, lecz wykrycie tych reakcji wymaga dokładniejszych badań. Zgodnie z logiką brak dowodów eksperymentalnych w danym czasie nie usprawiedliwia negatywnych twierdzeń. Może istnieć coś, czego nie zauważamy. Zdaniem prof. Hadany należałoby badać wpływ dźwięków dochodzących z naturalnego świata przyrody. Chcąc rozpoznać reakcje roślin na fale dźwiękowe, trzeba rozważać takie ich formy, których odbiór mógłby, lub mógł w przeszłości, przynosić roślinom ewolucyjne korzyści. Należy więc rozważyć dźwięki związane z lokalizacją ważnych zasobów, takich jak woda, lub informujące roślinę o korzystnych bądź niekorzystnych interakcjach ze zwierzętami zapylającymi i roślinożernymi.

Próby identyfikacji takich reakcji roślin podejmowano dopiero w okresie kilku ostatnich lat. Monica Gagliano, profesor nadzwyczajny z Uniwersytetu Australii Zachodniej, oraz prof. Stefano Mancuso, dyrektor Międzynarodowego Laboratorium Neurobiologii Roślin na Uniwersytecie we Florencji, wraz z zespołami współpracowników próbują budować teoretyczną i praktyczną bazę dla – jak to określają – „bioakustyki roślin". W studium opublikowanym w roku 2012 znajdujemy doniesienia, że

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 654cc469fe

zakończenia korzeni zdecydowanie zginają się w stronę źródeł dźwięków, których długości fal są podobne do wibracji wód gruntowych, co sugerowałoby, że rośliny szukają nowych źródeł wody, nasłuchując odgłosów jej ruchu! I rzeczywiście, zespół Gagliano wykazał, że groch kieruje korzenie w stronę cieków wodnych.

Wyniki te wyjaśniają zjawisko dobrze znane inżynierom budowlanym od dziesiątków lat: korzenie drzew regularnie otaczają rury wodociągowe, a często penetrują ich złącza, powodując rozszczelnienia oraz potężne awarie, których naprawa pochłania znaczne środki finansowe. Do tej pory inżynierowie i naukowcy zakładali, że korzenie przyciągają jedynie przecieki, wyniki badań Gagliano wskazują jednak, że nie tylko – także szum wody płynącej rurociągami!

Inną ważną kategorią dźwięków może być brzęczenie pszczół. W procesie zwanym sonikacją trzmiele pobudzają kwiaty do emisji pyłku szybkimi ruchami mięśni skrzydeł bez poruszania nimi, czemu towarzyszy wibracja akustyczna o bardzo wysokiej częstotliwości. Słyszymy tę wibrację (jako brzęczenie przelatującego blisko owada), jednak uwalnianie pyłku wymaga kontaktu fizycznego z kwiatem. Podobnie jak głusi ludzie mogą czuć wibracje dźwięków muzycznych i reagować na nie, tak też kwiaty czują wibracje trzmieli i reagują na nie bez konieczności ich słyszenia. Nie można oczywiście wykluczyć, że wibracje te działają na kwiat jakimś innym, nierozpoznanym jeszcze sposobem.

Zespół prof. Hadany postanowił go poszukać. Wiadomo, że znakomita reprodukcja większości roślin kwiatowych zależy od zwierząt zapylających. Rośliny wysyłają przyciągające je sygnały, takie jak kolory, zapachy i kształty, nagradzając ich współdziałanie nektarem i pyłkiem. Czyżby to przyciąganie zależało od jakości nektaru, podobnie jak zainteresowanie ludzi winiarniami wiąże się z klasą serwowanych win? Wytwarzanie produktu wysokiej jakości jednak dużo kosztuje i idzie na marne, gdy nie ma w pobliżu istot zapylających (lub miłośników dobrych win). W końcu kto chciałby produkować doskonałe wina, wiedząc, że w okolicy brakuje odpowiednich konsumentów? Gdyby rośliny potrafiły produkować wyborne nektary wtedy, gdy w pobliżu są ich zapylający odbiorcy, miałyby z tego prawdziwe korzyści. Może więc odgłos krążących nieopodal owadów jest sygnałem pobudzającym do wytwarzania smakowitego nektaru?

W interdyscyplinarnym studium, w którym miałem zaszczyt uczestniczyć, prof. Hadany połączyła siły z jednym z najwybitniejszych biologów, prof. Yossim Yovelem, i ekologiem roślin dr. Yuvalem Sapirem, by się przekonać, czy rośliny mogą reagować na odgłosy owadów odwiedzających i zapylających ich kwiaty. Użyliśmy w tych badaniach plażowego wiesiołka dwuletniego, rosnącego masowo w przybrzeżnych rejonach Kalifornii i Oregonu, a także na plażach Izraela i innych krajów śródziemnomorskich. Zgodnie z angielską nazwą (*evening primrose*), kwiaty tych roślin otwierają się wieczorem, gdy zawisaki (in. zmroczniki) oraz zwykłe pszczoły miodne odwiedzają je, spijając słodki nektar, a przy okazji przenosząc pyłki z kwiatu na kwiat.

Podczas suszy sosny i dęby emitują ultradźwięki.

Prof. Yovel, z wykształcenia fizyk, wykorzystał do rejestracji dźwięków towarzyszących ruchom skrzydeł zawisaków i pszczół zaawansowany sprzęt używany wcześniej w badaniach nawigacji nietoperzy. Odtwarzaliśmy te dźwięki roślinom, monitorując wydzielanie i jakość nektaru. Ku naszemu zadowoleniu eksponowane na nie kwiaty produkowały nektar zawierający więcej cukru niż wytwarzany w ciszy.

Wyniki te pokazują, że plażowy wiesiołek dwuletni potrafi szybko reagować na specyficzne, ważne ekologicznie dźwięki. Pozostawało jednak pytanie, jaka część rośliny wyczuwa fale dźwiękowe. W antropomorficznym języku: gdzie kwiaty mają uszy? W tym momencie nie mamy pojęcia, jak również nie rozumiemy, w jaki sposób roślina tłumaczy sygnał akustyczny w swoich komórkach na bodźce determinujące jakość i skład chemiczny nektaru. Najnowsze badania zespołu prof. Hanhonga Bae z Uniwersytetu Yeungnam w Korei Południowej wskazują, że przynajmniej u rzodkiewników fale dźwiękowe mogą zmieniać ekspresję genów. Wciąż jednak daleko do zrozumienia wpływu sygnałów akustycznych na fizjologię roślin. Dokładne odpowiedzi na te pytania muszą niestety poczekać na dalsze badania.

Cytowane prace pozwalają przypuszczać, że rośliny reagują w sposób zróżnicowany na wiele typów dźwięków oraz że szukaliśmy w niewłaściwym miejscu.

Naprawdę dziwne jest jednak to, że rośliny nie tylko reagują na dźwięki, lecz także potrafią je generować. Roman Zweifel i Fabienne Zeugin z Uniwersytetu w Bernie w Szwajcarii donoszą, że podczas suszy sosny i dęby emitują ultradźwięki. Ich źródłem są zmiany zawartości wody w transportujących ją naczyniach ksylemu. Gagliano i Mancuso zarejestrowali „kliknięcia" emitowane z młodych korzeni kukurydzy. Dźwięki te są wprawdzie pasywnym rezultatem sił fizycznych (podobnie jak hałasy towarzyszące staczaniu się odłamków skał ze zboczy), mogą mieć jednak jakieś znaczenie adaptacyjne. Czyżby ultradźwięki były sygnałem informującym inne drzewa o nadchodzącej suszy? Czy dziwne dźwięki wydawane przez korzenie kukurydzy są nośnikiem jakichś informacji? Jeśli tak, to być może rośliny nie tylko reagują na sygnały słuchowe, lecz także je wysyłają! To by znaczyło, że rośliny śpiewają.

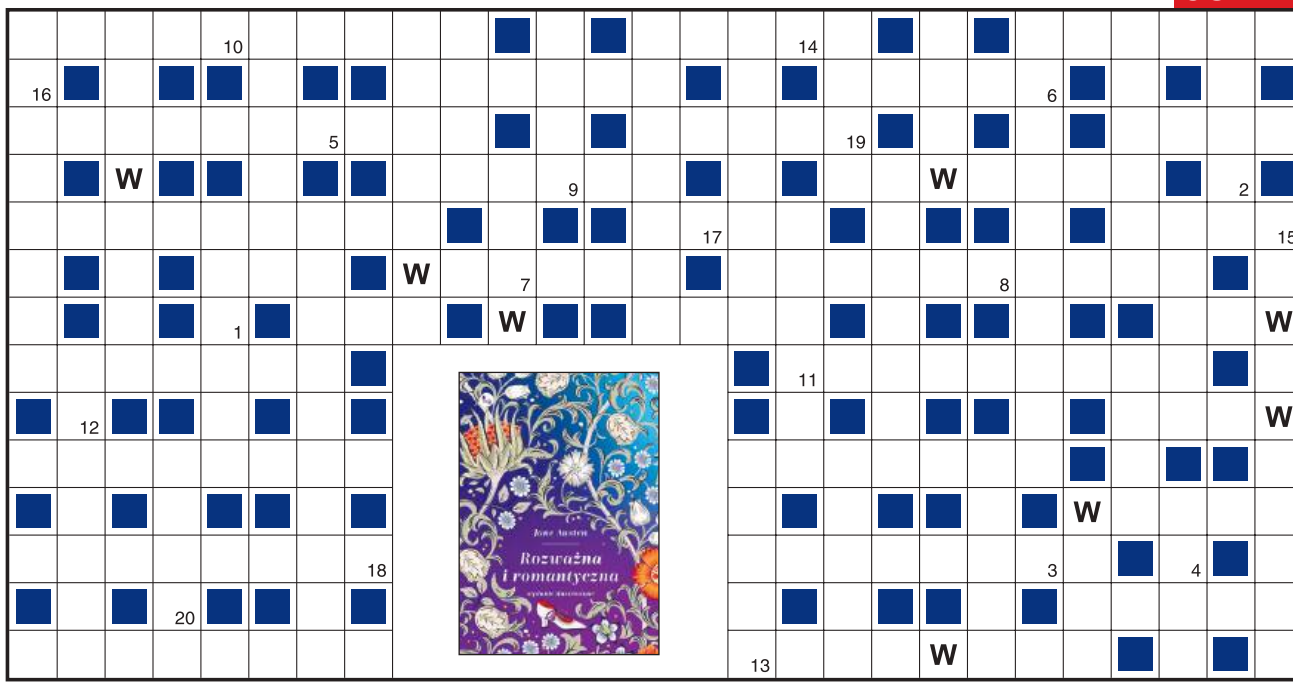
Najwyraźniej w przyrodzie dzieje się więcej, niż kiedykolwiek mogliśmy sobie wyobrazić. (…)



Fragmenty książki Daniela Chamovitza *Co wiedzą rośliny. Przewodnik po zmysłach*, przeł. Marek Czekański, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2025

eprasa.pl 654cc469fe

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery W ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- imię szefa NBP
- francuski sos z majonezu i czosnku
- nadwyżka kursu dewiz nad ich wartość nominalną
- pogłębiarka z niemiecka
- niemiecki dziennik bulwarowy
- element garderoby palony przez feministki
- szal z piór
- śmieszka, ale nie mewa
- na cud, na znak, na autobus
- wierny pies, ma pomnik w Krakowie
- Szirin, irańska pokojowa noblistka
- imię Kąckiej nagrodzonej Nike
- zakonnik żyjący w odosobnieniu
- rozgardiasz, zamęt
- używana do opatrywania ran
- jeździectwo
- bożyszcze publiki
- imię tenisistki jadającej makaron z truskawkami
- nauka wstępna do studiowania Biblii
- kataklizm, kompletna klęska przedsięwzięcia
- łakomy, smakowity kawałek
- kupowało się u niego prasę, bilety
- jabłoń o późnych, małych owocach
- międzygwiazdowa 3I/ATLAS
- słynny wulkan w Indonezji
- „…wypadków miłosnych" Wajdy
- tamowane opatrunkiem uciskowym
- choinkowe światełka
- warszawski klub z Łazienkowskiej
- rzeka zapomnienia w Hadesie
- znak harcerski
- nimfa, co nie chciała Priapa
- ciemny, gęsty syrop przy wyrobie cukru
- atrakcja Sopotu, Międzyzdrojów, Giżycka
- główna księga liturgii katolickiej
- przewodzi bodźce
- ochroniarze ważnej osoby
- na śrut i ciężarki wędkarskie
- upowszechnianie wykształcenia, kultury
- znikła z nazwy partii Tuska
- leczy schorzenia stawów
- miał chęć na befsztyczek u Brzechwy
- podział państwa między zaborców
- sypanie nasion w glebę
- malec, szkrab
- roboty pańszczyźniane przy drogach i mostach
- winniczki, porcelanki, zające morskie
- pudełeczko na tytoń
- dwuosobowy rower
- najwyższa grupa górska w Karpatach
- Henri de Lubac lub Tadeusz Bartoś
- nazywany fałszywą truflą
- zsuwanie się ziemi po stoku
- odcinek tekstu biblijnego
- pasy przy wędzidle do kierowania koniem
- statek na dnie
- wołanie, wezwanie
- „Czarna…", serial z Rowanem Atkinsonem

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1249". Do rozlosowania książki „Rozważna i romantyczna" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 30 listopada 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1246" z nr. 45: *Szczery wzroku nie ukrywa.*
Nagrody otrzymują: Andrzej Bator z Jaworzna, Aldona Biernat z Warszawy, Anna Pilch z Bystrzycy.

eprasa.pl 654cc469fe

Nieznani sprawcy

Polski ambasador w Rosji Krzysztof Krajewski został napadnięty w Petersburgu przez grupę „aktywistów", gdy w ramach spotkań z Polonią szedł na mszę do jednej ze świątyń. Cały incydent został zarejestrowany i wyemitowany w rosyjskiej stacji 78 Nowosti. Na nagraniu widać, jak kilku młodych Rosjan otacza polskiego dyplomatę, macha jakimś transparentem, krzyczy na niego i go popycha.

To oczywiście skandal. Ambasador jest pod ochroną, za jego bezpieczeństwo odpowiada państwo goszczące.

W tym przypadku państwo goszczące napadło na ambasadora, zorganizowało prowokację. Bo chyba nikt nie sądzi, że młodzi „aktywiści" (tak ich w telewizji przedstawiono), którzy zaatakowali ambasadora, zrobili to spontanicznie, w ramach społeczeństwa obywatelskiego. W dzisiejszej Rosji.

Dodajmy, musieli sporo wiedzieć i sporo móc. Musieli wiedzieć, że przyjedzie ambasador, dokąd przyjedzie i o której godzinie. Musieli wiedzieć (ha, ha), że na miejscu nie będzie policjantów. A poza tym musieli mieć wpływy, by zamówić na to „wydarzenie" reporterów z państwowej telewizji. Żeby wszystko nagrali, a potem wyemitowali.

Ale prowokacja się nie powiodła, bo ambasador nie dał się sprowokować. Pisaliśmy o tym swego czasu, gdy podobny atak na Krajewskiego zorganizowano w Irkucku, na spotkaniu z tamtejszymi Polakami. Wtedy też przyjechała kamera.

Otóż Krajewski jest, po pierwsze, doświadczonym dyplomatą, z kilkudziesięcioletnim stażem, po kilku placówkach. Po drugie, był w swojej karierze m.in. dyrektorem Protokołu Dyplomatycznego. Wie zatem, jak się zachować. I to widzieliśmy. Krzyczeli do niego: „Kiedy wy i wasze władze przestaniecie sponsorować i uzbrajać Ukrainę?!". A on nie wdawał się w żadne dyskusje, tylko spokojnym tonem żądał obecności policji.

Zimną krew zachowali także ochraniający go polscy funkcjonariusze. Też nie dali się sprowokować. Kamery nie miały czego nagrywać. Widzieliśmy polskiego ambasadora z podniesioną głową i dzikie okrzyki.

Cały świat to zobaczył. Rosji to nie wzmocniło.

Cóż, napadanie na ambasadorów to ewidentny przejaw braku mądrości państwa przyjmującego.

Polsce też to się zdarzyło – gdy ambasador Rosji Andrejew został oblany czerwoną farbą przez ukraińską aktywistkę. Ale wtedy mieliśmy w Polsce z tego powodu awanturę, że policja nie potrafiła zapewnić ambasadorowi bezpieczeństwa, i szeroką dyskusję. Odpowiednie przeprosiny zostały przekazane.

Tak czy inaczej, atak na Andrejewa to był dowód na brak mądrości ówcześnie rządzącej Polską ekipy i niezrozumienie zasad dyplomacji. A obecne ataki na Krzysztofa Krajewskiego? Wskazują, że na Kremlu też rozum staje się deficytowy, zimna krew znika, a MID jest coraz mniej ważne. I inne resorty spychają go do tyłu.

Tradycja rosyjskiej szkoły dyplomacji gdzieś się rozpływa. Zastępuje ją tradycja młodych ludzi, którzy napadają. Co za wstyd.

Attaché



Panie długo kazały na siebie czekać? Baza piechoty morskiej Camp Lejeune w Jacksonville i tamtejsza Lejeune High School gościły Melanię Trump i Ushę Vance. 19 listopada 2025 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 654cc469fe







PRZEMYSŁAW WIELGOSZ,
REDAKTOR NACZELNY

Gdy w 2008 r. Zachód przeżywał kryzys terminalny neoliberalizmu, w Chinach trwały dziesiątki tysięcy konfliktów pracowniczych. Chińskie strefy przemysłowe, jak Shenzhen, stały się największymi polami walk klasowych na świecie. Ich przebieg i bilans mają globalne konsekwencje. Ostatecznie społeczne bunty zmusiły chińskich komunistów do ustępstw i redystrybucji części dochodów ze wzrostu gospodarczego między tych, którzy go wytwarzają. Efektem stała się największa znana w historii redukcja ubóstwa, w wyniku której ponad 300 mln obywateli Chin wyszło ze skrajnej nędzy. O ile w 2005 r. płaca w tamtejszym przemyśle wynosiła dolara za godzinę (mniej niż w Indiach), to obecnie przekracza 8 dol. (cztery razy więcej niż w Indiach).

PROF. MICHAŁ ROMANOWSKI,
ADWOKAT, UW

Ciężka choroba nie zwalnia z odpowiedzialności za popełniony czyn i za wyjaśnianie, czy doszło do popełnienia przestępstwa. Może wpływać na zastosowanie odpowiednich środków w stosunku do osoby podejrzanej. Jeśli przyjrzymy się ostatniej aktywności Zbigniewa Ziobry, to trudno stwierdzić na pierwszy rzut oka, czy jest w takim stanie zdrowia, który nie pozwala na podjęcie wobec niego żadnych środków. (…) Patologią można określić sytuację, kiedy jedno z państw Unii Europejskiej udziela azylu, powołując się na to, że wymiar sprawiedliwości w innym państwie członkowskim nie daje gwarancji sprawiedliwego procesu. To w istocie rzeczy proces oderwania się rządu węgierskiego od Unii Europejskiej. Moim zdaniem Węgry naruszają w oczywisty sposób traktaty europejskie.

KATARZYNA ZILLMANN,
WIOŚLARKA, MISTRZYNI ŚWIATA

Nigdy nie ukrywałam w szafie tego, co czuję i kim jestem. Jeżeli wcześniej to zrobiłam, to dla mojej dziewczyny w liceum, z którą ukrywałam się przed szkołą i jej rodzicami. Wtedy zresztą sama nie byłam w 100% pewna, kim jestem. A na igrzyskach olimpijskich, na antenie na żywo, powiedziałam spontanicznie, że pozdrawiam moją dziewczynę, kocham ją i tyle. Już wiele miesięcy przed igrzyskami postanowiłam podkreślać, z kim żyję, bo przecież nasz związek z Julią był i jest bardzo fajny. Ile mogę gadać, że lubię muzykę techno czy piłkę nożną, a o tak fundamentalnej sprawie jak związek z osobą, która tak bardzo mnie wspiera i pomaga osiągać sportowe sukcesy, nie wspomnieć? Julia jest kajakarką, poznałyśmy się w Wałczu przy okazji wspólnego obozu, jednak większą część roku przebywałyśmy w różnych miejscach Europy. Ale teraz, kiedy Julia skończyła trenować, zamieszkałyśmy razem.

URSZULA DUDZIAK,
PIOSENKARKA JAZZOWA

Dwa lata temu na festiwalu filmowym w Gdyni pokazano film dokumentalny o mnie pod tytułem „Ula", w którym opowiadam historię rozstania Michała z Lilianą Głąbczyńską. Po pokazie odbywa się spotkanie z widzami, nagle wstaje dziewczyna w czapce z daszkiem, bierze do ręki mikrofon i mówi: „Proszę państwa, to ja jestem Liliana Głąbczyńska, która rozbiła małżeństwo Urszuli Dudziak. I teraz w obecności wszystkich chciałabym prosić ją o wybaczenie". Tak jak nie boję się wywiadów i zawsze wiem, co powiedzieć, tak wtedy mnie zmroziło. Ludzie też zamarli, pewnie zastanawiali się, czy wstanę i coś w nią rzucę. A ja po chwili powiedziałam: „Liliana, ten moment, kiedy zostałam sama, był jednym z najgorszych momentów w moim życiu, przeżyłam go w sposób dramatyczny, strasznie się bałam, że sobie nie poradzę. Ale popatrz, jak teraz się czuję, co osiągnęłam. I wiesz co? To dzięki tobie. Oczywiście przebaczam ci i dziękuję, że pojawiłaś się w naszym życiu z Michałem". Cała sala biła brawo. Bo powiedziałam prawdę.

FOT. FACEBOOK, KRAINA MEMAMI PŁYNĄCA, SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl 654cc469fe

ZMIKSOWANE LITERY

Ułóż litery w każdym rzędzie, dodając jedną z podanych obok, tak by otrzymać wyrazy odpowiadające objaśnieniom.

* ma wiele stron — A Ą I K K S ___
* czasem wiszące — A D G I O Z ___
* gorące i leniwe — E G I O P R ___
* portret krzyżówki — A A D I M R ___

N G I N

ROZWIĄZANIA: KSIĄŻKA, GNIAZDO, PIEROGI, DIAGRAM



Aby język giętki...

NORMAN DAVIES O KAROLU NAWROCKIM

Pozbędzie się prezesa Kaczyńskiego. Na prawicy nie ma miejsca dla dwóch wodzów.

IGNACY KARPOWICZ O MEDIACH SPOŁECZNOŚCIOWYCH

Nie odczuwam żadnej potrzeby uczestniczenia w świecie baniek medialnych. Nie jest to świat ani przyjazny, ani otwarty.

WOJCIECH SMARZOWSKI O KOŚCIELE

To organizacja, która straszy, szantażuje i wykorzystuje religię do zarabiania pieniędzy. Gniazdo pychy, dyskryminacji i rozpusty.

AGNIESZKA HOLLAND O POLITYKACH

W ich świecie panuje jakiś wyjątkowy rodzaj tchórzostwa, reaktywności i negatywnej selekcji.

MILENA SCHEFS O PRACY REDAKTORKI

Redaktorzy i korektorzy są najbardziej pomijaną grupą zawodową na rynku książki.

MAREK KOŹMIŃSKI O PIOTRZE ZIELIŃSKIM

Piłkarz o ogromnych możliwościach, ale jak na skalę swojego talentu za mało osiągnął w swojej karierze. Niestety, nie ma cech przywódczych.

ZDZISŁAWA SOŚNICKA O MAŁŻEŃSTWIE Z JERZYM BAJEREM

Mamy imponujący staż, od 1964 r. Nazywam go ewenementem. My po prostu chcemy być razem.

KATARZYNA BUTOWTT O PRACY MODELKI

To okropny zawód. Takie wystawianie się jak wieszak na permanentną ocenę. Jest się ciągle towarem.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

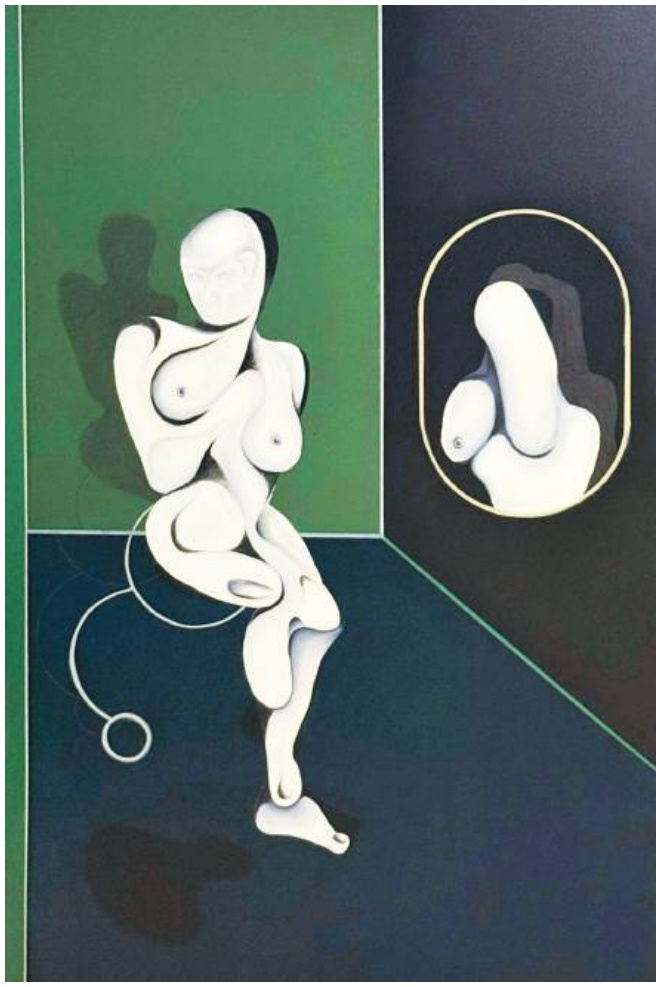
Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 654cc469fe

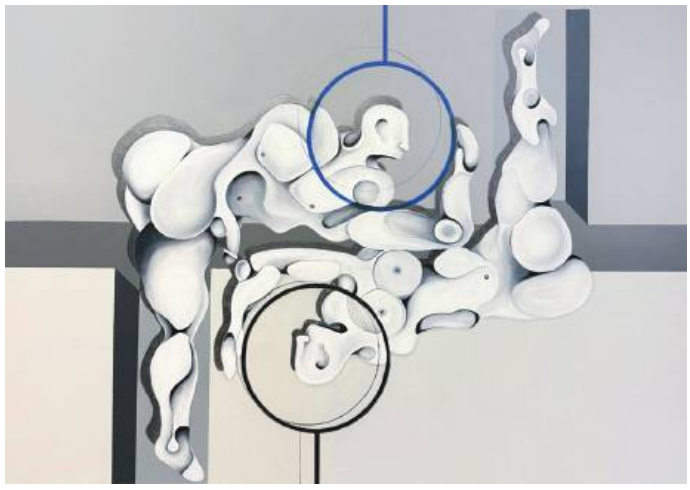




Widziani

Świat nieustannie obserwuje, ocenia i klasyfikuje, a zapis tego napięcia – także lęku przed spojrzeniem innych – stanowi fundament malarstwa Mariusza Szydła. Artysta (rocznik 1990, absolwent ASP w Łodzi i w Krakowie) eksploruje granice między tym, co ukryte, a tym, co jawne, między autentycznością a narzuconymi rolami. Jego prace ukazują moment, w którym „ja" zostaje zagłuszone przez oczekiwania otoczenia. Szydeł posługuje się ekspresyjnym malarstwem figuratywnym, wykorzystując deformację, przejaskrawione gesty i kontrasty kolorystyczne. Każdy obraz działa jak scena, w której odbiorca odkrywa, że sam również staje się częścią gry spojrzeń.

Salon Goldenmark
Warszawa, pl. Konstytucji 6
do 29 listopada





FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 654cc469fe



eprasa.pl 654cc469fe

TEATR CAPITOL

Sylwester 2025/2026



UNE IDEE GENIALE

GENIALNY POMYSŁ

Autor SÉBASTIEN CASTRO

Przekład BARBARA GRZEGORZEWSKA

Reżyseria WOJCIECH ADAMCZYK

NOWOŚĆ

ŚRODA, 31 GRUDNIA
GODZ. 17:00 I 21:00

WOJCIECH **BRZEZIŃSKI** PAULINA **HOLTZ** PIOTR **GRABOWSKI** JOANNA **JEŻEWSKA**

Po wieczornym spektaklu impreza sylwestrowa do samego rana.
Przywitaj Nowy Rok razem z nami!

• KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl/spektal/sylwester

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

epr...